

Helmut Wagner

**Moja Europa:
Konstrukcja i przyszłość Unii Europejskiej
jako unikat politycznego**

Studia Interkulturowe | Intercultural Studies

Pod redakcją naukową Magdaleny Latkowskiej

Komitet Redakcyjny

dr hab. Magdalena Latkowska (przewodnicząca), dr Joanna Piotrowska, dr hab. Boris Schwencke, dr Reihnold Utri

Rada Naukowa

prof. Sambor Grucza (przewodniczący), prof. Silvia Bonacchi, dr hab. Krzysztof Fordoński, prof. Elżbieta Jamrozik, prof. Ludmiła Łucewicz, dr hab. Magdalena Olpińska-Szkielko, dr hab. Grzegorz Pawłowski, dr hab. Boris Schwencke, dr hab. Paweł Szerszeń, dr hab. Małgorzata Świdarska, prof. Anna Tylusińska-Kowalska, dr hab. Bernadetta Wójtowicz-Huber, prof. Ewa Żebrowska



Wydawnictwo Naukowe
Instytutu Komunikacji Specjalistycznej i Interkulturowej
Uniwersytet Warszawski

Warszawa 2018

Helmut Wagner

**Moja Europa:
Konstrukcja i przyszłość Unii Europejskiej
jako unikat u politycznego**



Wydawnictwo Naukowe
Instytutu Komunikacji Specjalistycznej i Interkulturowej
Uniwersytet Warszawski

Warszawa 2018

tom 2 | vol. 2

Helmut Wagner

Moja Europa: Konstrukcja i przyszłość Unii Europejskiej

Niniejszy tom jest drugim z kolei tomem w serii „**Studia Interkulturowe/ Intercultural Studies**”, wydawanej w Instytucie Komunikacji Specjalistycznej i Interkulturowej Uniwersytetu Warszawskiego. Celem serii jest przedstawienie prac badaczy, reprezentujących różne kraje, szkoły i kierunki badawcze, których łączy zainteresowanie problematyką wzajemnego oddziaływania kultur. W centrum uwagi autora prezentowanej monografii znalazła się struktura i przyszłość Unii Europejskiej.

Założycielka serii

Dr hab. Magdalena Latkowska

Komitet Redakcyjny

dr hab. Magdalena Latkowska (przewodnicząca)

dr Joanna Piotrowska

dr hab. Boris Schwencke

dr Reinhold Utri

Redaktor tomu

Dr hab. Magdalena Latkowska

Redaktor merytoryczny

Prof. dr hab. Tomasz Pszczółkowski

Tłumaczenie z j. niemieckiego

Winfried Lipscher

Skład

Bel Studio

Projekt i wykonanie okładki

Rafał Latkowski

ISSN 2544-8420

ISBN 978-83-64020-45-2

Wydanie pierwsze

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za zawartość merytoryczną oraz stronę językową publikacji



Publikacja tomu *Moja Europa. Konstrukcja i przyszłość Unii Europejskiej* jest dostępna na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Bez utworów zależnych 3.0 Polska (CC BY-NC-ND 3.0 PL). Pewne prawa zastrzeżone na rzecz autora. Zezwala się na wykorzystanie publikacji zgodnie z licencją – pod warunkiem zachowania niniejszej informacji licencyjnej oraz wskazania autora jako właściciela praw do tekstu.

Treść licencji jest dostępna na stronie: <http://creativecommons.org/licenses/by-nc-nd/3.0/pl/>

Adres redakcji

Studia Interkulturowe

Instytut Komunikacji Specjalistycznej i Interkulturowej

ul. Szturmowa 4, 02-678 Warszawa

tel. (+48 22) 55 34 255/ 248

e-mail: si@iksi.uw.edu.pl

www.si.iksi.uw.edu.pl

Autor, Helmut Wagner, urodzony w Kętrzynie w 1929 roku (wtedy: Rastenburg), w Prusach Wschodnich. Pracował jako asystent dla prof. Otto-Heinricha von Gablenza, doktoryzował się u prof. Theodora Eschenburga, był też asystentem prof. Gola Manna. Przez 24 lata pracował i prowadził badania naukowe w Otto-Suhr-Institut na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie, gdzie zajmował się głównie systemami i teoriami politycznymi. Jego pierwsza po przejściu na emeryturę książka pod tytułem: „Vom Störenfried zum Bürger – Die «deutsche Frage» im europäischen Kontext” ukazała się w 2013 roku.

Spis treści

Słowo wstępne	9
I. Oryginalność Unii Europejskiej	11
II. Unikat Unii Europejskiej i jej celowość	25
III. Klasyfikacja i legitymacja Unii Europejskiej	33
IV. Rzekomo umarli żyją dłużej! Kryzys waluty euro	41
V. Starania o zintegrowanie Europy. Chaos czy różnorodność?	53
VI. Dialog UE – Rosja. Obawy i oczekiwania	59
VII. Unia Europejska a Europa Środkowo-Wschodnia	69
VIII. Unia Europejska: Czy leży ona w interesie Polski?	81
IX. Stosunki polsko-niemieckie. Drogi i bezdroża	87
X. Egon Bahr – Architekt polityki wschodniej a Unia Europejska	95
XI. Jürgen Habermas i jego wizja Europy	101
XII. Ernst Nolte – Uczony ostrzegający Europę	109
XIII. Ratujący Europę – Broder i Schachtschneider	115
XIV. Johann Gottfried Herder – Orędownik różnorodności etniczno-kulturowej ..	121
XV. Immanuel Kant – Prekursor Unii Europejskiej	131
XVI. Moje marzenie – Większa Europa	145

Słowo wstępne

Dla mnie istnieją w szczególności trzy powody, dla których temat Unii Europejskiej mnie od dłuższego czasu nurtuje, wobec czego po mojej wieloletniej karierze akademickiej postanowiłem te moje przemyślenia zaprezentować w sposób publiczny.

Powód pierwszy związany jest z moimi stronami rodzinnymi, moim „Heimatem”, to znaczy Prusami Wschodnimi. Po tym, jak w wyniku Drugiej Wojny Światowej te moje strony rodzinne utraciłem, jestem jednak nadal z tą ziemią mocno związany, wobec czego pragnę na mój sposób działać na rzecz politycznej realizacji jedności Europy. Jest to chyba jedyny sposób, gdzie dla tych stron rodzinnych mogę jeszcze wnieść jakiś swój osobisty wkład. Takie podejście podzielam z pewnością z wieloma ziomkami, którzy podtrzymują ściśle kontakty z krajem swoich przodków życząc mu jak najlepiej.

Drugi powód związany jest z faktem, iż doszedłem do wniosku, że Unia Europejska prawidłowo rozumiana jest swoistym unikatem, którego jedyne w swoim rodzaju struktury dotychczas nie zostały jeszcze dostatecznie odczytane. Głównym moim zamiarem jest, by ukazać te jej szczególne struktury jak i jej plusy i minusy. Unia Europejska nigdy przedtem nie została jeszcze przedstawiona w taki sposób, jak ja to czynię w mojej publikacji.

Trzecim z kolei powodem jest zamiar ukazania, że Johann Gottfried Herder (1744–1803) jako orędownik grup etnicznych, moim zdaniem, dzisiaj ponownie odgrywa ważną rolę, a Immanuel Kant (1724–1804) stał się prekursorem Unii Europejskiej. Sprawa ta, jak widzę, nie należała dotychczas do rzeczy oczywistych.

Po tych rozważaniach trzeba stwierdzić, iż fakt zajęcia się tą tematyką graniczny chyba z szaleństwem i łagodzony zostaje tylko przeświadczeniem, że tematyka ta nurtuje wiele osób, wobec czego uzasadnione jest podjęcie tej kwestii w sposób nowy i zupełnie niekonwencjonalny. Cały szereg osób dotychczas podjęło się trudu zdefiniowania tej odrębności UE. Mój rezultat odbiega od określeń innych fachowców, bowiem Unii Europejskiej nie postrzegam ani jako „związku państw” na drodze do „federacji państw”, tylko jako „powiązanie państw”. To nadaje UE zupełnie nową jakość.

Polskie wydanie tej książki stało się możliwe dzięki inicjatywie Pana Krzysztofa Hećmana, burmistrza mojej rodzimej miejscowości Rastenburga, dzisiejszego Kętrzyna oraz jego byłego zastępcy jak i byłego dyrektora szkoły, pana Eugeniusza Tokarzewskiego, którzy namówili mnie do opublikowania moich tekstów w ich języku ojczystym, obiecując wydanie ich drukiem. Propozycję zaopatrzenia książki tytułem *Moja Europa* zawdzięczam również Panu Burmistrzowi Hećmanowi. Długo się zastanawiałem, czy taki tytuł mogę zaakceptować. Zagadką pozostaje dla mnie sprawa, dlaczego tak uporczywie ci dwaj Panowie zabiegali o tę publikację. Może moje pochodzenie z tego miasta, a w następstwie nasza przyjaźń ich do tego skłoniła? A może nowa Europa, którą starałem się nakreślić? Kto wie? Niech czytelnicy sami tę kwestię rozstrzygną.

Panom inicjatorom oraz mojemu tłumaczowi, Panu Winfriedowi Lipscherowi, który jest moim ziomkiem z Wartenburga/Barczewa, jak i Pani dr hab. Magdalenie

Latkowskiej z Uniwersytetu Warszawskiego, redaktorze naukowej serii *Studia Interkulturowe*, oraz opiekunowi naukowemu mojego polskiego tekstu, Panu Profesorowi Tomaszowi Pszczołkowskiemu, również z Uniwersytetu Warszawskiego, z całego serca jestem wdzięczny za ich trud. Bez ich pomocy to moje drugie dzieło „emeryta”¹ nie ujrzałoby światła dziennego.

Zebrane tutaj teksty składają się z szesnastu opracowań, które zostały napisane w różnych okresach, ale z biegiem czasu uaktualnione. Na początku przedstawiam moje osobiste oczekiwania wobec Unii Europejskiej. Następnie zajmuję stanowisko wobec nieporozumień, na jakie to nowe powiązanie państw było narażone, by kolejno przejść do spraw bardzo wczesnej interpretacji Unii przez prof. Waltera Hallsteina z Brukseli, który był pierwszym przewodniczącym Komisji Europejskiej EWG. Następnie odniosę się do roli, jaką odgrywa UE dla Europy Środkowo – Wschodniej, w szczególności dla Polski. Na koniec zwracam uwagę na wizję Egonu Bahra, którego nazywamy „architektem polityki wschodniej”. Potem zwracam uwagę na przemyslenia prof. Jürgena Habermasa, który ostatnio dał się poznać jako zwolennik Kanta, jak i na podejście prof. Ernsta Noltego do UE, który wprawdzie nie kwestionuje integracji europejskiej, ale jest do niej nastawiony sceptycznie. Pragnę też przedstawić stanowisko Henryka M. Brodera i Karla Albrechta Schachtschneidera – dwóch zagorzałych przeciwników UE, którzy uważają się za „ratowników Europy”. W zakończeniu podejmuję myśli Johanna Gottfrieda Herdera i Immanuela Kanta, z których da się wywodzić przekonanie o tym, że UE jak najbardziej kwalifikuje się do tego, by być organizacją sprzyjającą grupom etnicznym, a zarazem instytucją gwarantującą pokój między narodami. Punktem ostatnim jest jakby moja „przewrotność marzenia” o „Europie Większej”.

Zakładam, że ze zwiększonym zrozumieniem dla Unii Europejskiej w parze pójdzie jej akceptacja zarówno w samej Europie jak i na świecie. Jestem zdania, że ta Unia, o której mówiono jak o czymś obumierającym, wykaże się żywotnością i, jeśli się sprawdzi, stanie się modelem dla innych politycznych unii o zasięgu kontynentalnym. W formie przypowieści o organizacji UE jako „powiązaniu państw” da się moim zdaniem powiedzieć: fakt, że państwo jako takie do dzisiaj jest piętnowane na szeroką skalę, ale mimo wszystko zdobyło sobie uznanie i akceptację, tak samo będzie się działo w stosunku do „powiązania państw”. Stanie się tym samym globalnym w skali światowej organizacyjnym ukoronowaniem kontynentalnych wspólnot państw i zostanie zaakceptowane jako niezbywalna ich forma organizacyjna. Niech moja książka przyczyni się do zrozumienia faktu powstania tego rodzaju nowej Unii – Państw.

¹ Moje pierwsze dzieło „emeryta” nosi tytuł *Vom Sörenfried zum Bürger – Die deutsche Frage’ im europäischen Kontext: Ein politikwissenschaftler Essay*, MUT-Verlag, Asendorf 2012.

I. Oryginalność Unii Europejskiej

Czym jest Unia Europejska? Jakie określenie odpowiada jej najbardziej? Trzeba też zadać pytanie: czym UE różni się od innych organizacji politycznych? Spór wokół tych kwestii toczy się od czasu, kiedy 64 lata temu powstała prakomórka UE, to znaczy, gdy 23 lipca 1952 r. założono Europejską Wspólnotę Węgla i Stali (EWWS). Dotychczasowy publiczny dyskurs na ten temat nie doprowadził do uzyskania zadawalającej odpowiedzi na powyższe pytania, a polityka również nie znalazła jeszcze wiążącego określenia, czym ta Unia właściwie jest. Zarówno politycy jak i naukowcy nie mają w tym zakresie nic do zaoferowania. Dotychczas nie byli w stanie wytłumaczyć obywatelom Unii Europejskiej, jakiego rodzaju polityczna wspólnota powstała z górą ponad pięćdziesiąt lat temu, w jaki sposób ona się odróżnia od innych form organizacji politycznych i jaka ma być jej przyszłość.

Ten trudny do zakwestionowania stan rzeczy jest – jeśli się go właściwie rozważy – wyjątkowym świadectwem intelektualnego ubóstwa. Gdzież bowiem kiedykolwiek zdarzyło się, iż w warunkach demokracji konstytucja pozostawała dla obywateli tajemniczą zagadką? Fakt niewytłumaczenia obywatelom UE, w jakim „pociągu” siedzą i dokąd ta podróż ma prowadzić, zakrawa na kpinę. Nic zatem dziwnego, że część obywateli – nie tylko z nowych państw członkowskich, ale nawet z państw od dawna do Unii należących – podejrzewa, że do tego pociągu wsiedli lekkomyślnie, nie wiedząc, dokąd ich podróż ma prowadzić, i dlatego całkiem serio się zastanawiają, czy z tego pojazdu nie powinni wysiadać; w każdym razie pociągnęli już za hamulec bezpieczeństwa.

Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy jest chyba fakt, że funkcjonowanie Unii Europejskiej starano się wytłumaczyć za pomocą tradycyjnych określeń, które do tego się nie nadają. Należą do tego przykładowo wyjaśnienia, że Unia jest konfederacją lub federacją państw, albo że jest przejściem z jednej do drugiej formy ustrojowej. Propozycje, aby Unię rozumieć jako „rzeszę” lub „imperium” bądź jako „republikę”, prowadzą również w ślepy zaułek, gdyż takie określenia, z uwagi na ich konotacje historyczne, nie nadają się do wyjaśnienia tego, co stanowi specyfikę Unii Europejskiej.

Na domiar złego – a to mogło się pierwotnie przyczynić do zamieszania w wyobrażeniach ludzi – sama Unia nie chce być państwem. Takim państwem zresztą, zgodnie z interpretacjami większości państw członkowskich, Unia nigdy nie powinna się stać. Sprzecznym z tym dążeniem jest fakt, iż UE z reguły postrzegana i traktowana jest tak, jak gdyby była państwem. Z uwagi jednak na to, że generalnie traktowana jest w sensie prawnym jako państwo, przyznaje się jej kompetencję do określania własnych kompetencji, czyli prawa do określania jej właściwości w sposób scentralizowany lub zdecentralizowany według własnych potrzeb, aczkolwiek jeszcze nie teraz, ale zapewne w przyszłości. Takie pojmowanie państwa datuje się od czasów Niccolò Machiavellego (1469–1527) i Jeana Bodina (1529–1596), a podzielał je później także Thomas Hobbes (1588–1679) i John Locke (1632–1704), a nawet Immanuel Kant (1729–1804). Rozumowanie takie odcisnęło w każdym razie swoje piętno na naszej myśli politycznej aż po dzień dzisiejszy.

Przez długie lata nie było zresztą powodu do porzucenia tak rozumianego pojęcia państwa, którego źródłem jest europejski ład powstały po Pokoju Westfalskim, ponieważ w swej sile nośnej i w sposobie jego stosowania było ono utwierdzone i legitymizowane w skali świata. Jeżeli jednak tego rodzaju pojmowanie państwa obecnie uważa się za niewystarczające do sklasyfikowania konstytucji Unii Europejskiej, która nie chce ani nie może być państwem, to z konieczności nie pozostaje nam nic innego, jak zrezygnować z tak rozumianego pojęcia. Dotyczy to przede wszystkim określenia tego, czym Unia Europejska jest. A to nie jest łatwe, zwłaszcza wtedy, gdy nie wiemy, czym można i powinno się zastąpić dotychczasowe pojmowanie państwa.

Wydaje się zatem sensowne, aby zastanowić się, czy w ogóle istnieje potrzeba obstawania przy dotychczasowym pojęciu państwa. Mogłoby się okazać, że istnieją uzasadnione powody ku temu, by nadal stosować je w odniesieniu do państw członkowskich UE, dokonując jego pewnej relatywizacji, ale zrezygnować z niego w odniesieniu do samej Unii, ponieważ pojęcie to zaciemnia lub przysłania jej obraz. Być może w obstawaniu przy starym pojęciu, które służy określeniu zupełnie nowego systemu konstytucyjnego, tkwi właśnie cała tajemnica tego, że tak trudno było nazwać Unię Europejską.

Tajemnica Unii Europejskiej

Jeżeli wokół Unii Europejskiej istnieje jakaś tajemnica, którą należy odkryć, to tkwi ona w przekonującym udowodnieniu faktu, iż nawet przy odrzuceniu roszczenia do bycia suwerennym państwem posiadającym prawo do samookreślenia swoich kompetencji, UE będzie zdolna do działania i respektowana jako ponadnarodowy i międzynarodowy podmiot. Chciałbym w niniejszej rozprawie podjąć się zadania wyjaśnienia tej kwestii w sposób argumentatywny.

Tym, co z punktu widzenia prawa konstytucyjnego jest w UE nowatorskie, są – jeśli się nie mylę – dwa drobne, łatwe do przeoczenia uregulowania proceduralne, sformułowane w brukselskim projekcie konstytucyjnym (Traktacie ustanawiającym konstytucję dla Europy, TKE) z 29 października 2004 r. i umocowane także w Traktacie Lizbońskim z 13 grudnia 2007 r. Zapisy te mają następujące brzmienie: po pierwsze – państwa członkowskie poprzez „ograniczone pełnomocnictwa jednostkowe” (*begrenzte Einzelermächtigungen*, jak to nazwano w tekście niemieckim²) – przeniosły określone narodowe kompetencje na Unię (TKE, art. 1–11 (1)) oraz w Traktacie Lizbońskim w art. 5 (1), a po drugie – Unia „koordynuje” polityki państw członkowskich zmierzające do realizacji ich celów politycznych w trybie „wspólnotowym”³ (TKE, art. 1–1 (1)). Trochę łagodniej i bardziej prawidłowo ujęto to następnie w Traktacie Lizbońskim: Unia „wspiera spójność gospodarczą, spo-

² W wersji polskiej Traktatu zapis ten brzmi następująco: „Granice kompetencji Unii wyznacza zasada przyznania.”: <http://eur-lex.europa.eu/legal-content/PL/TXT/HTML/?uri=CELEX:C2004/310/01&from=DE>. Przep. red.

³ W tekście francuskim ten passus brzmi: „L’Union coordonne les politiques des États membres visant à atteindre ces objectifs et exerce sur le mode communautaire les compétences qu’ils lui attribuent”. Zobacz tamże, s. 17.

łączną i terytorialną oraz solidarność między Państwami Członkowskimi” (Traktat lizboński, art. 1–3 (3)). Bardziej prawidłowo dlatego, że świadomie zrezygnowano z zapisu, aby polityka zagraniczna i obronna pozostawała w gestii UE. „Bezpieczeństwo narodowe” nadal bowiem „pozostaje w zakresie wyłącznej odpowiedzialności każdego Państwa Członkowskiego” – jak to sformułowano w art. 4 (2) TKE 1. Państwa członkowskie w 2007 r. nie były gotowe do rezygnacji z tych kompetencji i do dzisiaj podtrzymują to stanowisko.

Tym samym – co w obydwu Traktatach wyraźnie podkreślono – stosunek państw członkowskich do Unii została uregulowana w sposób bardzo osobliwy według zasady subsydiarności a nie suwerenności (w art. I–11 (1)) TKE bądź też w Traktacie lizbońskim 1, w art. 5 (3). Nie poszczególne części określonej całości – jak to bywa w innych organizacjach państwowych – zostały poddane dyktatowi lub gwarancji całości, lecz odwrotnie: całość otrzymała od poszczególnych jej części tylko określone kompetencje, które ponadto są sprawowane w „trybie wspólnotowym”, to znaczy przy współdziałaniu tychże części. W ten sposób Unii Europejskiej wyraźnie odmówiono możliwości państwowości: dysponuje ona tylko określonymi kompetencjami, które zostały jej przekazane przez państwa członkowskie, a ich realizacja następuje od „dołu”, to znaczy w sposób kontrolowany przez te państwa będące „panami konstytucji”.

Pokazuje to, iż to nie Unia, lecz jej członkowie są „panami konstytucji UE”. Przypisali oni UE dwóch zbiorowych suwerenów w postaci ogółu państw członkowskich i ogółu obywateli – te pierwsze reprezentowane są w europejskiej Radzie Ministrów, ci drudzy mają swych przedstawicieli w parlamencie europejskim – i stworzyli dla UE podwójny fundament legitymizacyjny, który stanowią obywatele i państwa członkowskie. W tym właśnie wyraża się nowatorstwo jej organizacji, przy czym główną rolę, jak na razie, odgrywa ogół państw członkowskich w postaci Rady Europejskiej, chociaż od niedawna przy nominacji przewodniczącego Komisji przez Radę Europejską wymagana jest zgoda Parlamentu Europejskiego (Traktat lizboński 1, art. 17 (7) [3]).

Powstaje pytanie, w jaki sposób doszło do „odwrócenia” kompetencji w zakresie określania własnej kompetencji od „góry” do „dołu”? Odpowiedź w gruncie rzeczy jest bardzo prosta. Owo „odwrócenie” jest rezultatem okoliczności, iż nie istnieje żadna wspólnota zdolna do działania w postaci jednego europejskiego narodu, tak że trzeba ją było zastąpić jedynymi zdolnymi do działania częściami w postaci państw europejskich. To one wystąpiły z inicjatywą integracji europejskiej i utworzyły międzynarodową wspólnotę. I właśnie one są też siłą napędową procesu integracji europejskiej. Bez tych państw nie byłoby Unii Europejskiej. One tworzą jej polityczny kręgosłup, są jej alfą i omegą. Jednocześnie wielość suwerenów jak i jej fundamentów legitymizacyjnych stwarza też jej podstawowy problem prawno-konstytucyjny – a to przede wszystkim pod dwoma względami.

Jednym z problemów jest uchwalenie konstytucji dla tak specyficznej, subsydiarnej Unii. O ile jakieś państwo może nadać sobie konstytucję poprzez akceptację większości społeczeństwa w drodze referendum, albo też uchwalić reformę konstytucji przez kwalifikowaną większość parlamentarną, to uchwalenie konstytucji lub jej reforma w przypadku Unii nie wymaga większości, lecz zgody każdego z państw

członkowskich. Taka procedura nie musi być uchwalana zwykłą większością 50% plus 1, ani też większością dwóch trzecich, czyli 66,6% plus 1, ale musi uzyskać pełne 100%. W demokracjach jest to wymóg prawie nieosiągalny. Dlatego proces tworzenia konstytucji unijnej staje się niezmiernie trudny lub zgoła niemożliwy.

To, czy zaproponowana przeze mnie droga do ułatwienia reform konstytucyjnych w Unii w ten sposób, że w specjalnym traktacie konstytucyjnym jednomyślnie uchwalą się zmianę konstytucji za pomocą kwalifikowanych większości głosów państw członkowskich i wdroży się je w przyszłości, pozostaje kwestią dyskusyjną⁴. W każdym razie niezbędna do uchwalenia konstytucji bądź do jej reformy akceptacja poszczególnych członków Unii może całkiem łatwo doprowadzić do sytuacji, że Unia wskutek niezdolności do przeprowadzenia reform z własnej winy upadnie. W ten sposób, na wzór praktykowanego w staropolskim Sejmie „liberum veto” każdego z państw członkowskich, Unia z góry skazałaby się na kasację.

Podobnie kłopotliwy – przynajmniej na pierwszy rzut oka – jest drugi problem. Co znaczy określenie, iż polityka Unii w obszarach kompetencji przypisanych jej przez państwa powinna być prowadzona w „trybie wspólnotowym”? Gdyby to miało oznaczać, że polityka unijna – tak samo jak w kwestii uchwalenia konstytucji – musiałaby uzyskać aprobatę państw rozumianą jako „governance”, to Unia faktycznie skazana by była na niezdolność do podejmowania decyzji i do działania. Tak jednak nie jest. We wszystkich organach UE, to znaczy w Radzie Ministrów, w Parlamencie Europejskim, w Komisji Europejskiej, jak również w Trybunale Sprawiedliwości, Banku Centralnym i Trybunale Obrachunkowym obowiązuje reguła, o ile nie postanowiono wyraźnie inaczej, że uchwały dotyczące spraw „wspólnotowych” podejmowane są na zasadzie zwykłej większości głosów, jak zresztą w każdym państwie narodowym. W ten sposób i tylko tak zagwarantowana jest demokratyczna zdolność do działania i skuteczność Unii w praktyce. „Governance” – rozumiane jako wielopaństwowy organ sprawujący władzę i podejmujący decyzje, w powiązaniu z prawem weta każdego państwa w kwestiach politycznych, jest i pozostaje w tworzących się wspólnotach unijnych w międzyrządowych procesach decyzyjnych w najlepszym wypadku osobliwością lub czymś niewłaściwym i ma charakter przejściowy. Jak już wspomniano, również w kwestiach konstytucyjnych pozostaje użyteczny tylko w ograniczonym zakresie.

Jak widać, „tajemnica” UE, gdzie praktykuje się zasadę subsydiarności, kryje w sobie również określone mankamenty. Będziemy jeszcze wracać do zalet i wad subsydiarności. W kolejnych rozdziałach przedstawione będzie to, w jak osobliwych okolicznościach zasada ta weszła do prawa konstytucyjnego.

„Wynalezienie” Unii Europejskiej

Według mojej opinii, „wynalezienie” UE i jej subsydiarny charakter nie zrodziły się w wyniku świadomego aktu politycznego, lecz pod przymusem okoliczności,

⁴ Por. m.in. Helmut Wagner, *Nationen als „Konstituanten” der Verfassung – Eine Einführung in die beginnende europäische Verfassungsgeschichte*, in: Heiner Timmermann/Hans Dieter Metz (red.), *Europa – Ziel und Aufgabe: Festschrift für Arno Krause zum 70. Geburtstag*, Berlin 2000, s. 221n.

można by rzec, powstały jako produkt uboczny. Gdy 12 maja 1951 roku podpisano dokument erygujący nowatorską wręcz organizację polityczną pod nazwą „Europejska Wspólnota Węgla i Stali”, chodziło bardziej o konkretne sprawy, niż o teoretyczne rozważania. To, co się wówczas stało, czyli przekazanie suwerennych praw narodowych na rzecz tej Wspólnoty, pozostało po dziś dzień jakby prawozorem, mimo że jej przedmiot, czyli decyzje dotyczące wydobywania węgla oraz produkcji stali i żelaza, obecnie, 66 lat później, nie ma już żadnego znaczenia.

To, co w roku 1951 było czymś rewolucyjnym, w znaczeniu nowatorskim, czyli przeniesienie narodowych kompetencji na ponadnarodowy organ wykonawczy, nazwany Wysoką Komisją⁵, było postrzegane jako fakt marginalny. Uważano bowiem, że państwa członkowskie tylko w nieznacznym stopniu zrezygnowały ze swych suwerennych kompetencji. Z uwagi jednak na to, że utworzenie tej instytucji będzie służyło pokojowi między uczestniczącymi w niej narodami, postanowiono wyrazić zgodę na jej powstanie. Państwom członkowskim odebrano władzę nad, jak wtedy mniemano, dwoma podstawowymi elementami niezbędnymi do prowadzenia wojen, mianowicie nad węglem i stalą. Tym samym odebrano im możliwość wszczynania przeciwko sobie wojen. Odstąpienie niektórych kompetencji narodowych na rzecz wspólnotowej organizacji uważano bardziej za gwarancję niż stuprocentowe zobowiązanie pokojowe, jakie można by w każdej chwili cofnąć.

Przy takiej argumentacji trzeba jednak uwzględnić fakt, iż przy przekazaniu tego rodzaju prawa suwerenności narodowej na inną instytucję chodziło swego czasu przede wszystkim o sprawowanie kontroli nad niemieckim potencjałem wojennym, który rozmieszczony był przede wszystkim nad Ruhrą i Renem. Był z tym niewątpliwie związany pewien podstęp, gdyż pozostałych pięciu państw członkowskich, tj. Francji, Włoch, Holandii, Belgii i Luksemburga, kwestia ta dotyczyła w o wiele mniejszym stopniu. Dlatego też te państwa, a przede wszystkim Francja, zinterpretowały ten fakt jako wielki sukces, bowiem w ten mało spektakularny sposób zneutralizowano na przyszłość niemieckiego sąsiada, który ponownie mógłby stać się dla nich zagrożeniem. Ironia historii doprowadziła tymczasem do tego, że także inne państwa członkowskie tej Wspólnoty, przez ten mały krok w kierunku przystąpienia do tej samej wspólnej organizacji, w równej mierze wzięły na siebie określone zobowiązania. Ze strony Republiki Federalnej Niemiec, która wówczas liczyła sobie dopiero dwa lata, można było przedstawić to wydarzenie również jako sukces, gdyż dotychczasowa, praktykowana od roku 1945, powojenna kontrola zagłębia Ruhry przez obce państwa nie miała trwać w nieskończoność, lecz przejęta została przez wspólną organizację.

Przejęcie zwierzchnictwa nad produkowanym przez Republikę Federalną węglem i stalą przez ponadnarodową wspólnotę sześciu państw było także po myśli pierwszego kanclerza federalnego okresu powojennego, Konrada Adenauera (1876–1967). Już od końca lat 20. XX wieku opowiadał się on za bliskimi związkami gospodarczymi i politycznymi z Francją, a wręcz za ich organizacyjnym spleceniem. Wobec tego ani przez moment nie wahał się skorzystać z francuskiej oferty

⁵ Por. art. 8 i 9 Traktatu EGKS z dnia 18 kwietnia 1951, (w:) <<http://www.politische-unin.de/egksv.htm>>. W art. 13 Traktatu jest mowa o tym, że: Uchwały Wysokiej Komisji podejmowane są większością (dziewięćciu H.W.) głosów jej członków”.

utworzenia Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, gdyż odpowiadało to jego wcześniejszym zamiarom. Tym samym dopomógł w ogóle powstaniu tej Wspólnoty, nadał dynamikę integracji europejskiej, która bez Republiki Federalnej Niemiec pozostałaby jedynie kadłubem. A tak stała się jakby embrionem Unii Europejskiej.

Ogólnie rzecz biorąc, „ojcem duchowym”⁶ propozycji przedstawionej 9 maja 1950 roku przez ówczesnego francuskiego ministra spraw zagranicznych Roberta Schumana (1886–1963), skierowanej do wszystkich państw europejskich, a mającej na celu utworzenie Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, był Jean Monnet (1879–1972). Pomysłodawca i planista tej instytucji napisał później w swoich wspomnieniach, jakie były jego motywy do jej utworzenia oraz jak wyobrażał sobie drogę prowadzącą do sukcesu w postaci integracji europejskiej:

Gdybyśmy niczego nie uczynili, stanęlibyśmy w obliczu nowej wojny. Niemcy wtedy wprawdzie nie byłyby jej przyczyną, ale jej okazją. Niemcy musiały przestać być taką okazją, musiały stać się więzią. Jedyne Francja była w tej sytuacji zdolna podjąć odpowiednią inicjatywę. Kto mógłby, zanim będzie za późno, połączyć ze sobą Francję i Niemcy, w jaki sposób można było u nich zakorzenić potrzebę dążenia do wspólnych interesów? To pytanie zadawałem sobie nieustannie, koncentrując się podczas samotnych spacerów (w górach Szwajcarskich, przyp. H.W.)⁷.

O tym, w jaki sposób można by uniknąć raz na zawsze w przyszłości ponownych wojen między społeczeństwami europejskimi, przemyśliwano wówczas, zaledwie pięć lat po zakończeniu wojny, w wielu środowiskach. Jednakże pomysł, aby cel ten zrealizować poprzez „zakorzenienie” wspólnego interesu i poprzez jego „instytucjonalizację”, i aby uczynić zeń metodę integracji, zrodził się najpierw u Jana Monneta. Według niego chodziło o to, by we właściwym momencie, poprzez stworzenie odpowiednich instytucji, zorganizować wspólne interesy i zarządzać powstałą w ten sposób wspólnotą państw.

Tym samym, jak sądzę, Jean Monnet znalazł receptę na sukces procesu integracji europejskiej. Polegała ona na pobudzeniu wspólnych interesów wśród dotychczas skłóconych ze sobą państw, nadaniu im stałych i trwałych ram instytucjonalnych oraz na stopniowym rozszerzaniu kompetencji powstałej w efekcie tego wspólnoty. W ten sposób udało się pojednać narody Europy uczestniczące w tym przedsięwzięciu integracyjnym, dać im poczucie przebywania w tej samej „łodzi” i bycia zdanymi na siebie wzajemnie w obliczu radzieckiego zagrożenia. Bycie razem stało się kwestią egzystencjalną. To, jak sądzę, było swego czasu impulsem do utworzenia Wspólnoty Węgla i Stali.

Uczestniczące w tym projekcie narody doświadczyły przy tym tego, że ich częściowy bądź sektorowy udział w tym przedsięwzięciu – mimo trudności i zakłóceń

⁶ Por. Anna Holz, *Jean Monnets Europaidee damals und heute – Die Aktualität der Europaidee Jean Monnets im Lichte der Integrationsdebatte im Post-Nizza-Prozess*, Saarbrücken 2007.

⁷ Jean Monnet, *Erinnerungen eines Europäers*, München 1980, s. 368 (tłumaczenie z języka niemieckiego – przyp. tłum. W.L.).

wynikających z dobrowolności w jego pogłębianiu i rozszerzaniu – zapowiadał się jako sukces i był dla nich ostatecznie opłacalny. A że w tym procesie decydującą rolę odegrały szczególnie doświadczenia historyczne oraz dogodne uwarunkowania polityczne zarówno wewnętrzne jak i zewnętrzne, było zawsze intencją Monneta stosującego „metodę pragmatyczną”. Metoda ta – według oceny Matthiasa Schönwalda – cechowała się „wielką elastycznością i umiejętnością skoncentrowania się na kwestiach zasadniczych, bez pomniejszania przy tym celu, jakim było dążenie do Stanów Zjednoczonych Europy”⁸. Jest rzeczą charakterystyczną, że sam Monnet nigdy nie określił tego, jak należy zaszeregować w teorii ten końcowy produkt jego projektu. Nie interesowało go to. Dla niego ważniejsze było ukazanie drogi prowadzącej do wyznaczonego przezeń celu.

Integracja europejska nie była zatem sprawą oczywistą, a tym bardziej nie była samonapędzającym się procesem. Pokazało to między innymi fiasko Traktatu z Brukseli, który przez wielu określany był jako „istotny postęp”⁹ na drodze do integracji i jako odwrót od „metody Monneta”. Przy formułowaniu Traktatu Brukselskiego przez Konwent Europejski postępowano według „metody deliberacji”, która zyskała spory poklask¹⁰. W jej przypadku nie chodziło o mozolne rokowania przedstawicieli rządów za zamkniętymi drzwiami, ale o otwarty dyskurs ekspertów-konstytucjonalistów, polityków i reprezentantów grup społecznych. Same społeczeństwa pozostawiono przy tym na uboczu. Niektóre z nich poczuły się później niedowartościowane. Dlatego projekt Traktatu Brukselskiego poniósł fiasko.

Potencjalne mocne strony Unii Europejskiej

Według mnie istnieją trzy zalety, które wyróżniają Unię i czynią ją atrakcyjną w porównaniu z innymi organizacjami politycznymi: Po pierwsze chodzi o fakt, że państwa należące do niej pozostały niezagrożone w swej egzystencji, lecz że możliwe było w jej ramach „dobrowolne przystąpienie” wielkiej liczby dużych i mniejszych państw w skali całego kontynentu. Po drugie, UE jako centrum władzy nie zagarnęła wszystkich kompetencji, przez co nie może dojść do wynaturzenia w postaci powstania „państwa monstrualnego”, lecz przeciwnie – Unia na zasadzie subsydiarności uzyskała tylko takie kompetencje, których nie mogłyby sprawować o wiele efektywniej państwa członkowskie. Jako trzeci z kolei dochodzi efekt, który dla stosunków międzynarodowych jest nie bez znaczenia: Unia Europejska jako kontynentalne centrum władzy została jakby „przywiązana do łańcucha wchodzących w jej skład państw członkowskich” i w ten sposób jest niepodatna

⁸ Matthias Schönwald, *The Same – Should I Say – Antenna – Gemeinsamkeiten und Unterschiede im europäischen Denken von Jean Monnet und Walter Hallstein (1958–1963)*, (w:) Andreas Wilkens (red.), *Interessen verbinden – Jean Monnet und die europäische Integration der Bundesrepublik Deutschland*, Bonn 1999, s. 296.

⁹ W oryginale użyte jest pochodzące ze słownictwa marketingu słowo *Quantensprung* (przyp. red. wersji polskiej T.G.P.). Daniel Göler, *Der Gipfel von Laeken: Erste Etappe auf dem Weg zu einer europäischen Verfassung?* (w:) „Integration” 25 (2005), nr 2, s. 106.

¹⁰ Daniel Göler, *Deliberation – Ein Zukunftsmodell europäischer Entscheidungsfindung? – Analyse der Beratungen des Verfassungskonvents 2002–2003*, Baden-Baden 2006.

na ryzykowne „misje uszczęśliwiania świata”. Poprzez swą strukturę Unia jest do tego stopnia zajęta sobą, że wszelkie imperialne zakusy – podobnie jak w Szwajcarii – są jej obce.

Utrzymywanie mnogości państw

Tworzenie państw o zasięgu światowym lub imperiów dotychczas zrealizowano jedynie za pomocą podbojów. Inne narody pod presją lub jak w przypadku Austrii – przez małżeństwa władców były zmuszane do tego, by stawały się częścią składową jakiejś większej jednostki. Dawało to gwarancję, że nie były w stanie tej większej jednostki rozerwać. Całkiem inaczej postępuje jednostka, jaką jest Unia Europejska. Stawia ona na dobrowolność przyłączenia się i otwiera przed państwami członkowskimi możliwość jej opuszczenia w każdym momencie, jak to zapisano w Traktacie Brukselskim (art. 60 (1) oraz po raz drugi w Traktacie Lizbońskim (art. 50 (1), jeżeli przynależność do Unii nie będzie leżała w interesie danego państwa. Wobec tego istnienie żywotnych, silnych i ambitnych państw jest wręcz warunkiem utworzenia Unii. Jej trwałość, bezpieczeństwo i pomyślność leżą zatem w interesie samej Unii – zupełnie inaczej, niż to było w przypadku imperiów, które bazowały na ucisku i wyłączeniu wszelkiego rodzaju samodzielnych ośrodków władzy na swoich obszarach. Prezes brukselskiego konwentu konstytucyjnego Valéry Giscard d'Estaing (ur. w 1926 r.) uzasadnił klauzulę możliwości wystąpienia z Unii argumentem, iż UE jest dla państw członkowskich ostoją a nie więzieniem.

Odwroćcie metod stosowanych w imperiach ma swoje umocowanie i może być praktykowane także tylko dlatego, że we wspólnocie takiej jak UE to nie centrum tworzy i utrzymuje jej członków, kierując się interesem własnym, lecz że oni sami zakładają, organizują i kontrolują owo centrum na gruncie własnych interesów. Na centrum ceduje się jedynie takie kompetencje, których państwa członkowskie same nie mogą realizować, gdyż przekraczałyby to ich możliwości. Ponadto polityka Unii sprawowana jest pod egidą państw członkowskich. Polityka ta jest kontrolowana przez personel odelegowany przez te państwa do unijnych organów, to znaczy do Europejskiej Rady Ministrów, Parlamentu Europejskiego, Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości i Komisji Europejskiej. Możliwe jest to tylko pod warunkiem umocowania subsydiarnego podziału władzy w konstytucji. Tylko przez to, że państwa członkowskie i centrum posiadają odrębne kompetencje, w ramach których mogą podejmować swobodne, uznaniowe decyzje, zapewniona jest funkcjonalność całości.

Zgodnie z przekonaniem, że poziomy podział władzy na legislatywę, egzekutywę i judykatywę nie spowodował siłą rzeczy niezdolności państwa do działania, lecz umożliwił jedynie kontrolę nad rządzącymi, tak samo pionowy podział władzy między regionami a Unią nie paraliżuje ani tych pierwszych, ani tej ostatniej, tylko czyni Unię aktorem kontrolowanym, ale zachowującym mimo wszystko samodzielność na arenie supranarodowej i międzynarodowej.

Ograniczenie postaw imperialnych

Poza tym, iż Unia opiera się na państwach istniejących w jej ramach, i że ona dla swojego istnienia potrzebuje nawet ich większej liczby, pionowy podział władzy charakteryzuje się jeszcze innym walorem, który dla samej Unii jest czynnikiem ważnym. To, że Unia nie jest państwem, zapobiega pokusie, której w przeszłości ulegały wszystkie wielkie państwa – czy to demokratyczne czy dyktatorskie: rozbudowy swych kompetencji w nieskończoność, przez co stawały się „monstrualnym państwem”. Taki los nie był udziałem jedynie wielkich państw totalitarnych. Nawet w USA czy Republice Federalnej Niemiec zauważa się tendencję, by kosztem poszczególnych stanów czy krajów przynależnych do nich przejmować coraz więcej kompetencji. Mocarstwa nigdy z własnej inicjatywy nie są skłonne lub w stanie zapobiec procesowi koncentracji władzy. Ich immanentny dynamizm, bez którego, jak uważają, nie mogą istnieć, wymusza ich permanentne pomnażanie kompetencji bądź stanu posiadania zarówno na zewnątrz jak i w ramach struktur wewnętrznych.

Przykład Szwajcarii utwierdza nas w domniemaniu, iż tego rodzaju zagrożeniu można zapobiec tylko przez to i pod warunkiem, iż kraje wchodzące w skład całości mają na gruncie konstytucji ostatnie słowo w kwestii podziału kompetencji. W innym przypadku, gdy federacja pojmować się będzie jako państwo i rościć sobie będzie prawo do określania kompetencji w zakresie swoich prerogatyw, nie da się już powstrzymać procesu koncentracji władzy wewnętrznej państw dążących do bycia wielkimi. W przypadku subsydiarnej organizacji UE, niemającej charakteru władzy państwowej, takiego zagrożenia na szczęście nie ma.

Zapobieganie awanturniczemu zachowaniom w polityce zagranicznej

Oprócz wspomnianej cechy charakterystycznej UE, jaką jest jej odporność na „monstrualność państwa”, dodać można jeszcze kolejną zaletę. Długo wmawialiśmy sobie, iż tylko dyktatury dążą do imperializmu. Od niedawna jednak wiemy, że również demokracje, jeśli mogą i ulegną dążeniu do „uszcześliwiania świata”, podejmują awanturnicze, oparte na przemocy działania. W zasadzie powinniśmy powiedzieć, że nauczyliśmy się tego po raz wtóry, gdyż nie wolno zapomnieć o tym, że demokracja ateńska za czasów Peryklesa w IV wieku przed naszą erą, jak i demokracja angielska w XIX wieku naszej ery za czasów Benjamina Disraeliego (1804–1881) oraz Williama Gladstona (1805–1898) wykazywały ambicje imperialistyczne i całkiem chętnie je realizowały. W jaki sposób zatem można im zapobiec na gruncie konstytucji?

Obawiam się, że w przypadku „demokratycznego imperializmu” tylko jeszcze jeden dodatkowy pionowy podział władzy byłby w stanie nas od niego uchronić, albo przynajmniej stanowić trudną do pokonania barierę. Wyobrażam sobie w każdym razie, iż nie doszłoby do wojny z Irakiem, gdyby decyzja o użyciu amerykańskich wojsk w tym kraju zależała nie wyłącznie od prezydenta USA, lecz również od amerykańskiego senatu, to znaczy od 50 amerykańskich stanów. Chodzi mi

o to, że poprzez przeniesienie decyzji w sprawie wojny i pokoju z centrum władzy wielkich mocarstw na ich poszczególne kraje członkowskie, międzynarodowe interwencje poszczególnych mocarstw stałyby się o wiele trudniejsze. Dlaczego? Po prostu dlatego, że państwa członkowskie kierują się innymi priorytetami niż wielkie mocarstwa. Subsydiarnie skonstruowane unie, w przeciwieństwie do suwerennych mocarstw, najprawdopodobniej byłyby skłonne podejmować w relacjach międzynarodowych raczej działania pokojowe i utrwalające pokój.

Inne uwagi

Co poza poruszonymi tutaj kwestiami strukturalnymi przemawia jeszcze za UE jako unijną organizacją nowego typu? Naturalnie są to: jedyny w swoim rodzaju sukces gospodarczy, dzięki któremu Unia stała się największym światowym potentatem handlowym, oraz jej waluta euro, która zmierzyła się skutecznie z dolarem, jako wiodącą walutą na świecie. Ponadto za znaczeniem UE przemawia jej atrakcyjność polegająca na tym, że w 1952 r. liczyła tylko sześciu członków, a w 2016 r. ma ich już 28 z prawie pół miliardem obywateli. Nie do pogardzenia jest także jej międzynarodowy prestiż, który przyczynił się do uzyskania przez nią, przede wszystkim w porównaniu do USA, Chin czy Rosji, sławy bycia „benevolent actor”¹¹. Do tych i innych możliwych zalet UE, które wynikają przede wszystkim z jej szczególnych form organizacyjnych, dochodzą niestety również jej liczne mankamenty. Tego nie da się ukryć.

Potencjalne słabości Unii Europejskiej

Największą konstytucjonalną słabość UE widzę w fakcie, że – po pierwsze – dotychczas nie występowała jako mocny, lecz raczej jako słaby, wręcz „będący do zanegowania podmiot międzynarodowy”. Po drugie Unia z powodu dużej ilości swych suwerenów jawi się z wewnętrznej perspektywy jako twór nadzwyczaj nieprzewidywalny, niekiedy nawet niezdolny do działania, by nie powiedzieć niezdarny. Cóż powiedzieć o tych dwóch mankamentach?

Aktualna słabość UE wynika z jej niedokończoności

Co się tyczy udokumentowanej wstrzeźliwości Unii jako podmiotu na arenie międzynarodowej, to należy stwierdzić, że UE nie nosi tego znamienia od początku swego istnienia, lecz odpowiedzialność za ten stan rzeczy wynika jedynie z dotychczasowej niedokończoności UE. Doprowadziła ona do jej „niedojrzałości” na arenie międzynarodowej. Niedokończoność Unii wywodzi się przede wszystkim z tego, że polityka zagraniczna i polityka bezpieczeństwa UE jeszcze nie zostały „uwspółnotowane” i nadal obie sfery leżą w gestii europejskich państw narodowych.

¹¹ Por. m.in. Dirk Messner, *The European Union – Protagonist in a Multilateral World Order or Peripheral Power in the „Asia-Pacific” Century*, (w:) IPG, 1/2007, s. 12 nn.

Tego mankamentu nie da się zatuszować, mimo wszelkich upiększeń zawartych w dotychczasowych traktatach unijnych w postaci życzeń i postulatów. Dopóki obowiązują zapisy art. 40 (6) Traktatu Brukselskiego oraz art. 4 (2) Traktatu Lizbońskiego, stanowiące, że decyzje Rady Europejskiej w sprawach dotyczących polityki zagranicznej i bezpieczeństwa należy podejmować w zasadzie „jednogłośnie”, Unia nie jest w stanie przemawiać w tej dziedzinie jednym głosem. Oznacza to, że państwa członkowskie UE w tej trudnej dla każdego z nich oddzielnie dziedzinie mogą tak działać jak dotychczas według własnego uznania, z czego też bez żenady po części korzystają.

Skutek jest naturalnie taki sam, jak gdyby 50 stanów w USA określało z osobna według własnego uznania amerykańską politykę zagraniczną. W przypadku UE sytuacja w tej dziedzinie pozostanie niezmieniona aż do momentu, kiedy i ta domena państw członkowskich zostanie „uwspólnotowiona”. Dopiero wtedy będzie można mówić o jednolitej polityce zagranicznej i polityce bezpieczeństwa UE. To jest tak samo pewne, jak podejmowane większością głosów decyzje Europejskiego Banku Centralnego we Frankfurcie nad Menem dotyczące wysokości stóp procentowych we wszystkich państwach strefy euro, co jest respektowane.

Wielość suwerenów

Co się tyczy drugiego mankamentu UE, to znaczy wielości suwerenów wchodzących w jej skład, należy najpierw stwierdzić, że jej pluralizm faktycznie jest zdumiewający. Przyzwyczailiśmy się wprawdzie do tego, że monarcha lub dyktator bywają suwerenami. Doprowadziliśmy też do tego, że suwerenność bądź władza najwyższa stała się bezosobowa, gdyż albo wszelka władza „sprawowana” jest przez państwo lub przez lud albo naród – jak to pięknie określa szereg konstytucji na świecie. Ale cóż innego jak nie nasze przyzwyczajenie i brak doświadczenia pozwalają na to, by suwerenność była cechą i sprawowana była nie tylko przez pojedynczy naród, ale także przez kilka narodów?

Tak samo jak poziomy podział władzy na egzekutywę, legislatywę i judykaturę nie likwiduje suwerenności, tylko ją modyfikuje, by była kontrolowaną, tak samo pionowy podział władzy na centrum i na państwa członkowskie tej suwerenności nie unicestwiają, lecz ją także tylko modyfikują, czyniąc ją funkcjonalną we wspólnotach o wymiarze kontynentalnym. Ważne jest w tym kontekście jedynie to, by sprawowanie tak podzielonej suwerenności w przypadku UE miało demokratyczną legitymizację zarówno ze strony organów UE, jak i państw członkowskich. Jest to uregulowane w konstytucji UE, Traktacie Lizbońskim i ma moc prawną.

Dokonywany pionowy podział władzy między organami Unii a państwami wchodzącymi w jej skład sprawdził się i nie był kwestionowany w dziedzinach, w których był realizowany, czyli w sferze gospodarczej i walutowej. Trudno zatem zrozumieć, dlaczego taki podział władzy nie miałby obowiązywać również w dziedzinie polityki wewnętrznej i bezpieczeństwa.

Tym, co przemawia w szczególności za takim podziałem kompetencji, jest fakt, że wielkie państwa o wymiarze kontynentalnym, które obstają przy suwerenności zmonopolizowanej, niepodzielonej, sprawują ją zarówno wewnątrz jak i na

zewnątrz w identyczny sposób, czyli centralistycznie. Można to uznać za właściwe i efektywne w odniesieniu do ich polityki zagranicznej. Ale w odniesieniu do polityki wewnętrznej oznacza to, że nie biorą pod uwagę swoistych interesów swych części składowych i swej różnorodności etnicznej. Aby uniknąć katastrofalnych skutków takiej centralizacji, czyli narzucania reguł prawnych niezgodnych z oczekiwaniami ludzi i braku skuteczności w sferze gospodarczej, nakazem rozumu jest pionowy podział władzy, jaki praktykowany jest w UE.

Tym, co zmusza mocarstwa wieloetniczne do odrzucania pionowego podziału władzy i do upierania się przy monopolizacji użycia władzy w polityce wewnętrznej i zagranicznej, jest strach przed rozpadem. Heike Holbig nazywa to „bałkanizacją”¹². Mocarstwa takie ze swej natury i we własnym rozumieniu nie są w stanie nie są gotowe na zawieranie kompromisów w kwestii suwerenności, w zamian za to dążą do tłumienia w zarodku wszelkich tendencji zmierzających do rozpadu całości. Ta ich bezkompromisowość jednak prędzej czy później prowadzi siłą rzeczy do rozerwania politycznej jedności, jak to widać było na przykładzie dawnych lub też współczesnych imperiów, które utrzymywały się u władzy wyłącznie środkami przemocy. Zapobiec temu procesowi można jedynie poprzez ustanowienie państwowej suwerenności nie tylko w dziedzinie subsydiarności poziomej, ale też pionowej, która oczywiście będzie odpowiednio legitymizowana. Jedno jest pewne: jakakolwiek unia oparta na subsydiarności, taka jak UE, będzie miała przyszłość tylko pod warunkiem, że jej forma organizacyjna będzie lepiej ułożona, czyli będzie w stanie reagować w sposób stabilniejszy i elastyczniejszy, aniżeli były i są do tego zdolne dawniejsze imperia.

Subsydiarna unia państw jako model dla ponadnarodowych organizacji

Unia Europejska oparta na horyzontalnym i pionowym podziale suwerenności państwowej jest jakby obowiązkowym modelem dla przyszłych mocarstw wszelkiego rodzaju, jeżeli dążyć będą do zgodnej z duchem czasu, sprawnej i odpowiednio legitymizowanej formy swego zorganizowania. Na dłuższą metę wyobrazić można sobie inne formy organizacyjne, ale nie lepsze. To, co na pierwszy rzut oka wydawało się czymś ryzykownym, niosącym w sobie wręcz znamiona anarchii, gdzie pionowy podział suwerenności jest praktykowany przez kilku aktorów, okazuje się nieodzownym zabezpieczeniem na życie dla ponadnarodowych wspólnot politycznych wielkich rozmiarów.

Realizowana w tym przypadku zasada subsydiarności spełnia dwa warunki: Umożliwia dobrowolne połączenia organizmów państwowych bez uszczerbku dla wspólnot politycznych. Poza tym nadaje takiej unii odpowiednią i niezbędną legitymizację, bez której ona nie może istnieć. Dopiero te warunki umożliwiają utworzenie, można by rzec autentycznej wspólnoty pod nazwą „Stany Zjednoczone”, nie składając w ofierze suwerenności swoich członków na ołtarzu jakiegoś

¹² Heike Holbig, *China fürchtet die Balkanisierung*, (in:) „Focus” nr 11, 31 marca 2008, s. 167.

superpaństwa, które omyłkowo nazwano federacją. To właśnie stało się losem „Stanów Zjednoczonych Ameryki”, gdzie przystąpiono do wspólnoty wbrew własnej woli, z konieczności zgodnie z modelem westfalskim: unia państw Stanów Zjednoczonych jako jednostka polityczna uzyskała charakter państwowy, który poszczególne stany utraciły. Unia Europejska zaś, jeżeli będzie jej sprzyjać szczęście i wystarczy jej siła, może wykreować nową formę organizacji politycznej i zapoczątkować nową erę, do otwarcia której przyczyniło się w sposób zasadniczy, a nie przypadkowy francusko-niemieckie dzieło zwane Europejską Wspólnotą Węgla i Stali, uruchomione przez Roberta Schumana i Konrada Adenauera, którzy rozpoznali znaki czasu.

II. Unikat Unii Europejskiej i jej celowość

W przeszłości znaliśmy sporo przyczyn – politycznych i naukowych, dla których celowość Unii Europejskiej pozostawała kwestią otwartą. Politycy mieli swoje racje, aby w tej sprawie wiążąco się nie wypowiadać, gdyż wówczas pojawiłby się przeciwnicy, którzy nie tylko utrudniliby zamierzoną integrację europejską, ale być może przeskodziliby w jej funkcjonowaniu. Naukowcy zaś mieli poważne powody, by nie mówić o nowatorstwie Unii. Przepuszczalnie byli zdania, że to nie ich sprawa, by wszczynać spekulacje na temat przyszłości UE. A jeżeli się ku temu skłaniali, to ulegali pokusie definiowania UE za pomocą niezbyt przydatnych określeń lub prezentowania Unii jako organizacji *sui generis*, to znaczy jako systemu rządów, jakiego dotychczas jeszcze nie było, co absolutnie nie przyczyniało się do jej lepszego zrozumienia.

Aktualnie rzecz wygląda natomiast zupełnie inaczej, tak jakby jedni i drudzy czuli się zmuszeni do zajęcia w tej sprawie stanowiska. Politycy pragną społeczeństwu wyjaśnić, dokąd ich podróż zmierza; a naukowcy chcą wreszcie dokładnie określić to, co się znajduje *in statu nascendi*, gdyż pragną wyrobić sobie pojęcie o konstrukcji UE celem jej zrozumienia. Tego domaga się obecnie opinia publiczna bardziej niż kiedykolwiek przedtem. To, co przez długi okres uchodziło za zaletę, to znaczy nieokreślanie się w kwestii celowości UE, z biegiem czasu stało się niczym zły sen, który zagraża przyszłości Unii, jeżeli nie odpowiemy na pytanie, jaka ta Unia ma być.

Dotychczasowe informacje

Prawdą jest, że niektórzy politycy – obecnie w większości już nieaktywni – starali się od czasu do czasu nazwać to dziecko po imieniu. I tak Winston Churchill (1874–1965) już w 1948 r. mówił o przyszłych *United States of Europe*. Trochę później Charles de Gaulle (1890–1970) uważał za stosowne kilka razy z naciskiem mówić o *l'Europe des patries*. A z kolei Robert Schuman (1886–1963) nazwał swoje marzenie *la fédération européenne*. Natomiast Jacques Delors (ur. w 1925 r.) skorzystał z określenia *fédération des états-nations*. Najbardziej odważnie i – jak ja to widzę – przekonująco wypowiedział się niemiecki Trybunał Konstytucyjny, stwierdzając w swoim orzeczeniu dotyczącym Traktatu z Maastricht z 1993 r., że Unia Europejska ani nie jest państwem związkowym, ani federacją, tylko po prostu „związkiem państw”.

Niestety żadna z tych definicji się nie przyjęła, nie została zaakceptowana. Unii Europejskiej brakuje dotychczas określenia, które by uwypuklało jej szczególnie, unikatowy charakter, i tym samym zyskało powszechne poparcie. Wymienione wyżej nazwy pokazują raczej zakłopotanie i nie przyczyniają się do wyjaśnienia kwestii. Dlatego należy najpierw przedstawić powody, dla których było tak trudno znaleźć dla Unii odpowiednie określenie. Co dotychczas było przyczyną tego, że nie znaleziono dla UE konkretnej definicji?

Dlaczego tradycyjne określenia z zakresu prawa państwowego są nieprzydatne?

Dostrzegam pierwszy powód, dla którego pojęcie z zakresu prawa państwowego są w odniesieniu do UE nieprzydatne, w istnieniu dwóch okoliczności. Po pierwsze, pojęcie państwa zakłada, że wyłącznie państwo dysponuje monopolem władzy. Nawet jeżeli monopol ten jest trójpodziałowy i składa się w demokratycznych państwach z egzekutywy, legislatywy i judykatywy, to mimo wszystko państwo pozostaje dysponentem wszelkich kompetencji, co oznacza, że podejmuje ono za swoich obywateli wszelkiego rodzaju wiążące decyzje. Ale akurat te właściwości zgodnie z wolą państw członkowskich i ich konstytucji nie leżą w gestii Unii Europejskiej.

Z jednej strony państwa członkowskie nawet nie myślą o tym, aby odstąpić swój monopol władzy komukolwiek i tym samym stać się tylko zdegradowanym obiektem unijnej centrali. Państwa nie czują się tylko „panami konstytucji UE”, ale są nimi faktycznie! Któż bowiem stworzył Unię, która powstała w długotrwałym procesie? Kto gwarantuje jej spójność? A kto będzie decydował o jej przyszłości? Nikt inny jak tylko państwa członkowskie! Według ich własnego rozumienia siebie, jak długo będą istnieć i dopóki nie będzie europejskiego narodu, nie będzie też ogólnoeuropejskiego państwa. Natomiast państwa te wyraziły zgodę na odstąpienie części swego monopolu władzy na rzecz UE w sprawach, których nie są w stanie samodzielnie realizować.

Tak zresztą zostało to zapisane w traktatach z Maastricht i Lizbony, a więc w obecnej konstytucji unijnej. Zgodnie z ich jednobrzmiącym zapisem w art. 5, państwa członkowskie, o ile wszystkie tego zechcą, mogą przekazywać niektóre swoje kompetencje „zgodnie z zasadą przyznania”, jak to zostało sformułowane w art. 1, „do osiągnięcia ich wspólnych celów”. W trakcie procesu integracyjnego stało się to po części już faktem i będzie się dalej w tym kierunku rozwijać. To jednak nie zmienia stanu rzeczy, iż dopóki obowiązują aktualne traktaty unijne, nikt inny jak tylko państwa członkowskie będą i pozostaną „panami konstytucji”.

Nowatorstwo Unii Europejskiej

Cechą szczególną UE jest to, że sprawowanie suwerenności – zgodnie z zasadą subsydiarności – jest w niej podzielone, a to znaczy na gruncie podziału kompetencji państwa. W Republice Federalnej Niemiec władza podzielona jest na trzy części – między landami, federacją i Unią Europejską. Na tym właśnie polega nowatorstwo UE, iż ona sama nie jest państwem i nie chce nim być. Unia kieruje się innymi prawami niż państwa. To jednak nie oznacza, iż staje się niefunkcjonalna. Wręcz odwrotnie, co będą się starał udowodnić. Unia tylko inaczej reaguje i inaczej funkcjonuje, do czego trzeba będzie się przyzwyczaić.

Unia jest nowatorska, ale się jeszcze nie sprawdziła – a to jest drugim powodem, oprócz powściągliwości polityków i naukowców, by spekulować, dlaczego jedni i drudzy nie chcą dokładnie określić, czym UE dla nich jest. Jest rzeczą zastanawiającą, że prawnicy i przedstawiciele nauk społecznych, którzy w innych przypadkach od ręki oferują konkretne pojęcia, w tym przypadku są ostrożni.

Moim zdaniem mamy do czynienia z sytuacją, w której dawne definicje prawo-państwowe są nieprzydatne, a samej Unii, do której trzeba się przyzwyczaić, zabrakło chyba odwagi, by się określić, wobec czego naukowcom zabrakło języka i są poirytowani. Poza wstępnymi próbami, jak np. ze strony takich naukowców jak Armin von Bogdandy, Ingolf Pernice, Ulrich K. Preuß i Christoph Schönberger, nie dysponujemy w Niemczech jak na razie żadnymi systematycznymi badaniami służącymi określeniu tej nowatorskości. Ponadto wywody wymienionych autorów zostały przyjęte do wiadomości przez mały krąg fachowców, a w sferze publicznej nie znalazły odpowiedniego oddźwięku. W końcu, jak należy przyjąć, w przypadku UE chodzi o formę organizacji politycznej, z jaką dotychczas, przynajmniej od ponad czterystu lat, w okresie postwestfalskim, to znaczy po zakończeniu wojny trzydziestoletniej, nigdzie na świecie jeszcze się nie spotkaliśmy. Dlatego Unię Europejską z powodu jej szczególnej konstrukcji należy uznać za unikat.

Wady konstrukcyjne Unii Europejskiej

W kolejnych moich rozważaniach nie mam zamiaru dyskutować na temat definicji, bo uważam to za stratę czasu. Zakładam natomiast, że UE jest na wskroś nowym politycznym podmiotem, który po prostu nazywam „unią państw”. W tych ramach, oprócz tego, co już powiedziałem, nie będę zajmował się jej konstytucyjnymi uwarunkowaniami. Nie ustosunkuję się też do klauzuli zawartej w art. 50 Traktatu Lizbońskiego, że każde państwo członkowskie ma prawo wystąpić z Unii, jeżeli uzna, iż leży to w jego interesie, mimo że ta klauzula jest zarówno nadzwyczajna jak i symptomatyczna. Wskazać chciałbym tylko krótko na niektóre wady i korzyści, które według mnie charakteryzują polityczną formę organizacyjną UE. To powinno ukazać w większym stopniu jakość oraz aktualność Unii, niż wszystkie jej poszczególne cechy konstrukcyjne.

Do negatywów UE zaliczam – a w tym przypadku nie jestem odosobniony – jej niezwykle skomplikowany system podejmowania decyzji w kwestiach konstytucyjno-prawnych. Należy wyraźnie zaznaczyć, że z tego systemu wprawdzie korzysta się wyłącznie w sytuacjach, gdy chodzi o zmiany traktatowe. Ale o to idzie właśnie zawsze wtedy, gdy trzeba rozstrzygać kwestie „rozszerzenia” lub „pogłębiania” UE. To, co w innych państwach praktykuje się w normalnych warunkach najwyżej raz na 20 lub 30 lat, chcąc uzyskać niezbędną większość do uchwalenia reformy konstytucji, w UE, gdy chodzi o zwiększenie poziomu integracji, jest potrzebne na każdym kroku. Przy każdym z tych działań jest potrzebna zgoda wszystkich członków Unii. Tego wymagają traktaty.

Postępowanie to może stać się jednak zagrożeniem, którego nie da się łatwo ominąć i w ten sposób nader łatwo może dojść do zakłócenia procesu integracji, o czym za chwilę będzie tu mowa. Uzyskanie akceptacji dla kolejnego kroku integracyjnego ze strony teraz już 28 państw członkowskich o zróżnicowanych interesach jest kwestią bardzo trudną. Do tego dochodzi jeszcze konieczność uzyskania ze strony 28 rządów zgody parlamentów, a ponadto wymagane jest przez konstytucje szeregu państw przeprowadzenie referendum, aby przeniesienie kompetencji na Unię mogło stać się obowiązującym prawem.

Przed laty, kiedy powstająca Unia liczyła tylko sześciu członków, było to jeszcze sprawą relatywnie prostą. Jednak z biegiem czasu, gdy Unia coraz bardziej się rozrastała, a poszczególne państwa miały rozbieżne interesy, proces podejmowania wiążących decyzji wydłużał się i trwał niekiedy latami. Z takim przypadkiem mieliśmy do czynienia, kiedy dążyliśmy do uchwalenia paktu fiskalnego, a także w kwestii rozwiązania problemu uchodźców. Tego rodzaju podejście może podkopać autorytet Unii Europejskiej, a nawet ją rozsadzić.

Jako wyjście z tej zastawionej przez siebie samych „pułapki” mamy jednak do dyspozycji możliwość skorzystania z art. 20 Traktatu Lizbońskiego, który traktuje o „postanowieniach o wzmocnionej współpracy”, według których część państw członkowskich, co najmniej dziewięć z nich, może uchwalić okresową bliższą współpracę bez udziału pozostałych państw członkowskich Unii Europejskiej. Dotychczas z takiej możliwości skorzystano tylko w przypadku Układu z Schengen, zgodnie z którym dotychczasowe „granice zewnętrzne” państw UE dla potrzeb ruchu celnego i osobowego zostały zamienione w „granice wewnętrzne”, to znaczy zlikwidowano kontrole graniczne. Gdy podpisywano Układ z Schengen w 1985 r., to znaczy jeszcze przed wejściem w życie Traktatu Lizbońskiego w 1992, r., z tej możliwości skorzystało pięć z dziesięciu przynależnych wówczas do Unii państw. Od tamtego czasu liczba państw należących do Unii Europejskiej zwiększyła się do 28. Rzeczą ciekawą jest to, że z tych 28 państw do Układu z Schengen przystąpiło 26 państw, oprócz Wielkiej Brytanii i Irlandii, ale także trzy państwa stowarzyszone z Unią, tj. Norwegia, Islandia i Szwajcaria. Układ z Schengen jest przykładem na to, że integracja Unii może postępować naprzód nawet wtedy, gdy jeszcze nie wszystkie kraje są na to przygotowane albo chętne bardziej się integrować. Procedura, w jaki sposób państwa unijne aktualnie postępują w kwestii waluty euro, jest kolejnym tego dowodem.

Ale nawet wtedy, gdy bieżące zmagania o reformę UE zakończą się sukcesem – co w danej chwili jest sprawą dosyć niepewną – trzeba zadać pytanie, czy reforma traktatowa musi być dyskutowana publicznie, z udziałem wszystkich uczestników, jak to ostatnio miało miejsce. Niezbędne reformy można by przecież – skoro sama Unia nie jest właściwa – przedyskutować bardziej elegancko na forum specjalnie do tego powołanej komisji, a jej wyniki byłyby następnie uchwalone i wdrożone przez państwa członkowskie. Jest jednak rzeczą wątpliwą, by istniała gotowość do takiego załatwienia sprawy. Dlatego wstrzeźliwość w tym względzie jest zrozumiała. Państwa członkowskie UE same uchwałyły swoje zasady. Zgodnie z obowiązującym Traktatem o UE, podejmowanie reform wymaga jednomyślnej zgody wszystkich państw członkowskich. Nie mogą być one uchwalane głosami większości.

Zalety konstrukcji Unii Europejskiej

Uważam, że UE przez sam fakt stawiania na subsydiarność w miejsce suwerenności, ukazuje nam trzy zasadnicze zalety, jakie górują nad wszystkimi innymi formami organizacyjnymi wielkich obszarów w postaci państw mamutowych. Dlatego przyszłość należeć będzie do „unii subsydiarnych” a nie do „suwerennych

państw wielkich rozmiarów”. O ile „zasada suwerenności” opiera się na centralizacji wszelkich decyzji politycznych, to znaczy monopolizuje władzę, to „zasada subsydiarności” wymaga podziału suwerenności oraz jej ulokowania i stosowania na różnych szczeblach politycznych. Ma ona być sprawowana tam, gdzie jest to najbardziej potrzebne i przez ludzi, którzy do tego najbardziej się nadają i najlepiej ją zrealizują. Natomiast wszelkie zadania, które tę władzę przerastają, albo do których ona nie dorasta, powinny być wykonywane przez instancje polityczne wyższego lub niższego szczebla oraz przez ich przedstawicieli – zgodnie zresztą z hasłem przewodnim subsydiarności, że państwo powinno realizować tylko takie zadania, które nie mogą być wykonywane przez inne organizacje w sposób bezpośredni i bardziej skuteczny¹³.

Zasada subsydiarności

Zasada subsydiarności umożliwia – po pierwsze – niekoncentrowanie władzy politycznej w jednej centrali, lecz jej decentralizowanie i rozłożenie na kilku płaszczyznach: regionalnych, narodowych, kontynentalnych, czy nawet globalnych, aby móc sprawować władzę efektywniej i bliżej ludzi. W ten sposób „wielkie państwa” zostają pozbawione wszechwładzy, a władza polityczna staje się demokratycznie kontrolowalna. Po drugie, zasada subsydiarności czyni wspólnoty kontynentalne zależnymi od narodów, z których się te wspólnoty składają, a ponadto chroni je przed uleganiem imperialnym ambicjom. Po trzecie wreszcie, o wiele łatwiej jest dążyć do wspólnoty o zasięgu globalnym, która nie opiera się na władzy centralnej, lecz poprzez jej podział jej sprawowanie staje się bardziej realne. Chciałbym w moich kolejnych wywodach skonkretyzować wymienione trzy zalety.

Atrakcyjność organizacji Unii Europejskiej

Co się tyczy pierwszej zalety UE, to znaczy jej subsydiarnego uszeregowania, to już sama Unia jest odpowiedzią na uwarunkowania gospodarcze i techniczne związane z organizacją wielkich obszarów, nie rezygnującą z odrębności i samodzielności wchodzących w jej skład części, a w zamian za to mającą utrzymywać ich żywotność, aktywizować je i integrować. W dzisiejszym świecie, a bardziej jeszcze w przyszłości, państwa małe, średnie, a nawet byłe państwa duże, niczego nie są w stanie rozwiązać w pojedynkę. Wszystkie te państwa, jeżeli nie chcą znaleźć się na politycznym marginesie i przestać współtworzyć historię, lecz chcą być partnerem współkształtującym przyszłość i odpowiednio prosperować, są skazane na współpracę i współdziałanie. Nie mają innego wyboru. W ich żywotnym interesie leży bycie członkiem kontynentalnej wspólnoty, jaką jest Unia Europejska.

¹³ Por. Calliess, *Christian: Subsidiaritäts- und Solidaritätsprinzip in der Europäischen Union*, wyd. 2, Baden-Baden 1999.

Unia Europejska jako organizacja sprzyjająca łaadowi pokojowemu

Co się tyczy drugiej zalety UE, tj. jej wewnętrznego poskromienia przez państwa członkowskie, to jedyną gwarancją na to, aby centrala wielkich obszarów nie przejmowała kolejno jednej kompetencji po drugiej i tym samym nie stała się podatna na imperialne zakusy, jest to, że Unia nie dysponuje tymi wszystkimi kompetencjami, czyli nie może ich rozszerzać, lecz są one na nią cedowane przez jej członków. Z doświadczenia wiemy, że w przeszłości nie tylko dyktatorskie mocarstwa, ale także wielkie nowoczesne demokracje, jak np. USA, skupiały coraz więcej kompetencji w centrali i że wobec tego – zgodnie z regułą nadzwyczaj chwiejnej równowagi – w dziedzinie polityki zagranicznej są przywoływane do rozsądku przez inne mocarstwa, a nie z własnego zrozumienia tej potrzeby.

Rzecz pierwsza, tj. monopolizacja władzy, powodowana jest przez interesy centrali, która w sposób niepohamowany jest w stanie, pod pretekstem służenia ogółowi, skupić w swych rękach całą władzę. Natomiast rzecz druga – imperialne zakusy w ogóle nie będą miały miejsca, gdy państwa członkowskie kierować się będą własną pomyślnością, a nie wzrostem władzy centrali. Jedno i drugie, to znaczy koncentracja władzy i zdolność do agresji, powinny być w odpowiedni sposób powstrzymane przez specyficzne formy organizacyjne, tak jak to właśnie odbywa się w ramach UE. Unie na wzór UE z powodu immanentnej im subsydiarności nie są podatne na pokusy podlegania czynnikom „odgórnym”, bo muszą dzielić się władzą; nie są także „imperialistyczne”, jeśli chodzi o swoje interesy, bowiem nie są motywowane czynnikami zewnętrznymi, lecz są hamowane własnymi, wewnętrznymi siłami.

Prekursorska rola Unii Europejskiej

Co się tyczy trzeciej zalety UE, czyli jej specyficznej zdolności odstępowania lub delegowania władzy, to ta okoliczność jest warunkiem tego, że w pewnym momencie, w odległej może jeszcze przyszłości, dojdzie do założenia „wspólnoty światowej”, która będzie w stanie zastąpić obecną Organizację Narodów Zjednoczonych, bo okaże się bardziej efektywna, niż ta składająca się z 193 suwerennych państw wspólnota. Funkcji takiej, może kiedyś w przyszłości niezbędnej globalnej wspólnoty, nie może przejąć „państwo światowe”, które monopolizuje wszelką władzę, lecz forma organizacyjna, która będzie w stanie odpowiadać na globalne wyzwania. To jednak zakłada istnienie „unii subsydiarnych”, a nie suwerennych państw.

O ile istnienie „państw suwerennych” omalże nie dopuszcza utworzenia „unii światowej”, to państwa subsydiarne wręcz są jej niezbędnym warunkiem, aby taka unia mogła powstać. Z myślą o tym można powiedzieć: podobnie jak nie do pomyslenia jest utworzenie „kontynentalnej unii” bez istnienia suwerennych państw, które są gotowe do rezygnacji z części swej suwerenności, tak i ugruntowanie „unii światowej” jest niemożliwe bez istnienia „kontynentalnych unii”, które pragną oddać część swojej władzy.

Koniec westfalskiego systemu państw

Jak na razie da się jednak już teraz powiedzieć tyle: jeżeli UE się sprawdzi i okaże się trwałym organizmem, wtedy ostatecznie zakończy się „era westfalska”, w której suwerenne państwo było alfą i omegą myśli i działalności politycznej. Obowiązujące w teorii i w praktyce przez prawie 400 lat, czyli od roku pokoju westfalskiego z 1648 r. aż po nasze czasy przekonanie, że państwo jest miarą wszelkich rzeczy i że jest ono koniecznym rozwiązaniem wielu problemów oraz spełnieniem niektórych marzeń, zmierza nieuchronnie ku końcowi.

Zerwanie z przyzwyczajeniami i tradycjami pozwala nam także zrozumieć, dlaczego odejście od nich sprawia nam trudności, a zaakceptowanie i przyswojenie sobie „subsydiarnych wspólnot” trafia na nasz opór. Przy tym nie należy kwestionować faktu, że suwerenne państwo miało przez długi czas swą rację bytu, ale teraz, gdy pojawiły się nowe wyzwania i możliwości, wybiła godzina wspólnot subsydiarnych. Skoro tak jest, to nie pozostaje nam nic innego, jak tylko zaakceptować te nowe systemy, badać je i zakładać.

Z uwagi na niezaprzeczalne zalety naszkicowanej tu „unii państw” w praktyce podjąłem się zadania oswojenia się z tym systemem. A jak historia potoczy się dalej, zobaczymy, o ile dożyjemy. Jeżeli ludzkość z konieczności znajduje się na tej właśnie drodze do utworzenia globalnej społeczności świata – a za tym wiele przemawia – to nie ma innej drogi niż pójście w zarysowanym tu kierunku.

III. Klasyfikacja i legitymacja Unii Europejskiej

Co jest plonem rozważań dwóch poprzednich rozdziałów poświęconych zdefiniowaniu politycznej różnorodności Unii Europejskiej jako nowej, oryginalnej formy wspólnotowej, bądź nazwaniu jej politycznym unikatem? W przypadku UE stwierdzamy, że w odróżnieniu od dotychczas istniejących form suwerennych państw mamy do czynienia z subsydiarną formą wspólnotową. Czym się różni od innych? Na to pytanie chciałbym krótko odpowiedzieć w dalszych rozważaniach. Poza tym mam zamiar wyjaśnić, jaką formę demokracji stosuje się w Unii Europejskiej, gdyż stało się jasne, że demokracja UE odbiega od dotychczas nam znanych praktyk demokratycznych. Dlatego UE uważana bywa za niedemokratyczną. To zapętlenie należy także wyjaśnić.

Państwowe versus subsydiarne formy wspólnotowe

Wspólnoty państwowe – według przyjętych wzorców – charakteryzują się monopolizacją władzy; krótko mówiąc, suwerennością, niezależnie od praktykowanej formy organizacyjnej. Od strony prawnej oznacza to, iż państwo posiada kompetencje do określania własnych uprawnień. Państwo ma prawo zajmować się wszelkimi sprawami, jakie uważa za stosowne oraz podejmować stosowne decyzje obowiązujące wszystkich obywateli. Odbywa się to w sposób scentralizowany lub zdecentralizowany i jednocześnie jest zgodnie z poziomym podziałem władzy na egzekutywę, legislatywę i judykaturę. Dopiero taka forma sprawowania władzy przesądza o istnieniu nowoczesnego państwa prawnego.

Natomiast subsydiarna forma wspólnotowa charakteryzuje się tym, że monopol władzy podzielony jest nie tylko w sposób horyzontalny, ale i wertykalny, w przypadku UE na kompetencje państw członkowskich i na kompetencje „związku państw”, jaki według mnie stanowi Unia. Ten ostatni, wertykalny podział suwerenności państwowej, jest właśnie owym novum, tą cechą szczególną Unii Europejskiej. Polega ona na dobrowolnym odstąpieniu narodowych kompetencji państw członkowskich na rzecz Unii. Zasięg oddania kompetencji jest zmienny i zależy w każdym przypadku od konstytucji danego państwa. Dualny podział suwerenności jest cechą wyróżniającą UE.

Powstanie, konstrukcja i przyszłość Unii Europejskiej

W jaki sposób powstała ta nowo zorganizowana wspólnota? Jak ją skonstruowano? I dlaczego obecnie jest ona potrzebna, a na dłuższą metę wręcz nieodzowna? Już poprzednio napisałem, w jaki sposób doszło do założenia embrionalnej Unii, czyli Wspólnoty Węgla i Stali i że nie była ona produktem jakiejś teorii, tylko rezultatem pragmatycznych przemyśleń Jeana Monneta. Pierwszym jej celem było unikanie w przyszłości wojen między Niemcami a Francją. Polityczną rzeczywistością ta Wspólnota stała się dlatego, że ówczesny minister spraw zagranicznych Francji Robert Schuman i niemiecki kanclerz Konrad Adenauer podjęli ten projekt,

przekonując swoje społeczeństwa do jego słuszności, a ponadto pozyskali dla tej inicjatywy aż sześć narodów, gdyż oprócz Niemiec i Francji przystąpiły do tej organizacji jeszcze Włochy, Holandia, Belgia i Luksemburg. To okazało się wyjątkowym szczęściem dla Europy, choć o mały włos wszystko mogło się nie udać. Jedno jest absolutnie pewne, że bez tego odważnego kroku, polegającego na „uwspólnotowaniu narodowych kompetencji”, nigdy by nie doszło do powstania Unii Europejskiej, tak jak ją dzisiaj widzimy.

Przy zakładaniu Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali (EWWS) w 1952 r. chodziło przede wszystkim o to, by przemysł węglowy i produkcja stali nie pozostały do dyspozycji tych sześciu państw, gdyż wspomniane dziedziny gospodarki uchodziły wówczas za ważny z punktu widzenia wojennego potencjał zbrojeniowy; dlatego przeniesiono tę całą dziedzinę we wspólne władanie „Wysokiej Komisji”. Sama sprawa wnet straciła na znaczeniu, gdyż w 1965 r. instytucje EWWS ostatecznie zostały przejęte przez utworzoną już w 1957 r. Europejską Wspólnotę Gospodarczą, a w 2002 r. zawarty na 50 lat Traktat o EWWS bez wielkiego rozgłosu dobiegł końca. Ale ten po raz pierwszy wypróbowany sposób „uwspólnotowania” poszczególnych narodowych kompetencji, a więc „ograniczone jednostkowe upoważnienie” Unii przez jej państwa członkowskie, jakby przypadkiem stał się „zasadą” UE, tak jak zresztą w Traktacie Lizbońskim z 2007 r. zapisano to wyraźnie w artykule 5 (2). Od tamtego czasu jest to więc system, jakim Unia się posługuje przy każdym kolejnym kroku, gdy chodzi o integrację, a co za tym idzie – o kwestię być albo nie być UE.

Postępowanie to stało się historyczne, gdyż zarówno państwa założycielskie EWWS jak i dzisiejsze państwa unijne nigdy nie rozważały możliwości rezygnacji z własnej państwowości i bycia „prowincją” państwa europejskiego, ale były skłonne oddać te swoje narodowe kompetencje na rzecz Unii, które są wypełniane lepiej w sposób wspólny. Owo „uwspólnotowanie” narodowych kompetencji, a nie kapitulacja państw zrzeszonych w UE, ani też degradacja ich instytucji na rzecz centrum, jest dotychczasową cechą historyczną Unii.

Powstające w tym kontekście pytanie, dlaczego większość państw europejskich, zarówno małych jak i dużych, zgodziła się i zgadza nadal na odstąpienie niektórych swoich praw na rzecz UE, wymaga jeszcze wyjaśnienia. W największym skrócie odpowiadam na to następująco: wobec postępującego procesu utraty państwowej suwerenności oraz z potrzeb gospodarczych najbardziej elastyczne i żywotne państwa w Europie Zachodniej po 1945 r. miały do wyboru: szukać schronienia i prosperity w ramach europejskiego superpaństwa, w którym musiałyby zostawić swoją samodzielność w „szatni”, albo utworzyć „związek państw”, właśnie Unię Europejską, która chroniłaby i gwarantowała ich samodzielność; w przeciwnym razie stałyby się zależne od pozaeuropejskich mocarstw, co było na początku faktem także w Europie Zachodniej, a w Europie Wschodniej miało miejsce nieprzerwanie. Podejmując decyzję o utworzeniu Unii Europejskiej, co w ówczesnych okolicznościach nie było trudne, państwa te stanęły *nolens volens* na zupełnie nowym dla nich gruncie. Tym samym wzięły one udział w całkowicie niesprawdzonym przedtem eksperymencie.

Eksperyment rozłożony w czasie

Ten eksperymentalny proces po 64 latach swego trwania nie jest zakończony. Unia Europejska do dziś jest tworem niedokończonym. Do kwestii, w jaki sposób niedawno zareagowała na najnowszy kryzys zadłużenia i uchodźczy, odniosę się jeszcze w kolejnym rozdziale. A co do eksperymentu, to chcę tu w krótki i zwięzły sposób uzasadnić, dlaczego jest on rozłożony w długim okresie czasu. Co przemawia za tym, że konstytucja UE nie pozostanie przypadkiem odosobnionym, odstępstwem od reguły, lecz – o ile się sprawdzi – będzie uznawana za normalne zjawisko i znajdzie powszechne zastosowanie w realizacji określonego stadium integracji politycznej? Tu i ówdzie była już o tym mowa. Zrekapitulujmy jeszcze raz argumenty, które za tym przemawiają.

Jest chyba oczywistością, że zarówno mniejsze jak i większe państwa pragnące dotrzymać kroku rozwojowi cywilizacyjnemu, nie chcą się znaleźć na marginesie historii i dlatego dążą do więzi z innymi państwami. Może się to odbywać w ten sposób, że stają się integralną częścią większego organizmu, który funkcjonuje bardziej wydajnie gospodarczo i ma większe znaczenie polityczne, przy czym może to nastąpić bez uszczerbku dla własnej samodzielności. Taki związek jest w stanie udzielić im odpowiedniej ochrony i wspierać ich pomyślność, co akurat Unia Europejska im oferuje.

Podobnie się dzieje w kolejnej dziedzinie, z tym, że państwa o rozmiarach kontynentalnych z reguły nie radzą sobie z różnymi sprawami, chociaż do tego wcale się nie przyznają. Centralne zarządzanie nie uwzględnia peryferii, nie reaguje adekwatnie na życzenia poszczególnych członków i hamuje aktywność ośrodków lokalnych i regionalnych, powodując osłabienie całości od wewnątrz. To miało miejsce w nader scentralizowanym Związku Radzieckim, a odczuwalne jest nawet w zdecentralizowanych Stanach Zjednoczonych. Wiele przemawia za tym, szczególnie w dziedzinie potrzeb kulturalnych, że różnorodność ulega instytucjonalizacji, to znaczy trwale, a nie tylko okresowo jest reglamentowana przez czynniki obce, a nie własne. Państwo scentralizowane nie jest w stanie od tego odejść, tym bardziej nie jest to możliwe w wielokulturowej Europie. W takiej sytuacji rozwiązanie typu UE prawie aż się narzuca, bowiem jej utworzenie było i jest jak najbardziej na czasie. Unia z uwagi na swoją subsydiarność jest jedyną możliwą polityczną platformą wspólnotową, która odpowiada tym właśnie różnorodnym interesom i potrzebom Europejczyków. Gdyby taka Unia jeszcze nie istniała, należałoby ją jak najprędzej wynaleźć.

Co więcej: Unia Europejska może być także modelem dla innych wspólnot kontynentalnych, gdyby na zasadzie dobrowolności miało dojść do powstania takich związków państw, tak jak to kiedyś miało miejsce przykładowo we włoskich państewkach grodzkich, gdzie przez połączenie miast zostało „wynalezione” nowoczesne państwo, które się potem przyjęło na całym świecie. Tak może się też stać w przypadku „unii państw”, która powstała w Europie, gdyż tutaj dla jej powstania istniały akurat sprzyjające warunki. „Unia państw”, podobnie jak normalne państwo, mogłaby stać się wzorem na skalę światową, swoistym artykułem eksportowym. Jest rzeczą oczywistą, że dążenie do scentralizowanego „państwa

światowego” stanie się wysiłkiem daremnym, gdyż monopolizacja władzy w skali globalnej jest możliwa tylko z użyciem przemocy i dlatego takie państwo nie będzie funkcjonowało. Z drugiej strony jasne jest, że subsydiarna „wspólnota światowa” – zakładając, że takowa powstanie – funkcjonować będzie tylko pod warunkiem, że będzie bazować na szeregu innych „uniach państw” kontynentalnych, a nie na zgromadzeniu liczącym 193 suwerennych państw. Nie, przyszłość – jeśli się nie myli – nie należy do państw, chociaż nadal będą odgrywać swoją rolę, ale do różnych „unii państw” wykreowanych w Europie.

Specyfika legitymizacji Unii Europejskiej

W powszechnym rozumieniu demokracji zakłada się, że określony naród nadaje sobie konstytucję i wybiera rząd – niezależnie od zastosowanej przy tym procedury¹⁴. Ale jak to wygląda w przypadku, gdy istnieje kilka narodów uważających się za suwerenne i tak one określają się na piśmie w konstytucji? Dotychczasowe teorie demokracji jak na razie nie mają na to pytanie odpowiedzi i twierdzą – przynajmniej część z nich, że w takim przypadku nie można w ogóle mówić o demokracji. Ten stan rzeczy skomentował Peter Massing, jeden z czołowych niemieckich teoretyków demokracji, w sposób następujący:

Do podstawowych i dotychczas niekwestionowanych warunków istnienia demokracji zalicza się jej stabilizację i rozwój na stanowiącym jej ramy terytorium państwa. Teorie demokracji odnoszą się zatem dotychczas z reguły do państwa narodowego. Jego rozkład i wyłączenie jego kompetencji stawia demokrację przed zupełnie nowym problemem, który dotychczas nie był wystarczająco rozważany. Nasilające się przenoszenie klasycznych narodowych funkcji rządzenia na międzynarodowe i transnarodowe organizmy, a w przypadku Unii Europejskiej – na transnarodowe rządy, interpretuje się często w trybie braków normatywnych bądź demokratycznych. Rzadko stają się one przedmiotem rozważań z zakresu teorii demokracji i tylko okazjonalnie zadaje się pytanie, w jaki sposób można by ułożyć życie między narodami zgodnie z ideą demokracji i jakie jej rozumienie przyjąć, by te procesy ująć na gruncie teorii demokracji¹⁵.

Tym samym sformułowany został precyzyjnie problem, o który tu chodzi. Autor nawiązuje także do jednego z następstw tego rodzaju postępowania, pisząc: „Rozprawianie o «europejskim deficycie demokracji» pomija istotne problemy, gdyż istnieje raczej brak rozwiązania problemu europejskiego. Tę przede wszystkim

¹⁴ Por. m.in. Seymour Martin Lipset (Editor in Chief), *The Encyclopedia of Democracy*, vol. I–IV, London 1995, patrz „Introduction”, vol. I, s. IVT–LXXV, Manfred G. Schmidt, *Demokratiethorien*, wyd. 4. Opladen 2008, s. 19–21 oraz s. 399–411; ponadto Peter Massing/ Gotthard Breit/Hubertus Buchstein (red.), *Demokratiethorien – Von der Antike bis zur Gegenwart, Texte und Interpretationshilfen*, 8, całkowicie przedr. wyd., Schwalbach/ Ts. 2012, przedmowa, s. 9 – 14.

¹⁵ Peter Massing/Gotthard Breit/ Hubertus Buchstein (red.), tamże, s. 309n.

kwestię należy pilnie rozwiązać za pomocą reform instytucjonalnych, by nie narazić na szwank legitymizacji Unii Europejskiej ukierunkowanej na rezultaty.”¹⁶ W jaki sposób ten problem trzeba by rozwiązać, tego Peter Massing niestety nie wyjaśnia, podobnie jak i inni autorzy, którzy dotychczas nie wypowiedzieli się na ten temat, ani też nie zdobyli się na gruntowną i systemową analizę tej kwestii.

To jednak nie powinno nam przeszkadzać w dociekaniach na temat oryginalności unijnej demokracji, a wręcz odwrotnie – może nas zachęcić do konstatawania i interpretowania tejże demokracji, o czym będzie dalej mowa przynajmniej skrótowo. Wybory pośrednie, to znaczy praktyka wybierania rządu przez parlamentarzystów, jest w demokracji przedstawicielskiej typu angielskiego faktycznie uznawana za oczywistość, gdyż sprawdziła się jako jedynie słuszne postępowanie we wspólnotach większych niż społeczność miejska. Dlaczego to samo nie miałyby się sprawdzić także w Unii Europejskiej, gdzie szefowie rządów państw członkowskich w poszczególnych przypadkach podejmują decyzje, a dana kwestia leży w interesie ich obywateli, jest przez nich akceptowana i pozostaje w zgodzie z obowiązującymi traktatami unijnymi? Niby tylko dlatego, że nie jest zgodna z zasadą „rządów sprawowanych przez lud”? Jeżeli demokratyczna legitymizacja UE nie pozostaje w zgodzie z ogólnym rozumieniem istoty demokracji, to jednak jest zgodna z praktyką demokracji. A to chciałbym tutaj zademonstrować.

Wielość suwerenów

Jak już wcześniej wyjaśniono, Unia Europejska nie może się powoływać na europejski naród, bo taki według ogólnej opinii nie istnieje. Za to Unia powołuje się na państwa członkowskie, które są „panami swojej konstytucji”. W tym kontekście niemiecki historyk starożytności Egon Flaig wprowadził do debaty o demokracji UE następujący wątek: „Jeżeli Europa faktycznie pragnie się zrastać i stać się demokratyczną republiką, to naród takiej republiki powinien odegrać znaczącą rolę – ze swej nazwy i jako realna instytucja. Natomiast jeżeli Europa będzie się zrastać na podstawie traktatów, to decyzje zapadać będą w europejskich organach quasi rządowych w wyniku przeprowadzonych rokowań, jak przykładowo w komisjach (parlamentów – przyp. H.W.). A to będzie oznaczać, że mieścimy się w ramach klasycznej demokracji. Demokracja przecież znaczy władzę ludu (albo narodu – przyp. tłum.) sprawowaną albo bezpośrednio, albo też za pośrednictwem swoich przedstawicieli. Natomiast mówienie o demokracji w przypadku, gdy żaden naród nie jest reprezentowany, znaczy to samo, co oszukiwanie ludzi fałszywymi etykietami.”¹⁷ Lepiej argumentować nie sposób, gdy chce się odmówić UE statusu bycia demokracją: nie ma ona bowiem narodu zorganizowanego w państwie, co jest niezaprzeczalne i wobec tego żadną demokracją być nie może. Koniec, kropka! Kto więc upiera się przy tym twierdzeniu, ma faktycznie rację. Ale według mnie przeciwko takiej konkluzji można przytoczyć solidne kontrargumenty.

¹⁶ Tamże, s. 315.

¹⁷ Egon Flaig, *Ein europäisches Parlament gibt es noch nicht*, (w:) *Frankfurter Allgemeine Sonntagszeitung*, 17.11. 2013, s. 5.

Zanim do nich przejdę, należy jeszcze zająć stanowisko wobec podobnej argumentacji ze strony Fritza W. Scharpfa. W swojej książce wydanej w 1999 r. pt. „Regieren in Europa” (Rządzić w Europie) znajduje się zdanie następujące: „polityka europejska w dającym się przewidzieć czasie nie może być legitymizowana przez władzę narodu, wobec czego musi zostać odłożona na odległą przyszłość”¹⁸. Na to, że narody Europy staną się jednym narodem, czego autor widocznie oczekuje, będzie musiał długo poczekać, tak samo jak na to, że polityka europejska według jego rozumienia w końcu stanie się „demokratyczna”. Ze strony UE, która ani nie jest państwem, ani takim być nie chce, nie należy tego oczekiwać. W istniejących okolicznościach UE w ogóle nigdy nie ma szans, by mogła legitymizować swą politykę w sposób demokratyczny.

Jeżeli dobrze rozumiem, Scharpf tkwi nadal w swoim dość przestarzałym rozumieniu demokracji, gdyż jeszcze niedawno doszedł w jednej ze swoich dłuższych rozpraw na temat aktualnego „kryzysu euro” do następującej konkluzji: „Kto pragnie uchronić europejską integrację i demokrację w Europie przed następstwami kryzysu europejskiego, nie powinien dyskutować o dalszym ograniczaniu roli polityki i ubezwłasnowolnianiu obywateli państw członkowskich, lecz o możliwościach rewizji tak błędnej decyzji.”¹⁹ Autor wprowadzić nie mówi tego wprost, ale ma na myśli rezygnację ze strefy euro, bez zastanawiania się nad wynikającymi z tego następstwami. Jego ostatnie słowo w sprawie kryzysu brzmi: rozwiązać strefę euro! Uważa, że kryzys poprzez dalsze „ubezwłasnowolnianie obywateli” nie zostanie zażegnany, lecz ulegnie pogłębieniu. A temu – według niego – zapobiec można tylko w ten sposób, że państwa należące do strefy euro będą ponownie posiadać własne waluty narodowe i wyrzekną się wspólnego pieniądza do czasu, aż pewnego pięknego ranka staną się jednym narodem.

Moje zastrzeżenie wobec takiej argumentacji sprowadza się do twierdzenia, że także na gruncie obowiązującej konstytucji Republiki Federalnej Niemiec, opartej na systemie przedstawicielskim, to nie naród, lecz wybrani parlamentarzyści powołują i odwołują niemieckie rządy. Dlaczego więc w podobny sposób nie mieliby obsadzać czołowych miejsc w UE i negocjować w sprawach traktatów również wybrani szefowie państw europejskich? To się odbywa bardziej lub mniej skutecznie w pojedynczych systemach przedstawicielskich poprzez wybranych parlamentarzystów jak i w systemach dualnych poprzez wybranych szefów rządów państw członkowskich UE. Niezależnie od tych rozważań przecież nikt nas nie zmusza do zawężania teorii demokracji do naprawdę błahej tezy o niezbędności istnienia europejskiego narodu. Może swego czasu faktycznie tak było, ale teoria demokracji bardzo się ośmiesza i staje się iluzoryczna, kiedy ob staje przy takim uproszczonym podejściu do problemu.

¹⁸ Fritz W. Scharpf, *Regieren in Europa – Effektiv und demokratisch?* Frankfurt a. M. 1999, s. 168.

¹⁹ Fritz W. Scharpf, <http://ipg-journal.de/ipg//unsere-autoren/ipg-author/detail/Author/fritz-wscharpf>, dostęp 13.12.2013.

Wybory bezpośrednie i pośrednie

Gdyby kryterium demokracji była bezpośrednia władza narodu, to z demokracją na świecie byłoby bardzo źle. Gdzież ona istnieje w czystej formie? Bezpośrednia władza ludu już w antycznym polis nie była zbyt funkcjonalna, bo przecież nie wszyscy należeli do tego miasta–państwa, przynależność do niego była przywilejem tylko części mieszkańców. A skoro pośrednia demokracja przedstawicielska w różnorodny sposób odniosła sukces w skali globalnej, zaś bezpośrednio referendum – poza szwajcarskimi górami i dolinami – raczej pozostało ulubioną ozdobą demokracji przedstawicielskiej, to w zasadzie nie powinno sprawiać trudności uznanie za formę demokracji stosowaną w UE procedury, zgodnie z którą państwa członkowskie wspólnie są suwerenem, o ile ich szefowie rządów pochodzą z wyborów. Przyznać trzeba, że byłaby to na wskroś nowa, dotychczas nigdzie jeszcze nie praktykowana demokracja, ale za to byłaby jakby spotęgowana, bo opiera się na dwóch aktach wyborczych, przez które nikt nie byłby ubezwłasnowolniony.

Demokracja Unii Europejskiej

Co zatem wyróżnia demokrację UE? Bez ograniczeń chyba można o niej powiedzieć, że mieszczą się w niej wszystkie trzy formy demokratycznego sprawowania władzy: po pierwsze – bezpośrednia forma konsultacji i referendum, co jest praktykowane w szeregu państw członkowskich; po drugie postępowanie pośrednie przez działanie demokracji przedstawicielskiej w postaci rządów parlamentarnych i prezydenckich, co ma miejsce w większości państw członkowskich; jak i po trzecie – forma dualna demokracji przedstawicielskiej, która się zadomowiła w demokracji unijnej obok reprezentacji parlamentarnej.

Nawiasem mówiąc, obydwie ostatnie formy, to znaczy horyzontalny podział władzy w demokracji przedstawicielskiej jak i wertykalny podział władzy w „demokracji subsydiarnej”, łączy zapisana w konstytucji UE zasada subsydiarności, zgodnie z którą poszczególne funkcje polityczne należy dzielić w sposób sensowny na zdolności, możliwości oraz potrzeby rządzonych. „Dualna reprezentacja” UE, o której mówi Manfred G. Schmidt²⁰ wyróżnia się według Udo Di Fabio tym, że dysponuje „dwoma nurtami legitymizującymi, osadzonymi na zasadzie demokratycznego kształtowania woli”, tj. przekazywanego z jednej strony na gruncie narodowych parlamentów państw członkowskich, z drugiej poprzez głównych przedstawicieli egzekutywy, a ponadto poprzez nowych, własnych przedstawicieli w Parlamencie Europejskim²¹.

W tym duchu można zapewne z przekonaniem stwierdzić, że UE nie tylko nie jest niedemokratyczna, ale w swoisty sposób jest nawet ukoronowaniem demokratycznych dążeń – nie tylko w teorii, ale i w praktyce. Ta forma demokracji na wszystkich szczeblach ma zapewne swoje słabości, ale nie sposób jej generalnie podważyć, bo nie dysponujemy innymi, lepszymi formami aktywności rządzonych.

²⁰ Manfred G. Schmidt, tamże, s. 400.

²¹ Udo Di Fabio, *Was der Staatenbund leisten kann – Europa ist auf dem Wege in die Mehrebenen-Demokratie*, (w:) „Frankfurter Allgemeine Zeitung” nr 79, 06.04.1999, s. 11.

To nie wyklucza, że mogą zaistnieć w przyszłości „lepsze demokracje” – jak to powiedziano we wstępie do książki Petera Massinga, Gottharda Breita i Hubertusa Buchsteina²².

Podsumowując te moje systematyczne rozważania można stwierdzić, iż za sprawą dualnego podziału suwerenności państwowej na suwerenność państw członkowskich UE jak i samej UE oraz dualnego podziału demokratycznej legitymizacji, to jest wybranych reprezentantów krajów i reprezentantów UE, mamy do czynienia z dwoma charakterystycznymi znamionami konstrukcji unijnej konstytucji.

²² Peter Massing/Gotthard Breit/Hubertus Buchstein (Hrsg.), tamże s. 10.

IV. Rzekomo umarli żyją dłużej! Kryzys waluty euro

W nowszej historii Europy mieliśmy do czynienia z całym szeregiem zaskakujących wydarzeń. Kto w 1939 r. by pomyślał, że „Wielkie Niemcy” już po sześciu latach w 1945 r. przestaną istnieć? A kto po śmierci Stalina w 1953 r. przypuszczał, że trzydzieści osiem lat później, w 1991 r., rozpadnie się Związek Radziecki? Do tych nieoczekiwanych wydarzeń zaliczamy też zjednoczenie podzielonych Niemiec w roku 1989/1990. Wiosną 1989 r. tylko 7% obywateli Republiki Federalnej wierzyło, że dożyją jeszcze zjednoczenia Niemiec²³. Już pół roku później zjednoczenie stało się jednak rzeczywistością. Było to dla wielu ludzi niespodzianką!

Co po tych ewolucyjnych przemianach na skalę światową da się powiedzieć na temat żywotności Unii Europejskiej? Czy po 63 latach od powstania Wspólnoty Węgla i Stali w 1952 r. Unia też już zmierza ku końcowi? Co przemawia za tym, a co przeciw? Czy jej nowatorska konstrukcja zdała egzamin? Co aktualnie można powiedzieć o stanie jej stabilności na przyszłość?

Wątpliwości co do przetrwania UE

Od samego początku Unii Europejskiej towarzyszył znaczny sceptycyzm odnośnie do jej żywotności – szczególnie w USA i w Rosji. Jaka może być przyszłość takiego dziwnego i rozwichrzonego „związku państw”? Tak myślano i myśli się nawet teraz. Ale nawet w Europie początkowy entuzjazm przerodził się w spore rozczarowanie, szczególnie w następstwie aktualnego kryzysu. Wielu fachowców, wśród nich brytyjski historyk Timothy Garton Ash²⁴, niemiecki profesor ekonomii Bernd Lucke²⁵, austriacki eseista Robert Menasse²⁶ i doradca francuskiego prezydenta Jaques Attali²⁷, przepowiadali rychłą śmierć Unii Europejskiej bądź koniec euro. Przeprowadzone w Niemczech we wrześniu 2011 r. badania opinii publicznej na ten temat pokazały, że tylko 35% Niemców daje Unii Europejskiej szansę na przyszłość, a 43% nie widzi dla niej takiej przyszłości²⁸.

O ile dobrze rozumiem, to niemiecki dziennikarz Theo Sommer należy do tych nielicznych komentatorów, którzy nie lękają się o przyszłość Unii, a co więcej

²³ Por. Manuela Glaab, *Deutschlandpolitik in der öffentlichen Meinung*, Opladen 1999, s. 144.

²⁴ Por. Timothy Garton Ash, *Die Krise Europas – Wie die Europäische Union entstand und warum sie zerfällt*, (w:) „Dialog. Deutsch-Polnisches Magazin” nr 102, Berlin 2012–2013, s. 9–17.

²⁵ Prof. Bernd Lucke jest współzałożycielem „Alternatywy Wyborczej 2013” i krytycznej wobec UE partii Alternatywa dla Niemiec (*Alternative für Deutschland*). Por. http://de.wikipedia.org/wiki/Bernd_Lucke. dostęp 26.03.2013.

²⁶ Por. Robert Menasse, *Der Europäische Landbote. Die Wut der Bürger und der Fride Europas oder Warum die geschenkte Demokratie einer erkämpften weichen muss*, Wien 2012.

²⁷ Por. Conversation avec Jaques Attali, w: <http://blogs.lexpress.fr/attali/2012/06/04/leurope-enfin/>, dostęp 23.03.2013.

²⁸ Por. <http://www.zeit.de/politik/2011-09/umfrage-vereinigste-staaten-von-europa>, dostęp 7.02.2013.

– liczą na jej dalsze istnienie. Wiosną 2013 r. wypowiedział się na ten temat następująco: „Po czterech latach wyczerpującego kryzysu UE wreszcie udowodniła, iż jest zdolna do reform. Pesymiści mylili się wątpiąc w to, by przywódcy UE mieli siłę i wolę utrzymania jej przy życiu. Jej się to udało”²⁹.

Interpretacje kryzysu euro

W obliczu wielu przestróg jest czymś niezwykle ryzykownym przyznawać Unii Europejskiej jakąkolwiek żywotność na przyszłość. Na brak interpretacji kryzysu naprawdę nie możemy narzekać. Sam kryzys jako taki został nazwany „pułapką banków”³⁰. A pułapka ta doprowadziła jakoby do „pozbawienia władzy suwerena”, jak by to określili teoretycy demokracji³¹. Waluta euro przez członków UE postrzegana była jako „egzystencjalne zagrożenie”³². Unia – jak sądzono – jest do uratowania tylko pod warunkiem, że się ją „zregionalizuje”, to znaczy podzieli na kilka wąskich lub szerszych unii³³. Unia znajduje się – tak twierdzono – w „nieustannym stanie wyjątkowym”, a Niemcy swoimi staraniami o jej uratowanie podjęli się „zupełnie niewykonalnego zadania”³⁴, a może nawet na to jest już za późno i należałoby zaintonować „pieśń podżrebową”³⁵.

Przytoczyłem tutaj zaledwie kilka głosów z chóru krytyków Unii Europejskiej i jej waluty. Szczególnie znaczenie w tym gronie śpiewów pożegnalnych mają autorzy, którzy do niedawna jeszcze uchodzili za pierwszorzędnych zwolenników Unii i ją chwalili. Nie są to osoby gardzące Unią, które jej i tak nie lubiły i dopiero teraz ją krytykują, ale chodzi o jej byłych obrońców, którzy chcą ją teraz zlikwidować, przynajmniej w jej obecnej formie. Takie są w każdym razie skutki wspomnianego kryzysu.

²⁹ Theo Sommer, *A World in Flux – Despite the Emerging Powers, the West Will Remain Unrivaled for Some Time*, (in:) „The Asia Pacific Times”, vol. 7, February/March 2013, Section A, p. 1. „After four agonizing years of crisis, the European Union is finally that it is capable of reform. The pessimists went wrong, when they doubted that EU leaders could muster the political will to keep the show on the road. They did.”

³⁰ Por. Claus Offe, *Europa in der Falle*, (w:) „Blätter für deutsche und internationale Politik” nr 1/13, 2013, s. 67–80.

³¹ Por. Thilo Bode, *Eurorettung des Souveräns*, (w:) „Blätter für deutsche und internationale Politik” nr 10/12, 2012, s. 43–46; oraz Claudio Franzius i Ulrich K. Preuß, *Lebendige Demokratie: Die Zukunft der EU*, (w:) „Blätter für deutsche und internationale Politik” nr 11/12, 2012, s. 77–89.

³² Por. Arnulf Baring, *Wir brauchen neue Maßstäbe*, (w:) „Focus” nr 02/13, z 07.01.2013, s. 30–31.

³³ Por. Lászlo J. Kiss, *Mitteuropa als alter und neuer Raumbegriff – Die Wahrnehmung der ungarischen Außenpolitik*, Hungarian Institute of Foreign Affairs, Budapest 2012, s. 1–13, manuskrypt.

³⁴ Por. Michael Stürmer, *Führung in Europa – Globalisierung hat kein Mitleid*, (w:) Europäische Rundschau, nr 6/2012, s. 3 i 8.

³⁵ Por. Timothy Garton Ash, *Die Krise in Europa – Wie die Europäische Union entstand und warum sie zerfällt*, (w:) „Dialog, Deutsch-Polnisches Magazin” nr 102, Berlin 2012–2013, s. 9–17.

Co pozostaje po dokładnym przeanalizowaniu sprawy i poszukiwaniu przyczyn takiego – przyznać trzeba – bardzo szerokiego krytycznego podejścia? Angielski historyk Timothy Garton Ash zaferował nam dość pouczającą odpowiedź. Niedawno jeszcze uważał za stosowne twierdzić, iż Tomasz Mann życzył sobie dożyć „nie niemieckiej Europy, ale europejskich Niemiec, ale niestety dostaliśmy, jak powiada, Niemcy europejskie i niemiecką Europę”³⁶. Można się tylko dziwić, że z ust Brytyjczyka słyszymy aż taką zakamuflowaną pochwałę pod adresem Niemiec; ale można przestraszyć się także jego sądami na temat innych Europejczyków. Być może jednak miał na myśli tylko Brytyjczyków, ponieważ jego wypowiedź insynuuje, że Niemcy na szczęście odeszli od pójścia własną drogą, a inni dopiero teraz zmiierają w tym kierunku, w którym Niemcy swego czasu poszli, prowadząc siebie i innych do zguby. Odwrócił więc ostrze noża.

To, co usłyszeliśmy z ust brytyjskiego premiera Davida Camerona w przemówieniu z Bloomberg 23 stycznia 2013 roku³⁷, zdaje się potwierdzać rozumowanie Asha. Zgodnie z tym Wielka Brytania zastanawia się nad wyjściem z UE, jeżeli ona nie uwzględni brytyjskich oczekiwań. Ale skądinąd bardzo pragmatyczni Brytyjczycy na pewno nad tym się jeszcze raz zastanowią. A jak mimo wszystko wyjdą z tej UE, jestem przekonany o tym, że Szkoci prędzej czy później opuszczą Wielką Brytanię i ponownie przystąpią do Unii Europejskiej. Jeżeli się ponadto uwzględni to, co w jednej z berlińskich gazet w tamtych dniach powiedział turecki premier Recep Tayyip Erdogan, że ma „dostyc Europy”³⁸, to nie są to zbyt optymistycznie brzmiące opinie pochodzące zarówno z wewnątrz jak i z zewnątrz Unii. Czy Unia Europejska sobie na to zasłużyła?

Przyczyny nastrojów kryzysowych

Można powiedzieć, co się chce, ale to co Europejczyków oburza i całą Unię Europejską irytuje, to nie sam fakt zadłużenia niektórych państw strefy euro. Inne państwa, jak USA czy Japonia muszą się uporać z o wiele większymi obciążeniami i nie załamują się. Państwa unijne, jeżeli będą zwartym szeregiem trzymać się razem i dołożą odpowiednich starań, powinny bardzo łatwo poradzić sobie z tymi sprawami. Nie jest to wprawdzie rzecz do wykonania w krótkim terminie, bo na to trzeba czasu. Kwestią irytującą w całym postępowaniu o oddłużanie i konsolidację oraz tym, co temu kryzysowi dostarcza coraz to nowej pożywki, jest natomiast sposób podejmowania działań zaradczych, które wydają się być powściągliwe, niekompetentne, przedłużające się w czasie i świadczące o bezradności. Tak to w każdym razie komentują media. To, że powstało takie wrażenie – w mojej ocenie – jednak nie wiąże się z błędnym postępowaniem i brakiem zdecydowania odpowiedzialnych czynników, ale winy należy się doszukiwać w samej strukturze Unii Europejskiej, w jej niedokończeniu. Ci wszyscy, którzy swoim postępowaniem starali się

³⁶ Tamże, s. 16.

³⁷ Por. <http://ukingermany.fco.gov.uk/de/news/?view=News&id=852763982>, dostęp 31.01.2013.

³⁸ Susanne Güsten, *Wir können auch anders – Warum die Türkei von der EU abbrückt*, (w:) „Der Tagesspiegel” nr 21588 z 31.01.2013, s. 9.

„naprawić” Unię, mają w tym swój udział, ale przy najlepszych chęciach nie mogli postępować inaczej, niż to zrobili, bo dalsze istnienie UE leżało im na sercu, ale mieli związane ręce.

Przyczyną tej niedokończoności Unii Europejskiej jest, moim zdaniem, fakt, że obecnie aż 28 rządów musi dojść do porozumienia, aby podjąć jakiegokolwiek wspólne decyzje. W sytuacji, w której państwa członkowskie mają różne interesy, w których ponadto kluczowe decyzje podejmują różne strony, jest to prawie niemożliwe. Taki sposób postępowania spowodowany jest jedynie faktem, że decyzje w kwestiach polityki zagranicznej i bezpieczeństwa nie zostały uwspólnotowione, lecz cały czas pozostają w kwestii pojedynczych państw. I jak długo tak jest, tak długo trudno będzie podejmować takie wspólne decyzje. Będzie tak mogło stać się dopiero wtedy, kiedy oba te sektory zostaną uwspólnotowione, tzn. zostaną przekazane kompetencjom Unii Europejskiej. Inaczej niż poprzez inny podział kompetencji nie da się zmienić dotychczasowego sposobu podejmowania decyzji w Unii Europejskiej i państwach członkowskich, który jest mozolny, czasochłonny i energochłonny, i który nadweręża cierpliwość obywateli Unii Europejskiej oraz powoduje ich frustrację.

Reakcja opinii publicznej w mediach

Kwestia kryzysu euro ciągnęła się miesiącami w rozmowach międzyrządowych, które były kilkakrotnie przerywane, a w końcu zakończyły się „zgniłym kompromisem” – oto jedna z rzeczy, która ludzi bulwersuje. Z kolei sposób, w jaki opinia publiczna – w dodatku podpuszczona przez media – na tę kwestię zareagowała – jest drugą rzeczą. Nie wiem do końca, czy w innych krajach europejskich odstawiono podobny spektakl jak w Niemczech. W każdym razie w Republice Federalnej, gdzie euro naprawdę nie jest lubiane, pieniąż ten znalazł się w ogniu krytyki niemieckich dziennikarzy śledczych. Ich nastawienie polegało na tym, że podsyłali uprzedzenia, przedstawiali wydarzenia w taki sposób, jakoby Niemcy musiały spłacać długi innych krajów, a w dodatku w pojedynkę. To oczywiście nie było zgodne z prawdą, gdyż wszystkie państwa należące do strefy euro, odpowiednio do ich PKB, odpowiadały i odpowiadają za horrendalne kwoty zaciągniętych kredytów. Nie należy się więc dziwić, że takie insynuacje akurat Niemców zbulwersowały. Dla znacznej części społeczeństwa było to zdecydowanie za wiele.

Przy takim huraganowym ogniu medialnym przeciętny czytelnik niemieckich gazet lub telewizyjny widz musiał odnieść wrażenie, że wszystko już jest daremne, że to już koniec euro, a Niemcy są do uratowania tylko przez wystąpienie ze strefy wspólnej waluty. Tak to przynajmniej wyglądało w przekazie skądinąd poważnej gazety „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, która prezentowała wzajemnie wykluczające się opinie, chcąc zamieścić wszelkie wypowiedzi, nawet najbardziej spektakularne, i tym samym przyczyniła się także do powstałego zamieszania. Obywatele niemieccy mimo wszystko nie byli do końca przekonani o słuszności takiego koła ratunkowego. Tłumaczę to faktem, że będący wówczas u władzy rząd federalny pod przewodnictwem CDU/CSU jak i ich partner koalicyjny nie zeszli z obranej drogi celem „uratowania euro”. Im wszystkim należy się wielkie uznanie za to,

że oparli się dążeniom przeciwników wspólnej waluty jak i Unii w ogóle. Gdyby Niemcy wyszły ze strefy euro, ucierpiałyby na tym w bardzo dotkliwy sposób nie tylko nasz kraj; upadłaby także cała Unia Europejska, która przecież akurat teraz nabiera kształtów.

Innej drogi niż tej obranej w celu przewyciężenia zaistniałej sytuacji nie było, bowiem zgodnie z konstytucją trzeba było prowadzić długie i mozolne rokowania. A to, że te rokowania były trudne, można sobie całkiem dobrze wyobrazić, zważywszy, że należało pogodzić interesy ni mniej, ni więcej jak 17 suwerennych państw, przy czym należy ponadto uwzględnić fakt, że niemiecko-francuski „tandem” nie działał – przynajmniej momentami – w sposób zsynchronizowany i że uczestnicy rokowań musieli „obrabiać” zupełnie nieznaną im dotychczas rolę. W dodatku fakt, że najprostsza droga do rozwiązania potrójnego kryzysu w postaci krachu zadłużenia, banków i waluty, czyli utworzenie potężnego europejskiego ministerstwa finansów, nie było i nie jest realne, ten sam niezbędny efekt trzeba było osiągnąć za pomocą zupełnie nowych traktatowych uregulowań i poprzez utworzenie całkiem nowych instytucji. Ta nader skomplikowana procedura skłoniła polskiego ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego do znanej wypowiedzi z 28 listopada 2011 r. w Berlinie, że Niemcy powinny w końcu przejąć przewodnictwo w tych rokowaniach, mianowicie: „You have become Europe’s indispensable nation. You may not fail to lead”³⁹. Biorąc pod uwagę panujące okoliczności, graniczy to prawie z cudem, że państwa należące do strefy euro – bo tylko one były aktywnie zainteresowane reformą Unii – zdołały sprostać temu zadaniu.

Objawy konsolidacji

Wynik skomplikowanych rokowań wcale nie jest taki zły, a jeżeli się uwzględni okoliczności, w których one się odbyły, można nawet powiedzieć, że jest to prawdziwy majstersztyk, nawet jeżeli skuteczność podjętych decyzji odczujemy dopiero po dłuższym czasie. W każdym razie udało się 17 państwom należącym do strefy euro przedsięwziąć środki zaradcze służące przewyciężeniu wspomnianego potrójnego kryzysu – zadłużenia państwowego, banków i walutowego – i w miarę możliwości zapobiec mu na przyszłość.

W przypadku państw strefy euro chodzi – po pierwsze – o utworzenie przez 17 państw będących w tej strefie tzw. „parasola ratunkowego dla waluty euro”, powstałego przede wszystkim z utworzonego 10 maja 2010 r. „Europejskiego Mechanizmu Stabilności Finansowej (skrót ang. ESM) w wysokości do 110 miliardów euro, a następnie z dalszego „Europejskiego Funduszu Stabilizacji Finansowej” (EFSF), powołanego do życia 7 czerwca 2010 r., w wysokości 750 miliardów euro. Ze środków tych mogą korzystać państwa dotknięte kryzysem, przy czym ta ostatnia ze wspomnianych instytucji działa od czerwca 2013 r.

Po drugie – 1 stycznia 2011 r. podjęto decyzję o powstaniu „Europejskiego Urzędu Nadzoru Bankowego” (EUNB). Ta instytucja jest częścią EFSF, a jej zadaniem

³⁹ Radek Sikorski, *Poland and the Future of the European Union*, (w:) Gesellschaft für Auswärtige Politik (DGAP), <https://dgap.org/de/node//20029>, przemówienie na s. 9, dostęp 6.12.2011.

jest nadzorowanie bardzo dużych i działających transgranicznie tzw. banków systemowych oraz ustalanie standardów ich nadzorowania, by w ten sposób zapobiec – jak to już miało miejsce – obowiązkowi wspierania banków z kieszeni podatników kwotami sięgającymi wielu miliardów euro. W tym celu funkcjonuje także wreszcie utworzona 19 grudnia 2013 r. przez 17 państw strefy euro „Unia Bankowa”, która reguluje nadzór nad bankami. Od lutego 2014 r.

najważniejszych 130 banków Europy ma być podporządkowanych nadzorowi Europejskiego Banku Centralnego. Gdyby nadzór bankowy doszedł do wniosku, że jakiś bank znajduje się w tarapatkach i powinien być poddany naprawie lub likwidacji, wtedy do akcji wkracza tak zwany «jednolity mechanizm restrukturyzacji i uporządkowanej likwidacji» (SRM).

Ta nowa instytucja wypracowuje plan naprawy banku, który ma być finansowany przez właścicieli banków, ich wierzycieli oraz nowo powstały fundusz na rzecz likwidacji banków. Chcąc podejmować odpowiednie decyzje przez organ do spraw restrukturyzacji i uporządkowanej likwidacji, a jednocześnie uwzględnić zastrzeżenia prawne Niemiec w tym zakresie, ministrowie finansów wypracowali bardzo skomplikowany mechanizm. W razie wątpliwości ostatnie słowo mają europejscy ministrowie finansów, a nie Komisja Europejska⁴⁰.

Po trzecie chodzi o „Europejski Pakt Fiskalny” (SKS). Pakt ten podpisało 9 grudnia 2011 r. 25 członków UE. Po jego ratyfikacji przez narodowe parlamenty wszedł w życie 1 stycznia 2013 r., co – według mojej wiedzy – nie zostało odnotowane przez żadną z niemieckich gazet. Do paktu tego nie przystąpiły Wielka Brytania i Republika Czeska. W odpowiednim dokumencie państwa-sygnatariusze zobowiązały się do przestrzegania górnych limitów zadłużenia. Między innymi uzgodniono, że nowe roczne zadłużenie nie może być wyższe niż 3% budżetu państwa i że nie może przekroczyć 60% całego zadłużenia danego państwa członkowskiego. Ponadto porozumiano się co do tego, że państwa nie przestrzegające tych zobowiązań muszą liczyć się ze sankcjami.

Naszkiecowane tu regulacje stanowią reakcję państw strefy euro na kryzysy spowodowane zadłużeniem państw i banków, które wybuchły w niektórych z nich, a które mogą obciążyć wszystkie państwa Unii Europejskiej. Podjęte środki mają ograniczyć nadmierne zadłużenie niektórych państw strefy euro i zapobiec mu w przyszłości. Zastosowane w tym celu działania wymagały zmian poszczególnych konstytucji, gdyż suwerenność państw członkowskich Unii Europejskiej została nimi ograniczona, a równolegle powstały nowe instytucje europejskie, które nadzorują dotrzymanie podjętych zobowiązań. Tym działaniem włączono w zupełnie nową dziedzinę, bowiem UE od teraz dysponuje instytucjami, które spełniają takie

⁴⁰ Por. <http://www.dw.de/banken-union-ist-auf-dem-weg/a-17305499>, dostęp 23.12.2013. W kontekście „Unii Banków” należy zwrócić uwagę na komentarz niemieckiego ministra finansów Wolfganga Schäublego: „Wiem, że to jest sprawa skomplikowana. Ale jeżeli macie lepszy pomysł na to, jak z 28 samodzielnych narodów (członków UE – H.W.) zrobić polityczną i gospodarczą Unię, a z 18 walut stworzyć jedną walutę europejską, to proszę mnie o tym powiadomić”. Tamże.

funkcje, jakie w krajach jednolitych lub związkowych wykonują centralnie zarządzane ministerstwa finansów. Wszystko to pokazuje, że państwa strefy euro nie były beczynne, lecz przeciwnie – okazały się wyjątkowo zgodne. Państwa niestety nie były gotowe przekazać nadzoru nad finansami i bankami jednej unijnej centrali w postaci „Ministerstwa Finansów Unii”, gdyż ich podejście do spraw samostanowienia jeszcze do tego nie dojrzało. Jest natomiast faktem zaskakującym, że nie mając żadnych wzorców, zdecydowały się jednak utworzyć wspomniane instytucje kontrolne, które spełniają zadania „unijnego ministerstwa finansów”. Choć z trudnościami, jednak dokładnie tak się stało.

Przyszłość Unii Europejskiej

Kończąc rozważania w tym rozdziale, należy wskazać na ogromny wpływ prasy, która w Niemczech czasami wpływała i nadal wpływa na antyunijne nastroje. Następnie wypada wyjaśnić, dlaczego dosyć kuriozalna procedura rokowań w sprawie opanowania kryzysu euro była nieunikniona. Ponadto trzeba wskazać na pewne zagrożenie, które tkwi wewnątrz unijnej konstytucji. W końcu powinniśmy się zająć szansami, które prędzej czy później spowodują albo rozpad Unii, albo jej trwanie.

Potęga prasy

Mój kolega Peter Steinbach z Mannheim powiada, że fakt „medialnego sterowania społeczeństwami” jesteśmy skłonni przypisywać reżimom totalitarnym⁴¹. Ale jest sprawą oczywistą, że takie postępowanie ma miejsce również w systemach demokratycznych. Jak nazbyt dobrze wiemy, media są w stanie wypromować, ale i zakończyć karierę polityków. Gdyby przykładowo Amerykanie wiedzieli o Johnie F. Kennedym to wszystko, co my dzisiaj o nim wiemy, to z pewnością nigdy by go nie wybrali na prezydenta. Ale media go swego czasu mocno popierały, wyniosły na piedestał i dlatego zwyciężył. Istnieją nawet poszlaki, że dzięki mediom został „obalony mur berliński”. Słowa Güntera Schabowskiego wypowiedziane 9 listopada 1989 r. w enerdowskiej telewizji, gdzie jako rzecznik rządu NRD na pytanie włoskiego dziennikarza, kiedy dokładnie mur zostanie otwarty, odpowiedział, iż jego zdaniem „nastąpi to niezwłocznie”, nie pociągnęły wówczas żadnych następstw oprócz niedowierzenia. Dopiero, kiedy stacje radiowe i telewizyjne Berlina Zachodniego, które były w Berlinie Wschodnim szczególnie popularne, podały, że granica faktycznie od zaraz jest otwarta, co było oczywistą nieprawdą, doszło do parcia tłumu na mocno strzeżoną granicę. A w momencie, gdy strażnicy na granicy nie użyli broni, ludzie przełamali zapory i mur stracił rację bytu, stał się przepuszczalny, co miało niesamowite następstwa.

⁴¹ Metafora ta wprowadzona została przez Petera Steinbacha w kontekście uroczystości, na jakie media mają przygotowywać obywateli z zamiarem osiągnięcia wśród nich specyficznych postaw i stanowisk. Można ją zastosować także do niniejszego tematu, czyli narzekania mediów na UE. Por. Peter Steinbach, *Umstritten, umkämpft, vereinnahmt – Widerstand gegen den Nationalsozialismus*, (w:) „MUT – Forum für Kultur, Politik und Geschichte” nr 542, luty 2013, s. 34.

Podobnie było w przypadku nastawienia Niemców do Unii Europejskiej. Media w tym wypadku odegrały także decydującą rolę: przez prawie trzy lata „bębnily” najpierw o kryzysie wywołanym przez długi, potem o euro, a w końcu występowały także przeciwko UE w ogóle. Na Unii nie pozostawiano suchej nitki, twierdzono, że jest zagrożeniem. Ludzie w Niemczech, którzy początkowo byli entuzjastycznymi zwolennikami Unii Europejskiej, stawali się obywatelami wobec niej co najmniej krytycznymi. Media czasami mają bardzo duży wpływ na swoje otoczenie. Są w stanie nie tylko zagrozić byłym mocarstwom światowym jak Wielka Brytania, ale nawet doprowadzić w sposób demokratyczny całe kontynenty na skraj upadku, bo potrafią zdezorientować obywateli bądź wyborców.

Przyczyny negocjacji „maratonowych”

W toku moich zaprezentowanych tutaj rozważań już kilkakrotnie zwracałem uwagę na to, że Unia Europejska nie jest państwem i nie chce nim być. Chcąc lepiej zrozumieć moje wywody dotyczące bardzo mozolnych rokowań na rzecz „uratowania euro”, należy wziąć pod uwagę to, że moje dla wielu ludzi nieoczywiste twierdzenie, iż Unia nie jest państwem, znajduje oparcie w orzeczeniu Niemieckiego Trybunału Konstytucyjnego. W każdym razie należało uzyskać zgodę rządów 17 suwerennych państw, by mogło w ogóle dojść do podjęcia jakiegokolwiek decyzji, a następnie wprowadzić wspólne uregulowania w życie. Wymóg taki wynikał z przepisów Traktatu z Maastricht, który został zawarty 7 lutego 1992 r., a który obowiązuje od 1 listopada 1993 r. Przepisy te weszły bez zmian do Traktatu Lizbońskiego z 1 grudnia 2009 r. i obowiązują do dzisiaj.

W preambule do wspomnianego orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe z 12 października 1993 r. w sprawie Traktatu z Maastricht, zostało powiedziane:

Traktat Unijny stwarza fundamenty dla istnienia związku państw celem urzeczywistnienia coraz ściślejszej Unii narodów europejskich zorganizowanej w państwach, ale nie państwa opartego na europejskim narodzie⁴².

Poszukując adekwatnego dla UE określenia, w celu uzasadnienia swej decyzji niemiecki Trybunał Konstytucyjny sięgnął po określenie „powiązanie państw”.⁴³ Co wobec tego – zgodnie z tym orzeczeniem – należy rozumieć pod tym określeniem?

Sam termin został wykreowany przez czołowego niemieckiego prawnika Paula Kirchhofa. Z uwagi na to, że użyto go w tym orzeczeniu jako uzasadnienia Traktatu z Maastricht, wszedł on do ogólnej terminologii prawniczej i politologicznej. Wobec tego określenie to dotyczy

⁴² Por. <http://www.servat.unibe.ch/dfr/bv089155.html>>, patrz preambuła wyroku, punkt 8. dostęp 21.03.2013.

⁴³ Por. <http://de.wikipedia.org/wiki/Maastricht-Urteil>, dostęp 21.03.2013.

ściśłego, trwałego powiązania państw pozostających suwerennymi, które sprawują władzę publiczną na podstawie traktatów, ale których ustroj pozostaje wyłącznie do dyspozycji państw członkowskich i w którym to ustroju narody – to znaczy obywatele przynależni do państw członkowskich – pozostają podmiotami demokratycznej legitymizacji⁴⁴.

Sformułowanie zawarte w Wikipedii wyraża to samo innymi słowami:

Pojęcie «powiązanie państw» jest neologizmem na określenie kilkuschczebłowego systemu, w którym poszczególne państwa współpracują ze sobą ściślej niż w związku państw, ale w przeciwieństwie do federacji dysponują pełną suwerennością państwową. Pojęcie to w Niemczech jest używane na określenie Unii Europejskiej i nie ma odpowiednika w innych językach⁴⁵.

Dlatego tutaj zawsze posługuję się określeniem „unia” państw, co ma tę zaletę, iż to pojęcie funkcjonuje również w innych językach, chociaż dotychczas pod tym terminem rozumie się rozmaite rzeczy, a niekoniecznie to, o co chodzi.

Tyle gwoli wytłumaczenia faktycznie zawilej, ale przez obowiązujący Traktat Europejski wiążąco uregulowanej procedury, która jest potrzebna w przypadku wszelkich reform tego traktatu, a o taką reformę przecież chodziło przy podejmowaniu decyzji na temat „uratowania euro”.

Unijna klauzula wyjścia z Unii Europejskiej

W samym Traktacie znajduje się również passus bardzo nietypowy, który – jak stwierdziłem – ma jednak swojego poprzednika. Trudno zgadnąć, skąd pochodzi. W jednym przypadku chodzi o artykuł 50 (1) Traktatu Lizbońskiego. Powiedziane tam jest: „Każde Państwo Członkowskie może, zgodnie ze swoimi wymogami konstytucyjnymi, podjąć decyzję o wystąpieniu z Unii”⁴⁶. Gdzie na świecie obowiązuje taka klauzula, że zagwarantowane jest prawo do wystąpienia z organizacji wspólnoty politycznej, do której należą różne narody? We wszystkich formach organizacyjnych państw jest to niemożliwe. A w drugim przypadku w odnośnej konstytucji zapisane jest w rozdziale 2, art. 4, czarno na białym: „Każda z republik związkowych zachowuje prawo do wystąpienia ze Związku.”⁴⁷ To można znaleźć w pierwszej konstytucji Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, uchwalonej 6 lipca 1923 r. przez podówczas istniejące republiki radzieckie i zatwierdzonej 24 stycznia 1924 r. przez II. Wszechzwiązkowy Zjazd Rad, która weszła w życie 31 stycznia 1924 r. Konstytucja ta obowiązywała do 5 grudnia 1936 r., kiedy została wprowadzona tak zwana konstytucja stalinowska. Jaka relacja istnieje między tymi dwiema prawie identycznymi klauzulami?

⁴⁴ Pro. <http://de.wikipedia.org/wiki/Staatenverbund>, dostęp 21.03.2013.

⁴⁵ Por. <http://de.wikipedia.org/wiki/Staatenverbund>, dostęp 21.03.2013. s. 1.

⁴⁶ Tamże, s. 33.

⁴⁷ Por. http://de.wikipedia.org/wiki/Sowjetische_Verfassung_von_1924, dostęp 21.03.2013.

Pierwsza różnica polega z pewnością na tym, że sformułowanie w Traktacie Lizbońskim zawiera odpowiednią gwarancję prawną, która w każdej chwili może zostać spełniona. W pierwszej konstytucji radzieckiej to prawo istniało tylko na papierze i każdy, kto by się o nie upomniał, byłby kandydatem na śmierć. Powstaje jednak pytanie, jak do uchwalenia tych dwóch artykułów doszło. W pierwszym przypadku możemy stwierdzić, że ten przepis prawny odpowiada oczywistości państw członkowskich Unii Europejskiej. Tak jak można do niej dobrowolnie przystąpić, tak też musi być zagwarantowane prawo do jej opuszczenia. Inaczej członkostwo w ogóle nie wchodzi w rachubę, gdyż stałoby się równoznaczne z rezygnacją ze samostanowienia. Jeżeli w drugim przypadku od samego początku nie chodziło o zamierzone oszustwo, to należy przypuszczać, że autorzy działali w dobrej wierze i byli bardzo odważni, ale radzieccy możnowładcy nawet nie byli skłonni zrealizować tej obietnicy, bowiem sami sobie zdawali sprawę, że ich panowanie opiera się na przemocy, a nie na akceptacji rządzonych. Moim zdaniem – po trzecie – jest to dla UE znakiem ostrzegawczym, iż jej byt zależny jest, tak jak członkostwo, od zasady dobrowolności, bo inaczej długo nie będzie istnieć. Dlatego jej hasłem przewodnim powinno brzmieć: kto chce odejść z Unii, gdyż nie akceptuje jej reguł, niech to uczyni bezzwłocznie i sam poniesie konsekwencje takiego kroku!

Kryzysy jako próby

Unia Europejska – według przedstawionej tutaj przeze mnie koncepcji – jako polityczny system wielopłaszczyznowy jest „towarem pierwszej jakości”, a to z co najmniej czterech powodów, które chciałbym na koniec uzasadnić: Po pierwsze, Unia jest – o czym będzie jeszcze mowa – lepszym politycznym systemem od innych, gdyż chroni i wspiera nawet najmniejsze organizmy typu grupy etniczne. Po drugie, dlatego, że można zorganizować ją we wszystkich dziedzinach w sposób demokratyczny. Po trzecie, Unia ze względu na udział obywateli we współrządzeniu jest ze wszystkich innych form rządzenia najbardziej efektywną, jaką sobie można nie tylko wyobrazić, ale także zrealizować. A w końcu – po czwarte – Unia stanowi instytucjonalną przesłankę do utworzenia w przyszłości „wspólnoty światowej”.

Fakt, że nasza Unia, zwłaszcza w okresie jej tworzenia, przechodzi kryzysy, nie jest niczym szczególnym, a raczej czymś normalnym, a to dotyczy także kryzysu euro. Zobaczymy, w jaki sposób się z tymi kryzysami upora i mamy nadzieję, że z tego wyjdzie zwycięsko. Na tego rodzaju kryzysy powinna być w przyszłości lepiej przygotowana. Jedno da się już przewidzieć: mimo że kryzys walutowy nie jest jeszcze całkowicie zażegnany, Unia za pomocą wdrożonych reform będzie w stanie minimalizować w przyszłości długi państwowe, zaś podatnicy nie będą musieli odpowiadać za bankructwa banków. Takie kraje jak USA czy Japonia nie mogą o sobie powiedzieć, że stworzyły podobne regulacje prawne w celu zapobiegania podobnym katastrofom w przyszłości. Muszą je dopiero opracować. Unia te państwa w każdym razie już raczej wyprzedza. Tylko w ten sposób jest ona w stanie potwierdzić na dłuższą metę prawdziwość przysłowia, że „rzekomo umarli żyją dłużej”! Unia – choć może sama tego nie zauważyła – była w stanie poradzić sobie

z sytuacją kryzysową lepiej i bardziej konstruktywnie niż inne systemy polityczne, które nie znalazły jeszcze lekarstwa na „pułapkę długów”.

Utworzenie i istnienie Unii o tak skonstruowanym systemie ustrojowym może trwać – jak to już powiedziano – tylko dzięki gotowości suwerennych państw do rezygnacji z części ich suwerenności dla dobra własnego i dla dobra wspólnoty, nie pretendując do załatwiania trudności we własnym zakresie. Takie sprawy są niezwykle trudne do zrozumienia w byłych europejskich mocarstwach i nie tylko tam, co jest rzeczą naturalną, ale mimo wszystko stanowi swego rodzaju *conditio sine qua non*. Inaczej takiej unii państw nie można sobie wyobrazić!

V. Starania o zintegrowanie Europy. Chaos czy różnorodność?

Co pozostało z tej całej Europy, z tego „małego półwyspu azjatyckiego”, odkąd pod koniec II wojny światowej zapoczątkowała proces rezygnacji ze swojej tradycyjnej mnogości państw na rzecz tworzenia wspólnot państwowych? Dzisiejszy obraz Europy jest bardzo zróżnicowany, by nie powiedzieć rozmyty. Obok kilku wielkich projektów integracyjnych mamy do czynienia z całym szeregiem osobliwości i niedorzeczności. Jakie są fakty? Na czym polega wspomniana różnorodność? Dokąd zmierza podróż, którą droga, po której Europa aktualnie podąża? Kwestie te będą przedmiotem niniejszego rozdziału.

Sytuacja bieżąca

Po pierwsze, mamy do czynienia z trzema projektami różnej wielkości o zróżnicowanej liczbie uczestników i o większym bądź mniejszym politycznym ciężarze gatunkowym:

P o p i e r w s z e, chodzi o Organizację Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OBWE) liczącą 57 państw członkowskich, z których dwa nie są państwami europejskimi, mianowicie USA i Kanada. Organizacja ta powstała w 1995 r. w Budapeszcie w następstwie Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (KBWE), która obradowała w latach 1973–1975 i ma swoją siedzibę we Wiedniu. Powołana została do życia w okresie zbliżenia się obydwu wielkich bloków militarnych – NATO i Układu Warszawskiego, a obecnie znalazła się na politycznym marginesie. Wprawdzie istnieje nadal, ale jej międzynarodowy wpływ jest obecnie nieznaczący.

P o d r u g i e, istnieje powstała w 1949 r. w Londynie Rada Europy. Chodzi w tym przypadku o najstarszą inicjatywę integracji europejskiej, do której pierwotnie należało 10 państw, a obecnie liczy już 47 państw członkowskich. Rada ta ma swą siedzibę w Strasburgu i może się wykazać sporym dorobkiem w sferze multilateralnych układów, między innymi Europejskiej Konwencji Praw Człowieka (EKPC) z 1950 r. wraz z 14 przyjętymi dotychczas dalszymi protokołami. Aktualnie instytucja ta odgrywa raczej skromną rolę polityczną.

P o t r z e c i e, powstała w 1992 r. na podstawie Traktatu z Maastricht Unia Europejska, która wyłoniła się z założonej w 1952 r. Wspólnoty Węgla i Stali. UE liczy obecnie 28 państw członkowskich i ma swą siedzibę w Brukseli. Jej żywotność aktualnie jest bardzo sporna, a jej przyszłość niepewna⁴⁸.

O tych trzech organizacjach można powiedzieć, że w przypadku pierwszym i drugim chodzi o organizacje w formie „związku państw”, których członkowie nadal pozostają pełnoprawnymi suwerennymi państwami, natomiast w przypadku UE mamy do czynienia ze „wspólnotą państw”, którego członkowie „przenieśli”

⁴⁸ Dane pochodzą z zapisów poszczególnych organizacji zawartych w Wikipedii (dostęp z 22.01.2014).

niektóre ze swoich suwerennych praw na Unię. Ta Unia na przestrzeni 62 lat swego istnienia przetrwała cały szereg kryzysów, ale równocześnie rozszerzyła się zarówno pod względem terytorialnym jak i kompetencyjnym, przy czym jednak w tak ważnych politycznych dziedzinach jak finanse, polityka zagraniczna i polityka obronna nie poczyniła postępów, gdyż dziedziny te dotychczas nie zostały „uwspólnotowione”.

Poza tym istnieją – bardzo zresztą widoczne – różnego rodzaju unikaty europejskiego procesu integracyjnego. Charakteryzują się przede wszystkim tym, że w wyniku odrzucenia członkostwa w UE wykryzalizowały i umocniły się w sferze integracji rozmaite formy specjalne. Chciałbym tutaj przedstawić dziewięć przypadków tego gatunku integracji, jakie wcale nie są takie rzadkie, chociaż wyglądają na dość egzotyczne.

P i e r w s z y przypadek dotyczy 18 państw należących do strefy euro, które posługują się tą walutą jako środkiem płatniczym i osiągnęły tym samym wyższy stopień integracji w porównaniu z pozostałymi dziesięcioma państwami członkowskimi Unii, które czynią jednak starania, by spełnić warunki do wprowadzenia euro również u siebie.

D r u g i przypadek dotyczy państwa europejskiego niebędącego jeszcze członkiem UE, ale które u siebie już wprowadziło euro. Chodzi tu o Czarnogórę.

T r z e c i przypadek to długa lista państw będących kandydatami do członkostwa, które pragną do Unii przystąpić i działają w tym kierunku bardziej lub mniej intensywnie i mają ku temu lepsze lub gorsze szanse. Do tej grupy należy co najmniej dziesięć państw, mianowicie w porządku alfabetycznym: Albania, Bośnia-Hercegowina, Gruzja, Kosowo, Macedonia, Mołdawia, Czarnogóra, Serbia, Turcja oraz Ukraina.

P o c z w a r t e – z siedmiu państw-założycieli powstałej w Sztokholmie w 1960 roku Europejskiej Strefy Wolnego Handlu (EFTA), a były nimi Dania, Wielka Brytania, Norwegia, Austria, Portugalia, Szwecja i Szwajcaria, dzisiaj tylko trzy państwa – Liechtenstein, który przystąpił do tej organizacji później, oraz Norwegia i Szwajcaria nadal są jej członkami. Pozostałe państwa już przystąpiły do UE, zaś trzy państwa utrzymują z nią bardzo intensywne stosunki dwustronne.

P i ą t y przypadek dotyczy Grenlandii, której obywatele są obywatelami UE, mimo że ich kraj pod względem geograficznym należy do Ameryki Północnej. Wyspa ta mająca 2.166.086 km² powierzchni i 56.370 mieszkańców jest największą wyspą na świecie. Razem z Danią, do której wtedy należeli, mieszkańcy Grenlandii przystąpili w 1973 r. do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej (EWG). Na podstawie przeprowadzonego w 1985 r. referendum Grenlandia wprawdzie wystąpiła z EWG, ale jej mieszkańcy z prawnego punktu widzenia nie odłączyli się od Danii i pozostają nadal obywatelami Unii Europejskiej.

P o s z ó s t e – pamiętać należy o tym, że Rosja także należy do Europy. Państwo to na razie ma zamiar – poprzez utworzenie unii celnej i Euroazjatyckiej Unii Gospodarczej najpierw z Białorusią i Kazachstanem, a na dalszą metę poprzez Konsolidację Przestrzeni WNP, przy czym skrót WNP należy rozumieć jako Wspólnotę Niezależnych Państw – stworzyć polityczną Unię Euroazjatycką, czyli zorganizować unię będącą przeciwwągią dla Unii Europejskiej;

P o s i ó d m e – w Europie istnieje co najmniej sześć tak zwanych quasi-państw bądź reżimów. Są to państwa, które wprawdzie istnieją, ale przez część państw wspólnoty międzynarodowej jak i przez ONZ nie są uznawane. Do nich należą: Abchazja licząca 86 000 km² powierzchni i 240 705 mieszkańców, Górny Karabach (11 458 km² powierzchni i 134 800 mieszkańców), Kosowo (powierzchni 10 887 km² i 1 800 000 mieszkańców), Cypr Północny (53 359 km² powierzchni i 265 100 mieszkańców), Południowa Osetia (3 858 km² powierzchni i 72 000 mieszkańców) oraz Naddniestrze (3 567 km² powierzchni i 555 347 mieszkańców).

P o ó s m e, istnieje jeszcze Watykan, który formalnie wprawdzie nie jest członkiem Unii Europejskiej i do członkostwa w niej nie dąży. Państwo to dysponuje obszarem o powierzchni 0,44 km² i ma 836 mieszkańców, a za sprawą zawartych układów z Włochami obowiązuje w nim waluta euro jako środek płatniczy i jego obywatele są obywatelami UE⁴⁹.

P o d z i e w i ą t e – części Ukrainy, a mianowicie Krym oraz jej południowo-wschodnie regiony są aktualnie od tego kraju oderwane siłą. Ich status, to znaczy ich przynależność w tej chwili jest niepewna.

Jak dowodzą powyższe zestawienia, cała struktura Europy w fazie swej integracji cechuje się faktycznie pewną osobliwością. Pierwsze pytanie, na które zamierzam znaleźć odpowiedź, brzmi: czy mamy tutaj naprawdę do czynienia – jak by należało przypuszczać – ze straszliwym chaosem?

Sensowny, ale przejściowy chaos

To, co wydaje się chaosem, czyli mnogość powiązań nowego rodzaju, jest przy bliższym oglądzie sprawą sensowną i ma swoje uzasadnienie. Dzieje się tak przy założeniu, że o tych powiązaniach, przynajmniej w większości przypadków, zdecydowały same narody lub grupy etniczne. W innym przypadku nie sposób zrozumieć całego tego zamieszania. To, że do niego doszło, uwarunkowane jest przede wszystkim tym, iż Europa znajdowała się i znajduje nadal w fazie przejściowej: od scementowanych, pozornie niezmiennych form swego istnienia w kierunku możliwości korzystania przez poszczególne narody albo grupy społeczne ze swych interesów szczególnych oraz z możliwości ich politycznej realizacji. Było to odczuwalne na szeroką skalę w niedalekiej przeszłości zwłaszcza w Europie Wschodniej, ale po części także w Europie Zachodniej. W każdym z poszczególnych przypadków, zarówno separowania się od innych jak i konsolidacji, można przytoczyć przekonujące dowody.

Spójrzmy na przypadek, który może się odnosić także do wielu innych państw, chociaż w innych konstelacjach i z innych powodów. Co skłoniło Szwajcarię i Norwegię do tego, by nie przystępować do Unii Europejskiej, lecz iść własną drogą? Nasuwający się argument, że te kraje mogą sobie na to pozwolić, nie jest jednak przekonujący, albowiem inne kraje jak Francja czy Niemcy tak samo mogłyby sobie na to pozwolić, ale tego nie czynią. Argument, że są dumne i nie chcą narażać na szwank swojej tożsamości, również nie przekonuje, gdyż kraje jak Hiszpania albo

⁴⁹ Dane dot. wymienionych tu faktycznych państw bądź reżimów pochodzą z odnośnych tekstów z Wikipedii (dostęp 22.01.2014).

Polska są nie mniej dumne ze swojej odrębności, a mimo to przystąpiły do Unii Europejskiej. Uczyniły ten krok w przeświadczeniu, że ich odrębności nic nie zagraża, wręcz przeciwnie – chroni ją i umacnia.

Moje wyjaśnienie takiego zachowania obu wspomnianych krajów jest następujące: sprawdzona w nich tradycja pozostawania na uboczu międzynarodowych napięć i konfliktów oraz doświadczenie, że im się to materialnie opłacało, było powodem nieprzystąpienia do Unii. Taką ocenę potwierdza fakt, że elity tych krajów są za przystąpieniem do UE, ale większość ich społeczeństw się temu sprzeciwia. Dzieje się tak dlatego, że z tą odrębnością było im dotychczas dobrze i dlatego się jeszcze nie przyzwyczyły do zmienionej sytuacji w Europie i przystąpienie do Unii jakby „przegapiły”. Elity o wiele bardziej skłonne są zaakceptować nowe warunki, i to one stanowią tę warstwę społeczną, która zabezpieczyła się odrębnymi umowami dwustronnymi z UE, uzyskując korzystny dla siebie status „pasażerów” Unii. Nie mam jednak żadnych wątpliwości, że jest tylko kwestią czasu, aż większość społeczeństw tych dwóch, jak i innych krajów będących jeszcze poza Unią, zrozumie, co leży w ich interesie i że ich miejsce nie jest poza Unią, ale że przynależność do niej zapewni im ochronę, bezpieczeństwo oraz prosperity. Przyjdzie na to czas!

Jednak uleczalna różnorodność?

Skoro Unia Europejska jest próbą zagwarantowania i popierania różnorodności kulturowej, należy dążyć do praktykowania wspólności również w dziedzinie politycznej, nie pod przymusem, lecz dobrowolnie. Będzie to funkcjonowało tylko wtedy, gdy różnorodność struktur politycznych będzie wzajemnie dopasowana, przejrzysta i efektywna. Bez tego ani rusz w Unii Europejskiej.

Kategorycznym warunkiem tego jest to, by nie poddawać UE procesowi nieustannego rozpadu. Powinna natomiast być od strony struktur organizacyjnych bardziej zwarta, działać kompetentnie i zdecydowanie, a nie być dzielona na kawałki, zaś jej kompetencje powinny być szersze. Tylko wtedy, gdy struktury będą przejrzyste, niekoniecznie jednolite, ale dopasowane, gdzie nikt nie korzysta z przywilejów ani nie jest poszkodowany, Unia Europejska stanie się efektywna, a jej wizerunek wewnętrzny ulegnie poprawie. Właśnie regulacje w tej kwestii oraz sprawa rozszerzenia kompetencji w dziedzinie polityki zagranicznej i obronnej zdecydują o jej zewnętrznym wizerunku. W przeciwnym razie, jako efektywnie działająca wspólnota, nie będzie konkurencyjna w stosunku do innych mocarstw kontynentalnych. Aby być atrakcyjną na zewnątrz, musi być zorganizowana w sposób funkcjonalny i efektywny w zakresie spraw wewnętrznych.

Pieśń przyszłości

Jeżeli dobrze to oceniam, UE w niedalekiej przyszłości nie może obejść się bez głębokich ujednoczeń organizacyjnych oraz bez rozszerzenia zakresu swoich kompetencji, skoro pragnie sprostać przyszłym wyzwaniom. W samej UE oczywiście nie może się to odbyć sposobem „na siłę”. Przeczy temu choćby z reguły nakaz jednomyślności w kwestiach konstytucyjnych, który moim zdaniem prędzej czy później

musi być zmieniony na wymóg decyzji podejmowanych większością, o ile Unia ma być organizmem zdolnym do działania. W tym przypadku wierzę w przymus okoliczności oraz ufam, że pojawią się osobistości, które podejmą wysiłek zreformowania Unii. Tak zresztą było zawsze, chociaż z opóźnieniem. Do takich reform Unia, zgodnie z interesami swych członków, jest przygotowana lepiej niż każde monopolizujące wszelkie uprawnienia europejskie państwo federalne, którego Europejczycy przecież nie chcą mieć. Mieszkańcy Europy powinni przede wszystkim dobrze wykorzystać to, co już mają. Bo dotychczas jeszcze nie rozpoznali do końca zalet Unii Europejskiej. Są jakby wystraszeni jej „chorobami dziecięcymi”. Bo gdyby te zalety zrozumieli, to by bronili ich wszelkimi środkami, a nie krytykowali ich, tylko reformowali Unię.

Na koniec pragnę jeszcze zdradzić, skąd czerpię ten pomysł zajęcia się w taki oto sposób tematyką różnorodnych dążeń do integracji europejskiej. Od tych dążeń państwa europejskie lub regiony widocznie nie mogą odejść, mimo że dotychczas nie było im dane uzgodnić jedną formę integracji. To powinno jeszcze nastąpić. Ten proces nie jest jeszcze zakończony. Krótko mówiąc, zreferowałem tutaj tylko to, czego się nauczyłem podczas trzydniowej konferencji w dniach od 13 do 15 stycznia 2014 r. w Europejskiej Akademii w Berlinie pod kierunkiem jej dyrektora, prof. Eckharta D. Stratenschulte⁵⁰. W kręgu wielu znakomitych kolegów-fachowców, spośród których wymienię tylko profesorów Hannesa Adomeita, dawniej pracującego w Kolegium Europejskim w Warszawie, Ottona Luchterhandta z Hamburga i Andreeasa Maurera z Innsbrucku oraz dra Paula Widmera – ambasadora Szwajcarii przy Stolicy Apostolskiej, czułem się znakomicie i na bardzo długo zapamiętam odkrywcze komentarze organizatora konferencji.

⁵⁰ Europäische Akademie Berlin, Bismarckallee 46/48, 14193 Berlin, www.eab-berlin.eu.

VI. Dialog UE – Rosja. Obawy i oczekiwania

Dla Unii Europejskiej, generalnie rzecz biorąc, prowadzenie dialogu z Rosją jest sprawą co najmniej tak samo ważną jak z USA. Taki dialog leży również we własnym interesie, nawet jest niezbędny. Aktualnie niestety dialog ten jest prawie przerwany, gdyż Rosja – wskutek postępowania jej obecnego przywództwa – straciła Unię Europejską jako zaufanego partnera. Obie strony aktualnie jakby nie są zainteresowane tym dialogiem i jakoś nie dążą do prowadzenia rozmów. Zamiast dialogu nieustannie wysuwają wobec siebie zarzuty i podejrzenia. Z powodu rosyjskiej interwencji na Ukrainie pozostają ze sobą w konflikcie podobnym prawie do stanu wojny, a UE czyni starania, by nie dopuścić do dalszej eskalacji i w miarę możliwości powrócić do stanu przed tą eskalacją.

W sytuacji nowych i zaostrzających się obecnie konfliktów nie widać możliwości kontynuacji podjętego w 1991 r. dialogu z nową Rosją, choć takowy ze strony UE starano się raz po raz uruchomić. Do tego dialogu chyba nie dojdzie, dopóki przywódcy Rosji nie zejną ze swego kursu lub nie nastąpi tam zmiana ekipy władzy. Dlatego w poniższych rozważaniach chodzi mi przede wszystkim o to, by naświetlić, kto za ten konflikt odpowiada oraz zastanowić się nad następstwami aktualnej sytuacji wojennej.

Przyczyny konfliktu

Jeżeli chodzi o określenie przyczyn zerwania dialogu, to moim zdaniem trzeba sobie najpierw zdać sprawę z tego, jakie były zarzuty podnoszone przez każdą ze stron. Osobiście widzę w tym względzie dwa podejrzenia, które odegrały ważną rolę dla zaistnienia tak skrajnie różnych postaw każdej ze stron. Po pierwsze chodzi o stanowisko przywódców Rosji wobec UE, którzy uważają Unię za zagrożenie dla własnego istnienia, a po drugie wśród wielu Europejczyków, szczególnie w Europie Wschodniej, istnieje uczucie strachu przed Rosją na samą myśl o niej. Uważam, że obydwie reakcje wiążą się z historycznymi wspomnieniami.

Co jest powodem lęku rosyjskich przywódców? Pierwszą poważną przyczyną poczucia ich zagrożenia jest najwyraźniej fakt, że UE oraz NATO de facto coraz bardziej się rozrastają. Dlatego przywódcy Rosji wmawiają sobie i innym ludziom, że celem tych dwóch organizacji jest osłabienie Rosji, a być może wymazanie jej z mapy. Nastawienie to jest moim zdaniem następstwem rozpadu Związku Radzieckiego. Rozpad ten tłumaczony jest nie przyczynami wewnętrznymi systemu, lecz zewnętrznymi, czyli wrogimi manipulacjami. Chodzi tu o zrozumiałe reakcje osób należących przedtem do dawnego systemu władzy, które z tego systemu czerpały korzyści.

Moim zdaniem takie reakcje są co najmniej z trzech powodów nieracjonalne i kontraproduktywne. Po pierwsze – system radziecki upadł jako ustrój nieefektywny i nawet przy najlepszych chęciach był nie do uratowania, lecz sam doprowadził się do ruiny. Po drugie – imperium radzieckie było nie do pogodzenia z interesami wchodzących w jego skład narodów i dlatego po prostu rozpadło się tak, jak inne imperia w przeszłości. A po trzecie Rosja w zasadzie nie może sobie życzyć nic

lepszego niż tego, aby jako sąsiadów mieć państwa stabilne, z dobrze prosperującymi gospodarkami, zamiast bardzo kosztownych i czupurnych państw satelickich.

Niestety, większość rosyjskiego społeczeństwa nie postrzega tego nieodwracalnego i pozytywnego procesu historycznego jako czegoś korzystnego, zaś obecni przywódcy Rosji, którzy najwyraźniej myślą jeszcze radzieckimi kategoriami, wykorzystują ten fakt do podsycania wspomnień o „chwalebnych czasach” Związku Radzieckiego i utrzymują się przy władzy pod sztandarem zabezpieczenia własnego istnienia środkami imperialnej ekspansji. Przystawienie się społeczeństwa na nowy tok myślenia, którego wymaga zdecydowanie rzeczywistość, jest kwestią czasu. Nastąpi to jednak chyba dopiero wtedy, gdy większość rosyjskiego społeczeństwa zrozumie, że krocząc dalej po obecnej ścieżce wojennej, wpędzi się w niebывале koszty i w ślepy zaułek, wskutek czego nikt inny jak tylko ono samo będzie musiało za wszystko słono zapłacić.

A czego obawiają się ludzie w Europie Zachodniej, a zwłaszcza Środkowej? Większość z nich przez długi czas w dobrej wierze wychodziła z założenia, iż nowa Rosja zachowywać się będzie inaczej niż Związek Radziecki i będzie ją można pozyskać, jako liczącego się partnera. Niektórzy jednak obawiali się recydywy totalitarnego systemu radzieckiego i powrotu rosyjskiego imperium, które w przeszłości nie bez powodów uchodziło za zagrożenie ich narodowego istnienia. Przecież nie z zuchwalstwa czy szaleństwa uciekli pod ochronę UE i NATO. W tym nie ma nic złego, skoro tylko obowiązuje zasada, że narody te czynią to z własnej woli i dla własnego dobrego samopoczucia. Fakt, że te obawy się sprawdziły i podzielane są przez większość Europejczyków, zależy wyłącznie od Putina i jego postawy wobec Ukrainy. Krajowi temu za sprawą Niemiec w 2008 r. odmówiono członkostwa w NATO, a to z uwagi na rosyjskie obawy. Obecnie, dziewięć lat po tym fakcie, jesteśmy świadkami, w jaki sposób Putin potrafi za to być wdzięczny Unii Europejskiej.

Do historycznych uwarunkowań doszły obecne doświadczenia z Rosją Putina. Tego rodzaju doświadczenia traktowane są w całej Europie z wielką troską, ponieważ pozostają w sprzeczności z jej wartościami i celami. Można wprawdzie reagować krytycznie, że się wszystko wie lepiej, ale nie należy zapominać o tym, że chodzi w tym przypadku o coś w rodzaju szczególnego wyczulenia wobec Rosji, jakiego nie ma w tym samym stopniu w stosunku do innych, podobnych imperiów na świecie. Takie podejście można zinterpretować nawet w ten sposób, iż jest ono wynikiem współczucia dla narodu rosyjskiego, a nawet rozczarowania, iż pokładane w nim nadzieje zawiodły. A przecież wcale nie tak dawno jeszcze mówiono w Europie, szczególnie w Niemczech, o „partnerstwie modernizacyjnym” z Rosją⁵¹.

⁵¹ Por. Hans Martin Sieg: rozdział „Von der EU-Erweiterung bis zur Modernisierungspartnerschaft”, (w:) Hans Martin Sieg, *Zwischen Partnerschaft und Konkurrenz: Die Entwicklung der EU-Russland-Beziehungen*, (w:) Gernot Erler, Peter W. Schulze (red.), *Die Europäisierung Russlands: Moskau zwischen Modernisierungspartnerschaft und Großmachtrolle*, Frankfurt a. M./New York 2012, s. 157–163; także Hannes Adomeit: rozdział „Moskaus, Modernisierungspartnerschaften’ und der europäische Nachbarschaftsraum”, (w:) Hannes Adomeit, *Partner oder Störfaktor: Russlands Rolle in der europäischen Nachbarschaft*, (w:) Eckard D. Stratenschulte (red.), *Grenzen der Integration – Europas strategische Ansätze für die Nachbarregionen*, Baden –Baden 2013, s. 134–136.

To zwrócenie się w kierunku Rosji pokazuje bardziej dobitnie niż deklaracje słowne, jak wysokie były w Europie Zachodniej swego czasu oczekiwania wobec nowej Rosji. Tego rodzaju wyczulenie i szacunek – taką mam nadzieję – utrzyma się do czasu, aż oficjalna polityka tego państwa wybierze inny kurs niż ten realizowany już od dłuższego czasu i obecnie, czego Zachód dotychczas nie brał pod uwagę. W tym kontekście jest sprawą nader ciekawą, co Putin powiedział całkiem oficjalnie na temat tego rodzaju „partnerstwa”: „Partnerstwo z Unią Europejską ma się przyczynić do tego, by Rosji przypadła rola przywódcza w nowym systemie konsolidowania relacji politycznych i gospodarczych między państwami na obszarze WNP”⁵². Cel Putina w zakresie nawiązania partnerstwa z UE był zatem wyraźnie imperialny, nie była nim modernizacja kraju.

Na dłuższą metę coraz trudniej będzie prezentować UE i NATO jako potencjalnych agresorów, gdyż całą swoją konstrukcją do tego się nie nadają. Tak samo nie zda egzaminu mówienie o Rosji jako o potencjalnym mocarstwie światowym, bo brak jej ku temu potencjału. Jednak nowe obawy będą się utrzymywać, dopóki nie zostaną usunięci ich sprawcy, a to może potrwać naprawdę nadspodziewanie długo.

Współpraca jako terapia

Co można uczynić w sytuacji, gdy dialog między Unią Europejską a Rosją nie zostanie ponownie podjęty, by osiągnąć jako taką normalizację wzajemnych stosunków, zakładając, że uda się powstrzymać ekspansję Rosji? Bardzo dobrymi ku temu okolicznościami są przynajmniej relacje gospodarcze. Nie trzeba ich nawet długo szukać, bo są ewidentne. Duże zainteresowanie istnieje z jednej strony wymianą produktów energetycznych, a z drugiej strony wyrobami przemysłowymi. Co można uczynić w tych dość dobrze prosperujących i opierających się na wzajemnych korzyściach dziedzinach, by je zabezpieczyć i rozszerzyć, a tym samym przyczynić się także do poprawy stosunków międzyludzkich?

Chodzi moim zdaniem o dwie dziedziny, w których dopatrujemy się istnienia wspólnych interesów. Przytoczę tutaj krótko dwa przykłady dziedzin, w których współpraca mimo kontrowersji może być obustronnie korzystna, chociaż tych dziedzin jest więcej: po pierwsze prawne uregulowanie kwestii zaopatrzenia energetycznego, a po drugie sprawa wiz. Nie są to sprawy nowe, ale w ostatnim czasie były „zamrożone”.

Jeżeli chodzi o zaopatrzenie UE w energię, to znaczy o dostawy ropy i gazu z Rosji, to pierwszy krok w tej dziedzinie powinien być uczyniony przez UE, aby w ogóle mogło dojść do podjęcia rozmów: państwa członkowskie powinny przenieść kompetencje w sektorze polityki zaopatrzenia w ropę i gaz na Unię, to znaczy powinny je „uwspólnotwić”. Dopiero gdy to nastąpi, Unia będzie w stanie działać. Wtedy okaże się, czy Rosja jest gotowa zawrzeć odpowiednie umowy z UE.

⁵² Tak w oświadczeniu „Strategie Russlands gegenüber der EU in mittelfristiger Perspektive”, 2000–2010. Dokument ten jest odpowiedzią Rosji na „Gemeinsame Strategie der EU gegenüber Russland”, uchwalona na posiedzeniu Rady UE w czerwcu 1999 r. w Kolonii. Tekst w języku rosyjskim jest dostępny pod adresem <http://www.ieras.ru/journal/journal1.2000/9.htm> (dostęp 30.5.2013).

Dlatego kwestie energetyczne są zarazem testem na to, czy dalsza integracja UE będzie kontynuowana i czy Rosja w tej dziedzinie może być jej partnerem. Warunkiem jednak w mojej ocenie jest to, że Francja i Niemcy jako najwięksi odbiorcy energii podejmą wspólne działania w kierunku „europeizacji” przynajmniej części polityki energetycznej i w tym zakresie zabiegać będą o zgodę innych państw członkowskich Unii.

Wielu ekspertów podziela opinię, że najwyższy już czas uregulować sprawy energetyczne Unii Europejskiej. Ale czy politycy na dłuższą metę do tego będą dążyć, to się okaże. Były niemiecki komisarz do spraw energii, Günther H. Öttinger, mógł być tym człowiekiem, który potrafiłby może sprostać wyzwaniu „uwspólnotowienia” części europejskiej polityki energetycznej. Zresztą sam się w tej sprawie wypowiedział, przypominając o fakcie, że załączek dzisiejszej UE, mianowicie Wspólnota Węgla i Stali, była kolebką „uwspólnotowienia” wydobywania bądź produkcji tych surowców w sześciu państwach zachodnich. Stąd wniosek, że prognozy dla takiego kroku integracyjnego wcale nie są takie złe, ale trzeba tylko chcieć go uczynić, zakładając, że inne państwa członkowskie, łącznie z Francją, będą w tym uczestniczyć.

Korzyści wynikające z takiej umowy energetycznej dla UE jako głównego odbiorcy energii z jednej strony a Rosją jako głównego dostawcy z drugiej strony, są bardzo widoczne. Bowiem na podstawie takich umów obie strony mogłyby ułożyć swoje plany w sposób długoterminowy, co z uwagi na ogromne koszty zarówno w sferze wydatków jak i przychodów jest nie bez znaczenia. Obecnie istniejące w tym zakresie niepewności i wahania zostałyby zminimalizowane, a współpraca okazałaby się dla obu stron korzystna w praktyce. Byłby to początek bliskiej współpracy między UE a Rosją, która w strategii i modernizacji rosyjskiej gospodarki jest tak samo niezbędna, jak dla gospodarki UE, która jest zależna od rynków zbytu. Dla Rosji na dłuższą metę nie widzę innej drogi, by rosyjską gospodarkę powoli postawić na nogi i by ten kraj osiągnął samodzielność i stał się poważnym partnerem handlowym Unii.

Drugą dziedziną, o którą mi chodzi jako o przykład przyszłych rokowań, jest kwestia wiz. W ostatnim czasie wprawdzie doszło do znacznych ułatwień dla podróżnych między Unią Europejską a Rosją, ale obie strony jak dotychczas unikały rozmów na temat ułatwień w sprawie wiz. Dlaczego? Naturalnie nie dlatego, że Rosja zostałaby zalana przybyszami z Unii Europejskiej, tylko że jedni obawiają się, iż zbyt dużo Rosjan porzuciłoby swą ojczyznę, a drudzy sądzą, że za dużo Rosjan przyjechałoby do krajów UE. Czy takie obawy są uzasadnione? Eksperti tych obaw raczej nie podzielają. Nie widzą żadnego poważnego zagrożenia w przypadku zniesienia obowiązku wizowego na zasadzie wzajemności. Dotychczasowe doświadczenia po wejściu w 2004 r. Polski do UE, jak i po dołączeniu do niej w 2007 r. Rumunii i Bułgarii oraz Chorwacji w 2013 r. pokazują, że negatywne oczekiwania związane z ruchem bezwizowym się nie sprawdziły.

Dlatego, moim zdaniem, byłoby wskazane podjąć poważne rozmowy na temat ruchu bezwizowego między UE a Rosją z chwilą, gdy czas do tego dojrzeje a warunki będą temu sprzyjać. Jeżeli się okaże, że w sektorze prywatnych podróży z powodu otwarcia granic nasze kraje nie ucierpią, wtedy obowiązek wizowy

powinien zostać zniesiony lub dla większości podróżnych przynajmniej maksymalnie ułatwiony i powiązany z posiadaniem stałego miejsca zamieszkania i udokumentowanego źródła odpowiednich dochodów. Nie ulega bowiem wątpliwości, że wzmożone kontakty międzyludzkie nie są tylko ubogaceniem kontaktów kulturalnych, naukowych i gospodarczych, ale świadcząby też o wzajemnym szacunku. Jednym ze sposobów znaczącego wsparcia tej wymiany i podkreślenia równego traktowania byłoby wprowadzenie ruchu bezwizowego.

Sposób na zbliżenie

Według Jeana Monneta (1888–1979), który uchodzi za jednego z „ojców” zjednoczonej Europy, cała tajemnica utworzenia pierwszej instytucji europejskiej, mianowicie Wspólnoty Węgla i Stali, polegała na kwestii następującej: abstrahując od obciążeń historycznych, należało ustalić, jakie są wspólne interesy państw, by nadać im formę instytucjonalną i trwałą. Dalszy rozwój w następstwie tego kroku sam z siebie by się ułożył, byle by tylko proces integracji ruszył. Podobnie można by się obecnie odnieść do wstrzymania dialogu między UE a Rosją. Chodzi przede wszystkim o to, by ustalić wspólne interesy i potwierdzić je na mocy układów, jeżeli tylko zaistnieją odpowiednie ku temu warunki. Proces zbliżenia między Unią Europejską a Rosją następnie by się ukształtował siłą faktów dokonanych z korzyścią dla obu stron w taki sposób, że już nie dałoby się go zatrzymać. Z biegiem czasu stanie się sam dla siebie „siłą napędową”. Potrzebny jest tylko właściwy bodziec i oczywiście odpowiedni klimat polityczny.

Trudno jest zaprzeczyć, że ten warunek bliższej współpracy między UE a Rosją w tej chwili nie istnieje, bowiem brak jest właśnie odpowiedniej zgodności w sferze politycznej. Wobec tego należy przynajmniej zastanowić się nad tym, jak by tu przewyciężyć aktualny stan konfrontacji i nieporozumień oraz określić jego przyczyny, aby mogło dojść do współpracy w duchu wzajemnego zaufania, gdyż ta współpraca moim zdaniem leży w obustronnym interesie.

Konkurenci?

Jako punkt wyjściowy należy przyjąć istnienie dziedzin wspólnych interesów po obu stronach, z którymi – jak zakładam – będziemy mieli do czynienia teraz i w przyszłości. Ogólnie biorąc, tymi dziedzinami są gospodarka i kultura.

Nie ulega wątpliwości, że państwa UE i Rosja w dziedzinie gospodarczej świetnie się uzupełniają. Jedni posiadają ekskluzywne produkty przemysłowe w nadmiarze, a drudzy ich nie mają. Z drugiej strony, tamci posiadają niewymierzalne zasoby energetyczne, czego znów tym pierwszym w wysokim stopniu brakuje. Wobec tego aż się prosi, by wspólnie, poprzez współpracę, postawić gospodarkę na nogi u jednych, dostosowując ją do modernizacji i konkurencyjności, a drugą wyposażyć w zagwarantowane rynki zbytu. Tym sposobem można i jednej i drugiej stronie pomóc. Czego nam jeszcze potrzeba?

Nie mniej atrakcyjna jest sfera kultury. Nie jestem pewien, co rosyjscy intelektualiści myślą na temat zachodnioeuropejskich kultur, czy je lekceważą albo wręcz

odrzucają i nie chcą z nimi mieć nic do czynienia. Z przekonaniem śmiej jednak twierdzić, że rosyjska kultura cieszy się w Europie Zachodniej wielkim uznaniem, biorąc pod uwagę choćby muzykę, literaturę albo też osiągnięcia naukowe Rosjan. U nas chyba nie ma ludzi wykształconych, którzy by tych walorów nie doceniali i nie byli dumni z faktu, że osiągnięcia te jak najbardziej należą do Europy.

Są to dobre przesłanki do ściślejszej współpracy, Europa Zachodnia nie ma podobnej z żadnym innym kontynentem, abstrahując może od stosunkowo młodych relacji ze Stanami Zjednoczonymi. Byłoby sprawą bardzo zadziwiającą, gdyby takie relacje prędzej czy później nie przyniosły pozytywnych skutków. To, co w tej chwili odbieramy jako przeszkodę dla tych wyjątkowych możliwości, to są mankamenty polityczne, tudzież eskalacje zmierzające do destabilizacji lub nawet zagarnięcia Ukrainy, które swoje głębsze źródła mają w tym, co za Hannedem Adomeitem możemy nazwać „systemem Putina”.

Proces, który w mojej opinii w stosunkach między UE a nową Rosją rozpoczął się po 1991 r. – abstrahując od krótkiej ery Gorbaczowa pod koniec istnienia ZSRR – był całkiem obiecujący. Zarówno Borys Jelcyn jak i Władimir Putin przez jakiś czas wcale nie odrzucali możliwości członkostwa Rosji w ówczesnej Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej (EWG)⁵³. Za tym przemawia też to, co Putin powiedział w swoim wystąpieniu na forum Bundestagu 25 września 2001 r.:

Jestem przekonany, że otwieramy dzisiaj nowy rozdział w historii naszych stosunków dwustronnych i tym samym wnosimy wspólny wkład w dzieło budowy europejskiego domu⁵⁴.

Jakże obiecujące były to słowa! Szkoda, że nie poprzestał na nich, lecz wdał się w nowe awantury.

Jeszcze w 2007 r. Putin w trakcie swojego wystąpienia w Monachium obiecywał ludziom, którzy na taką wypowiedź czekali, bliższą współpracę Rosji z UE. Powiedział wówczas:

Kamienie i bloki betonowe muru berlińskiego już dawno stały się suvenirami. Nie wolno nam jednak zapomnieć, że upadek muru stał się możliwy dzięki historycznemu wyborowi naszego narodu, narodu rosyjskiego, na rzecz demokracji i wolności, na rzecz otwartości i partnerstwa razem ze wszystkimi członkami wielkiej europejskiej rodziny⁵⁵.

Od tamtego czasu niestety coraz bardziej odwracał się do UE plecami. W przeciwieństwie do Michaiła Gorbaczowa nie można było nawet pomyśleć o jakiejś

⁵³ Por. Hans Martin Sieg, rozdział „Die Entwicklung der Beziehungen bis zur ersten Präsidentschaft Putins, (w:) Hans Martin Sieg, op. cit, s. 150–156.

⁵⁴ Por. http://www.bundestag.de/kulturgeschichte/gastredner/putin/putin_wort, dostęp 04.02.2014.

⁵⁵ Por. przemówienie Putina z 14.02.2007 w Monachium, (w:) www.ag-Friedensforschung.de/themen/Sicherheitskonferenz/2007-putin, dostęp 07.02.2014.

wspólności. A jeżeli Putin obecnie w kontekście swojej wizji „Unii Euroazjatyckiej” mówi, że w ramach „wielkiej Europy”, sięgającej od Lizbony po Władywostok⁵⁶, znajdzie się miejsce dla wszystkich, to dla takiego przedziwnego wyobrażenia chyba nie znajdzie w Europie zwolenników, a wręcz przeciwnie, wskrzesi znany przed nim strach.

W przeciwieństwie do Leonida Breżniewa (1907–1982), który nie panował już nad sytuacją w ZSRR, lub do Michaiła Gorbaczowa (ur. w 1931 r.), któremu reformy się nie udały, jak i w porównaniu do Borysa Jelcyna (1931–2007), którego można określić mianem pierwszorzędnego rosyjskiego nacjonalisty, który nie poradził sobie z rozpadającym się Związkiem Radzieckim, w osobie Władimira Putina (ur. w 1952 r.) mamy – w mojej ocenie – do czynienia ze stosunkowo sprytnym i utalentowanym postradzieckim nacjonalistą, który za pomocą innych środków i w skromniejszym zakresie niż jego poprzednicy dąży do realizacji dawnych celów i uzyskuje aprobatę rosyjskiego społeczeństwa.

Dopiero w ostatnim czasie również i ja zrozumiałem, jaki cel przyświeca Putinowi. O ile na początku wyglądało na to, że chodzi mu przede wszystkim o stabilność i umocnienie pozycji Rosji, co dla wielu było sprawą zrozumiałą i oczywistą, to teraz okazuje się, że pragnie więcej niż deklarowanej unii celnej Rosji z Białorusią, Kazachstanem, Kirgistanem i Tadżykistanem, a w końcu także z Ukrainą, choć głośno się o tym nie mówi. Całkiem serio zmierza do utworzenia wspomnianej Unii Celnej, z której rychło ma powstać unia gospodarcza i oczywiście, co za tym idzie, unia polityczna pod nazwą „Unia Euroazjatycka”⁵⁷. Nie przyświeca mu nic innego, jak założenie rosyjsko-azjatyckiej kontr-unii jako przeciwwagi dla zachodniej Unii Europejskiej. „Unia Euroazjatycka”, o której w EU-Russian Centre w Brukseli mówi się, że jest „ulubionym dzieckiem” Putina, a on sam nazwał ją swoim *brainchild*, ma według niego bazować „na najlepszych wartościach Związku Radzieckiego”⁵⁸.

Jak widać, Unia Europejska zrobiła na Putinie tak duże wrażenie, iż chciałby naśladować ją swoimi metodami. Dlatego mówię o konkurencji pomiędzy UE a jego „Unią Euroazjatycką”. Do tego wniosku doszedł już w listopadzie 2011 r. Uwe Halbach w rozprawie pt. „Euroazjatycka Unia Władimira Putina”, gdzie jeszcze całkiem powściągliwie napisał: „Dotychczasowe reakcje Rosji na inicjatywę UE o partnerstwie z Europą Wschodnią i południowym Kaukazem bazują raczej na myśleniu konkurencyjnym niż kooperacyjnym”⁵⁹. Myślę, że to właśnie się ostatnio potwierdziło.

Do tego projektu Putina mamy – według mnie – w Europie Zachodniej dwa poważne komentarze. Z jednej strony Christian Wipperfürth pisze: Niech sobie robi.

⁵⁶ Uwe Halbach, *Wladimir Putins Eurasische Union: Ein neues Integrationsprojekt für den GUS-Raum?*, (w:) „Stiftung Wissenschaft und Politik”, SWP-Aktuell 51, listopad 2011, s. 4.

⁵⁷ Por. Hannes Adomeit, rozdział „Russische Integrationsprojekte”, (w:) Hannes Adomeit, tamże, s. 136–151.

⁵⁸ Por. oświadczenie EU-Russian Centre z 23.10.2013, (w:) info@eu-russiancentre.org, dostęp 23.10.2013. Tam powiedziano, powołując się na Putina: „The Eurasia Union should be «build on the best values of the Soviet Union»”.

⁵⁹ Por. Uwe Halbach, tamże, s. 4.

Przecież i tak czyni tylko to, czego UE nie jest w stanie. Na swój sposób wspiera państwa obawiające się o własne istnienie i zapobiega przy tym dryfowaniu tychże państw w kierunku chińskiej strefy wpływów. A za to go należy chwalić, a nie krytykować. Wipperfürth mówi jasno:

Generalnie należy z zadowoleniem powitać dążenie Rosji do przejęcia odpowiedzialności na obszarze poradzieckim. Przede wszystkim kraje Azji Środkowej potrzebują stabilizującej kotwicy, bowiem spowodowane w Afganistanie ryzyko bezpieczeństwa w najbliższych latach coraz bardziej ogarną Azję Środkową, z czego Moskwa oczywiście zdaje sobie sprawę. Kraje te przecież nie są w stanie dać sobie rady z tymi zagrożeniami⁶⁰.

Z drugiej strony Hannes Adomeit twierdzi, że:

Rosja [...] w sferze stosunków Unii Europejskiej z krajami partnerstwa wschodniego jest tylko czynnikiem przeszkadzającym”, bo „Rosja uznaje ten region za swoją strefę wpływów i dlatego zarówno polityka wewnętrzna jak i zagraniczna ma się opierać na «systemie Putina», który sprzeciwia się wartościom leżącym u podstaw porozumień między UE a Rosją⁶¹.

Pozostawiam bez komentarza te stanowiska wobec „systemu Putina”, które niekoniecznie dotyczą tej samej kwestii, ale także ze sobą nie polemizują, chociaż są reakcjami typowymi. Chciałbym natomiast odnieść się do spraw związanych z rosyjską „Unią Europejską”, jeżeli w ogóle kiedykolwiek powstanie, to znaczy do kwestii korzyści, jakie ta unia byłaby w stanie przynieść Rosji. To, czego Putin od niej oczekuje, jest chyba oczywiste. Ma nadzieję, że Rosja wyjdzie z obecnej izolacji w ten sposób, że będąc otoczona łańcuchem tak samo myślących i podobnie rządzonych państw, poprawi swój wizerunek na świecie i stanie się ponownie światowym mocarstwem. Tego rodzaju podejście, patrząc z pozycji starorosyjskich i późnoradzieckich, jest zrozumiałe, a nawet – przyznać trzeba – dość minimalistyczne. Pojawia się tylko kwestia, czy będzie to dla Rosji korzystne. Można co do tego mieć sporo wątpliwości.

Po pierwsze – wszystkie państwa mogące wejść do takiej rosyjskiej „Unii” znajdują się gospodarczo na o wiele niższym poziomie niż sama Rosja, co jej samej nie przyniesie finansowych korzyści, a raczej to ona im będzie musiała pomagać. Staną się więc dla Rosji dodatkowym obciążeniem, a nie tryskającym źródłem dobrobytu. Po drugie – Rosja ze względu na swój zasięg terytorialny – chcąc nie chcąc – będzie zawsze w pozycji dominującej. A to z pewnością nie będzie się podobać innym państwom. Z początku może się z tym pogodzą, ale później może dojść raczej do niezadowolenia niż do posłuszeństwa. W końcu jest chimerą oczekiwać, że przez „Unię Euroazjatycką” Rosja stanie się światowym mocarstwem. W ten

⁶⁰ Christian Wipperfürth, *Eurasien: Option oder Illusion?*, (w:) Gernot Erler, Peter W. Schule (red.), tamże, s. 25.

⁶¹ Hannes Adomeit, tamże, s. 121.

sposób nie da się tego osiągnąć. Wystarczy spojrzeć na inne wielkie mocarstwa, na ich zasoby i potęgę, choćby na USA, Chiny, a nawet UE. Taka „Unia Eurozjatycka”, nawet jeżeli będzie powiększona o Rosję, nie wytrzyma konkurencji z nimi. Na dobrą sprawę taka Rosja w najlepszym razie pozostanie państwem średnim, które samo nie powinno integrować innych, ale powinno poszukiwać jakiejś grupy państw i odpowiednich partnerów.

Mimo wszystko kooperacja?

Tym, co mogłaby uczynić Rosja, która w dzisiejszym stanie i przy obecnym przywództwie nie zostałaby przyjęta do żadnej unii typu Unia Europejska, zamiast marzyć o światowej pozycji, jest oparcie się na własnych siłach i wykorzystanie ich do modernizacji i usprawniania infrastruktury, by dotrzymać kroku innym mocarstwom. Do nich jednak Rosja będzie mogła dołączyć tylko pod warunkiem, że skoncentruje się na sprawach wewnętrznych i otrzyma wsparcie z zewnątrz. Bez tego nie ma mowy o dorównaniu Zachodowi.

Rosja musi się zmodernizować i ucywilizować, ale temu procesowi stoi na przeszkodzie obecne rosyjskie przywództwo, które działa na szkodę swego państwa. „System Putina”, tak samo jak niegdyś „system radziecki”, jest główną przeszkodą na drodze do leżącej we wspólnym interesie kooperacji z UE. Putin jest najwyraźniej głuchy na odnośne argumenty, odporny na starania o porozumienie. Prawdopodobnie nie zejdzie z obranej przez siebie drogi, dopóki naród rosyjski nie przekona się o niepowodzeniu jego utopii. Dojdzie wówczas do buntu i naród nie da się po raz kolejny uwieść, ale będzie w stanie wziąć sprawy w swoje ręce i nie być zdany na mrzonki swojej władzy. Władcy Rosji już niejednokrotnie wykorzystywali kraj do gier służących realizacji ich ideologicznych marzeń.

Jednak zanim w Rosji zmieni się władza a następnie jej kurs, może jeszcze upłynąć wiele czasu. Unia Europejska musi się uzbroić w cierpliwość, tego jej nikt nie zaoszczędzi. Myślenie życzeniowe nie będzie tu pomocne. Pojawia się tylko pytanie, czy UE ma wystarczająco dużo czasu, by czekać, nie szkodząc sobie samej? Dla Rosji każdy rok, o który opóźnia się jej reorientacja, opamiętanie się i ukierunkowanie na własne interesy, jest stracony. Można domniemywać, że Rosja, po chodzeniu dość zawiłymi drogami, obecnie nadrabia fazę narodowego odrodzenia, którą Francja przeszła w czasach Napoleona, a którą zainscenizował także Hitler w postaci „Wielkich Niemiec”. W obu przypadkach odbyło się to z wielkim hałasem i miało straszliwe następstwa. Należy ufać, że ta faza narodowego odrodzenia w Rosji, bo tak właśnie postrzegam erę Putina, minie bez większego rozlewu krwi i że naród rosyjski ucierpi mniej, niż to miało miejsce we wspomnianych przypadkach Francji i Niemiec. To, co Rosja ma do nadrobienia w postaci doświadczeń innych, jest ogromne, ale ma też przy tym niemało do stracenia.

Innymi słowy, Rosja nie potrzebuje konkurencji z innymi światowymi mocarstwami, gdyż to przerasta jej możliwości; potrzebuje natomiast ponownej „zmiany systemu”, by stać się partnerem kooperującym z UE i w końcu być sprawnym państwem. W pojedynkę sprostać temu wyzwaniu nie sposób, czego dowodem jest przypadek Niemiec. To też miał na myśli Christian Wipperfürth w swych

rozważania na temat perspektyw Rosji. Zastanawiając się nad tym, czy „Eurazja” jest dla Rosji opcją korzystną i wartą realizacji, konkluduje:

Rosja przez długi okres czasu uważała się za zbyt silną, by się zintegrować z Zachodem (...), a coraz bardziej umacniająca się pozycja Chin prawdopodobnie przyczyni się do przełamania tego konfrontatywnego stanowiska zarówno w Rosji jak i w świecie euroazjatyckim. W tej sytuacji w latach trzydziestych lub czterdziestych tego stulecia faktycznie może dojść do powstania „Unii Euroazjatyckiej” od Lizbony po Władywostok z ‘europejskim obliczem’⁶².

⁶² Tamże, s. 253.

VII. Unia Europejska a Europa Środkowo-Wschodnia

Pierwotnie miałem wprowadzić zamiar napisać coś na temat sytuacji w Europie Środkowo-Wschodniej bądź Europie Centralnej, jak się na tym obszarze mówi, to znaczy o tym, w jaki sposób sytuacja tam się zmieniła, odkąd szereg tych państw przystąpiło do Unii Europejskiej. Jest to temat ciekawy, który nie został jeszcze należycie opracowany, a sprawa jest warta zastanowienia się.

Zajmując się tym tematem, doszedłem jednak do wniosku, że jego opracowanie jest zadaniem nie do wykonania w ramach dość krótkiej publikacji jak niniejsza. Ze względu na złożoność i wielkie zróżnicowanie państw Europy Środkowo-Wschodniej, od Estonii, przez Łotwę po Mołdawię i Ukrainę, potrzeba bardziej wnikliwych rozważań, być może całego tomu rozpraw. W inny sposób nie można chyba sobie poradzić z tym ciekawym i pociągającym tematem. W związku z tym postanowiłem skupić się na jednym z krajów Europy Centralnej. Wybrałem Polskę, do której od dawna żywię sympatie, by nie powiedzieć wręcz miłość. Pomyślałem sobie, że na przykładzie Polski mógłbym wyjaśnić to, co odnosi się do pozostałych krajów o podobnym położeniu, bo leżą pomiędzy Unią Europejską na Zachodzie a Rosją na Wschodzie. Uważam, że to jest droga, po której powinienem się poruszać i na tym właśnie skupiłem swą uwagę.

Naszkirowałem zatem – jak mi się wydaje – dość obszernie uwagi do losów *Mitteleurop*y w kontekście jej historycznego usytuowania i politycznej roli. Następnie naświetliłem i wyliczyłem – mając na uwadze Polskę – wszystkie okoliczności, które uważam za „jasne strony” członkostwa w Unii Europejskiej. Berliński dziennik „Der Tagesspiegel”, który zwykle nie zajmuje się Polską, jakby jej nie było, 12 listopada 2012 r. zamieścił korespondencję swojego warszawskiego wysłannika, Paula Flückigera, który napisał, że w dzień wcześniej doszło do „przemarszu prawicowych bojówek” pod hasłem: „odzyskać Polskę”. Podobno w tym marszu brało udział ok. 100 000 osób krzyczących „Precz z Unią Europejską”⁶³. Skłoniło mnie to do zajęcia się także negatywnymi aspektami członkostwa w UE i zgodnie z oczekiwaniami znalazłem odnośne wyjaśnienia.

To, co napisałem w podsumowaniu, utwierdza mnie w przekonaniu, że mimo wszystko członkostwo w Unii Europejskiej należy oceniać pozytywnie, szczególnie w perspektywie państw dawniej należących do sfery wpływów Związku Radzieckiego. Nadal jestem przekonany o tym, że UE zarówno dla Polski jak i dla pozostałych państw Europy Środkowo-Wschodniej jest wyjątkowo szczęśliwym przypadkiem. Nie ukrywam jednak, że pojawiają się w niej także strony ujemne i dlatego należy je traktować poważnie, niezależnie od tego, co jest ich przyczyną.

Ufam, że doświadczenia negatywne, które w różny sposób muszą stać się udziałem narodów Europy Środkowo-Wschodniej w kontaktach z UE, nie spowodują odwrócenia się od niej, przez co ponownie zdane by były na siebie i znalazłyby się na straconej pozycji między mocarstwami, tak jak to bywało ku ich utrapieniu na przestrzeni dziejów. Jestem głęboko przekonany, że Polska swoje traumatyczne doświadczenia z przeszłości przezwycięży tylko wtedy, gdy zrozumie szanse, jakie jej oferuje UE i z nich skorzysta.

⁶³ „Der Tagesspiegel” z 12.11.2012, nr. 21 511, s. 5.

Losy Europy Środkowo-Wschodniej

Co najmniej od dwustu lat, odkąd istnieją ruchy narodowo-wyzwoleńcze w Europie, mamy do czynienia z losami narodów Europy Środkowo-Wschodniej jako częściami imperiów lub ich satelitami, to znaczy były one od nich zależne. Nigdy nie cechowała ich jedność, przeważnie były rozbite. W trudnych chwilach marzyła im się „Europa Centralna”, jako zdolna do działania polityczna wspólnota, jednak do jej powstania nigdy nie doszło. Niezależnie od tego, co mogło być tego przyczyną, widocznie chodziło o to, że brak było po prostu warunków do powstania politycznej jedności, abstrahując może od epizodu Austro-Węgier, kiedy to taka wspólnota w formie „Europy Środkowej” istniała przynajmniej w załączku przez krótki okres czasu. Z chwilą rozpadu państwa austro-węgierskiego w roku 1918/19 także i ten epizod przeszedł do historii i już nie dało się go wskrzesić.

Dla Europy Centralnej absolutną nowością było utworzenie Unii Europejskiej z jej wcześniejszymi formami organizacyjnymi powstałymi od 1952 r. Podczas gdy mocarstwa takie jak Niemcy i Rosja zachowywały się wobec państw Europy Środkowo-Wschodniej natarczywie, a bardziej odległe jak Francja i Wielka Brytania je kokietowały, to te dwa pierwsze groźne mocarstwa, czyli Niemcy i Rosja, nagle odpadły. Niemcy stały się częścią UE i zostały „wzięte na smycz”, a Rosja została ograniczona do swoich korzeni z czasów cara Piotra Wielkiego (1672–1725), to znaczy okrojona do rozmiarów sprzed trzystu lat, przy czym straciła prawie wszystkie swoje imperialne zdobycze. Ale nawet w tej sytuacji nie było żadnej szansy ugruntowania się „Europy Środkowej” jako odrębnej politycznej jedności. Poszczególne państwa poszukiwały w miarę swych możliwości ochrony i znalazły ją w UE, bo ta obiecywała im to, czego gdzie indziej nikt im nie oferował: bezpieczeństwo, dobrobyt, a przede wszystkim zachowanie prawa do samostanowienia.

Tym samym losy Europy Środkowo-Wschodniej zostały chyba przypieczętowane na dobre i na złe. Decyzje zapadły. Przeważająca większość państw skorzystała z oferty UE, by w jej ramach zachować niezależność, a tym samym mieć szanse rozwoju. Równocześnie zobowiązały się do przestrzegania określonych reguł, w tym demokratycznego systemu rządzenia na gruncie państwa prawnego, społecznej gospodarki rynkowej i ochrony mniejszości. Te państwa, które do UE jeszcze nie należą, bo nie spełniają do tej pory wymaganych warunków, przygotowują się bardziej lub mniej intensywnie do przystąpienia do Unii. Są one zatem związane z Unią na dobre i na złe i są zainteresowane tym, by prosperowała, a nie upadła i obumarła, o ile jest to zależne od niej samej. Krótko mówiąc, jeżeli Unii Europejskiej się dobrze powodzi, wtedy i jej członkom z Europy Środkowo-Wschodniej dobrze się wiedzie. Ich istnienie jest zabezpieczone, a w organach unijnych uzyskały prawo do wyrażania opinii, co w przypadku spraw dotyczących konstytucji, to znaczy pogłębiania i rozszerzania Unii, można uznać za równoznaczne z prawem weta.

Jasne strony członkostwa w Unii Europejskiej

Według mnie trudno zaprzeczyć, iż mamy do czynienia z trzema rodzajami korzyści, jakie UE jest w stanie zaoferować swoim państwom członkowskim, zarówno większym jak i mniejszym. Po pierwsze, należy wymienić gwarancję ich politycznego bezpieczeństwa. Nie muszą się martwić o swoje istnienie w przyszłości. Po drugie, należą do wielkiego obszaru gospodarczego, na którym osiągną materialny dobrobyt. Po trzecie, wreszcie mają gwarancję narodowego samostanowienia. Mogą zatem samodzielnie zabezpieczać swoje narodowe interesy, posługiwać się swoimi językami, cieszyć się bez przeszkód swoją kulturą, a przy tym znajdują się pod wspólnym bezpiecznym dachem UE, która spełnia ich oczekiwania. Chciałbym to szerzej rozwinąć w dalszych rozważaniach.

Gwarancja politycznego istnienia

W pierwszym stuleciu ruchów narodowościowych, to znaczy w XIX wieku, Polska doznała ciężkiego losu wymazania kraju z politycznej mapy Europy. Wielkie państwo polsko-litewskie zostało podzielone przez ówczesne mocarstwa: Rosję, Prusy-Niemcy i Austrię. Szczęściem był fakt, że te trzy mocarstwa pod koniec I wojny światowej należały do państw przegranych, w następstwie czego Polska w 1918 r. odrodziła się i z pomocą zwycięskich państw zachodnich ponownie powstała jako państwo narodowe, ale w jego granicach jedna trzecia społeczeństwa nie była Polakami. Niestety 21 lat później, w 1939 r., Polska za sprawą ponownie silnych Niemiec i Rosji znów padła ofiarą rozbiorów i straciła niepodległość. Po roku 1945 Polska odrodziła się jako satelita Związku Radzieckiego, a to za zgodą mocarstw zachodnich, przy czym Polska została terytorialnie wynagrodzona kosztem Niemiec. Dopiero po wydarzeniach z 1991 r. w Związku Radzieckim Polska szczęśliwym trafem stała się znów państwem suwerennym. Podsumowując te moje rozważania, mogę stwierdzić, iż naród polski w przeciągu swojej historii w sposób bolesny doświadczył, że jak się jest zdany tylko na siebie, stoi się na pozycji przegranej i jest się obiektem przetargowym obcych mocarstw. Obecnie Polska z tej roli wreszcie została wyzwolona.

Polacy w 2003 r. zdecydowali się wejść do UE; w głosowaniu wypowiedziało się 68% za przystąpieniem, 10% było przeciw, a 22% się wstrzymało od głosu⁶⁴. Wraz z wstąpieniem do Unii w 2004 r. zniknęły w Polsce obawy przed znalezieniem się ponownie w sytuacji bez wyjścia. Ta decyzja była między innymi powodem – o innych przyczynach będzie jeszcze mowa – dla którego Polska poszukiwała i znalazła schronienie pod dachem UE. Jednak akcesja do UE nie do końca usunęła traumatyczne obawy Polaków przed ponownym dostaniem się pod panowanie obcych mocarstw, których rolę tym razem odgrywa Unia Europejska.

Stając się członkiem UE, Polska otrzymała gwarancję swego istnienia, jakiej w takim zakresie nigdy wcześniej nie miała. Polska nie jest już zdana wyłącznie na siebie, lecz zyskała sprzymierzeńców w postaci 27 państw członkowskich, które

⁶⁴ Chronologie – *Polens Weg in die Europäische Union*, por. www.polish-online.com/polen/wirtschaft/eu-beitritt-chronologie.php, dostęp 26.11.2012.

znajdują się u jej boku na wypadek zagrożenia, niezależnie od tego, z której strony by ono się pojawiło, czy to od wewnątrz, czy od zewnątrz; będą one jej bronić wszystkimi dostępnymi środkami. Sprzymierzeńcy w każdym razie są do tego zobowiązani. Polska może się czuć bezpieczna, jak u „Pana Boga za piecem”! W tej sytuacji kraj ten może się nareszcie zająć sobą i nie musi służyć innym za mięso armatnie lub tania siła robocza.

To, co obowiązuje wszystkich członków UE, czyli dopasowanie własnej polityki wewnętrznej do jednobrzmiących i obowiązujących przepisów europejskich, gdzie liczy się współdziałanie w polityce zagranicznej, dotyczy także Polski. Wraz z innymi państwami członkowskimi UE Polska znajduje się na równi z takimi krajami jak np. „dumna” Hiszpania, „arogancka” Francja czy „niechętny płatnik” Niemcy – jak popularnie określa się te państwa. Czego można jeszcze chcieć? Dopóki Unia będzie prosperować, dopóty będzie się dobrze wieść także Polsce! Dlatego Polsce powinno zależeć na tym, by Unia pozostała funkcjonalna i zdolna do działania. To leży w interesie Polski i powinno być jej „racją istnienia”.

Unia Europejska gwarancją dobrobytu

Kolejnym powodem do dobrowolnego przystąpienia do UE były wynikające z tego korzyści ekonomiczne. Któż zechciałby zaprzeczyć, że oczekiwane profity gospodarcze odegrały przy decyzji Polski decydującą rolę? Musiało przecież chodzić o to, by dołączyć do podwyższonego standardu życia w stosunku do innych krajów i nadrobić to, co się Polsce wcześniej nie udało. Przynależność do wielkiej przestrzeni gospodarczej, która liczy sobie ok. pięćset milionów producentów i konsumentów, przez co zwiększają się również szanse wzrostu własnej produkcji, nie jest bez znaczenia. Chodzi przecież też o przyciąganie zagranicznych inwestorów oraz o korzystanie z szeregu unijnych źródeł finansowych. Wszystko razem wzięte, jak i sporo innych okoliczności stało się bodźcem do przystąpienia Polski do UE – tak ja to widzę.

Patrząc na wyniki, chyba się to dotychczas opłaciło. Polska w ciągu minionych trzynastu lat, podobnie jak to wcześniej uczyniły inne kraje, dokonała wielkiego gospodarczego skoku naprzód. O tym może się w Polsce każdy przekonać na własne oczy. Ale i dane ekonomiczne potwierdzają to, że polska gospodarka przeżyła wielki „boom”, a polskie finanse wyglądają stosunkowo dobrze. Jednak bezrobocie w 2013 r. utrzymywało się na poziomie 9,8%, podczas gdy w Niemczech wynosiło 6,0%, a we Francji 9,3%, tym samym było ono mniejsze niż w większości innych krajach UE. Poziom inflacji w tym samym czasie oscylował w Polsce w granicach 4,2%, co było tylko nieznacznie więcej niż we Francji lub w Niemczech, gdzie w obydwu przypadkach mieliśmy do czynienia z inflacją rzędu 2,0%, a w pozostałych krajach wynosiła ona przeciętnie 2,6%. Co się tyczy wzrostu gospodarczego PKB, to w 2013 r. Polska osiągnęła wzrost na poziomie 2,0% i tym samym wyprzedziła nawet Niemcy i Francję, które to kraje osiągnęły 0,9%, względnie 0,0%⁶⁵.

⁶⁵ *Statistisches Jahrbuch – Deutschland und Internationales*, Wiesbaden 2013, s. 650, 655 i 626.

Ciekawą kwestią może też być sprawa zadłużenia państwa. Zadłużenie Polski w 2013 r. wynosiło 55,4% produktu krajowego brutto i tym samym znalazło się nie tylko znacznie poniżej zadłużenia w krajach mocno zadłużonych, jak Grecja – 156,9% i Włochy – 127,0%, ale nawet poniżej zadłużenia tak zwanych „krajów wzorcowych”, jak Niemcy, gdzie zadłużenie PKB wynosiło 81,9%, a we Francji wyniosło 90,2%⁶⁶. Co się tyczy wpłat do bądź wypłat z budżetu UE, to w 2011 r. Niemcy wpłaciły do unijnego budżetu 8,107 miliardów euro, Francja 4,739, a Włochy 4,079 miliardów jako główni płatnicy netto, natomiast kraje przyjmujące wypłaty, to Polska, która otrzymała 6,489 miliardów euro, przed Grecją z 3,252 miliardami oraz Węgrami z 2,772 miliardami euro⁶⁷. Porównując przytoczone dane gospodarcze, Polska osiągnęła stosunkowo dobry wynik, a może nawet znalazła się w czołówce, oczywiście nie pod względem dochodów na mieszkańca, jak i majątku przypadającego na głowę każdego mieszkańca.

Jest rzeczą niezaprzeczną, że gospodarka Polski dobrze się rozwinęła, a pod względem modernizacyjnym dokonała ogromnego kroku naprzód. Polska znajduje się na dobrej drodze i aktualnie należy do państw Europy Środkowo-Wschodniej osiągających najlepsze wyniki. Kraj zawdzięcza to nie tylko swojej na nowo odrodzającej się chęci narodu polskiego do przedsiębiorczości oraz twardej, choć może nie bardzo popularnej dyscyplinie w zakresie wydatków swojego rządu, ale i przynależności do Unii Europejskiej. Unia jest równocześnie bodźcem, jak i siłą napędową. Gospodarka polska, jak i gospodarka Unii Europejskiej z tego skorzystały. Cóż można lepszego powiedzieć? Według opinii węgierskiego eksperta do spraw unijnych, prof. László Kiss, Polska jest krajem „najbardziej profitującym z wejścia do Unii Europejskiej” wśród krajów Europy Środkowo-Wschodniej⁶⁸.

UE gwarancją narodowej samodzielności

Jeżeli chodzi o rzekomą skłonność Polaków do „prania własnych brudów”, przede wszystkim w partiach politycznych, czyli do niepozostawiania „suchej nitki” na rodakach należących do innych partii, to z racji członkostwa Polski w UE nikt im w uprawianiu tego „ulubionego sportu” nie będzie przeszkadzał. Należy im jednak doradzić, by nie prali brudów innych Europejczyków, jeżeli Polakom zależy na pomocy tych innych i na przyjaźni z nimi. Krzykiem i narzekaniem niczego się w pojedynkę od Unii nie dostanie. Do wszystkiego potrzeba zespolonych działań, które tylko wtedy okażą się sukcesem, jeżeli ma się wystarczającą ilość sprzymierzeńców. Przykładem tego jest wyczerpująca i bardzo nieładna awantura o podwyższenie lub obniżenie budżetu unijnego na lata 2014–2020.

Nie tędy droga. Jeżeli Polska poszukuje ponadnarodowej instytucji, która ma bronić i gwarantować jej narodowej samodzielności, to jest nią Unia Europejska.

⁶⁶ Tamże, s. 642.

⁶⁷ Por. *Der Neue Fischer Weltalmanach*, 2012, Frankfurt a.M. 2012, s. 587 i 583.

⁶⁸ W swoim uzasadnieniu László Kiss zwraca uwagę, że Polsce w okresie od 2007 do 2013 ze strony Brukseli obiecano wypłacić z funduszu strukturalnego kwotę 67,3 miliardów Euro. Tym samym Polska otrzymała prawie dwa razy tyle co Hiszpania, która znajduje się na drugim miejscu. Tę informację otrzymałem osobiście od László Kiss.

W tych dążeniach Polska nie jest państwem odosobnionym, gdyż ma ona wśród państw członkowskich jak Hiszpania, Francja czy Wielka Brytania mocnych sprzymierzeńców, którzy są w stanie zapobiec wszelkim próbom zawężenia swobody działania danego narodu. Nie powinno być co do tego żadnych wątpliwości. Ważniejszą sprawą natomiast będzie w przyszłości potrzeba, by Polska należała do prekursorów mających siłę i odwagę do podejmowania decyzji dotyczących tych wszystkich kwestii europejskich, które wymagają wspólnych działań i rozwiązań. Chodzi przecież o to, by takie kwestie nie były odraczane *ad calendas graecas*, przez co reputacja UE doznałaby poważnego uszczerbku, a nawet zagrożona by była w swej egzystencji. Jeżeli gdziekolwiek, to zwłaszcza na tym polu można zrobić się zasług i uznania, na czym Polsce przecież zawsze zależało. Jedynie w tej dziedzinie, w dokończeniu nadal niezadowolająco rozwiązanej kwestii integracji europejskiej, a nie w rebelianckich postawach i pustych groźbach, można w przyszłości zdobyć uznanie wśród innych.

Bez przesady można chyba uznać, że Polska z uwagi na swoje doświadczenia historyczne posiada najlepsze predyspozycje do balansowania interesów narodowych i europejskich, by w ten sposób móc stać się mediatorem w tak trudnych kwestiach. Polska oczywiście jest bardzo wyczulona na punkcie własnych interesów. Dlatego ma podstawy domagać się od UE, by wspólny europejski „dach” był szczelny i nie zawalił się nawet podczas dużych wichur. Polska ponosi wielką odpowiedzialność za pomyślność UE i dlatego nie powinna tego lekceważyć, lecz podjąć wyzwanie. Leży to absolutnie w jej interesie.

Ciemna strona członkostwa w Unii Europejskiej

Trudność, jaka może się wyłonić w najbliższych latach we właściwej ocenie roli Polski w UE, wynika z faktu, że przeciwstawną pozycję wobec proeuropejskiego rządu polskiego ostatnich ośmiu lat zajmowała antyeuropejska opozycja w postaci prawicowej partii Prawo i Sprawiedliwość. Według sondaży z 2014 r. oba te nurty miały mniej więcej tyle samo zwolenników⁶⁹. W przeciwieństwie do tych sondaży inne źródła ukazują, że spora większość społeczeństwa polskiego wypowiada się jednak po stronie proeuropejskiej. Jak to wytłumaczyć i co z tego może wynikać?

Antyeuropejska postawa opozycji

W skład polskiego rządu do niedawna wchodziły w ramach koalicji partie Platforma Obywatelska (PO) i Polskie Stronnictwo Ludowe (PSL). Premierem był Donald Tusk, którego miejsce – po objęciu przez niego funkcji przewodniczącego Rady Europejskiej – zajęła Ewa Kopacz z PO. Najsilniejszą opozycją była partia Prawo i Sprawiedliwość (PiS) pod przewodnictwem Jarosława Kaczyńskiego. W październiku 2012 r. różnica między PO a PiS wynosiła zaledwie 4%. PO miała 28%

⁶⁹ Por. Janusz Majcherek, *Die innere Entwicklung der Bürgerplattform (PO)*, (w:) „Polen-Analysen” nr 138, z 04.02.2014, Deutsches Polen- Institut, Darmstadt 2014, s. 2 n. i 7.

poparcia, a PiS 24%⁷⁰. Obie partie należą do partii powstałych w okresie postkomunizmu i postsolidarnościowym; mają te same korzenie, ale są wrogo nastawione wobec siebie – przede wszystkim z powodów taktycznych. PiS szczyci się tym, że pełni rolę partii „Polski patriotycznej”, a PO mówi o sobie, że reprezentuje „Polskę cywilizowaną”⁷¹.

Z biegiem czasu wykrystalizowały się dwa odrębne bloki w podejściu do spraw integracji europejskiej, w związku z czym różnią się fundamentalnie w swoich postawach wobec samej Unii jak i waluty euro. PiS zarzucało rządowi premiera Donalda Tuska popełnienie trzech grzechów głównych: że powoduje rozłam w społeczeństwie, że wyprzedaje własność państwową i że wystawia też na sprzedaż suwerenność Polski⁷². To są w takim kraju jak Polska poważne zarzuty, które mają w niektórych warstwach społeczeństwa niemało zwolenników. W osobie Jarosława Kaczyńskiego, brata zmarłego w wyniku katastrofy lotniczej pod Smoleńskiem prezydenta Lecha Kaczyńskiego, partia ta ma sprytnego lidera, który umie wykorzystywać postawy antyniemieckie i antyrosyjskie w sporej części opinii publicznej. PiS dysponuje ponadto zwartą kadrą oraz mocną bazą partyjną. To wszystko czyni tę partię poważną siłą polityczną, jakiej nie należy lekceważyć.

Również premier Kopacz niezmiennie opowiadała się za linią proeuropejską. Kontynuowała ona politykę Donalda Tuska, któremu wcześniej zarzucano „brak patriotyzmu”. Jego wystąpienie 14 grudnia 2011 r. na forum Parlamentu Europejskiego w Brukseli z okazji zakończenia półrocznej polskiej prezydencji w Radzie Europejskiej charakteryzowało się m.in. tym, że wstrzymał się całkowicie od patriotycznych aluzji, mimo że sam jest patriotą. Argumentował przy tej okazji w sposób następujący:

My wszyscy, którzy jesteśmy zwolennikami naprawdę zintegrowanej wspólnotowej Europy, musimy dzisiaj powiedzieć sobie bardzo wyraźnie, że potrzebujemy więcej determinacji na rzecz ochrony fundamentów europejskich, a nie nieustannej dyskusji nad ich rewizją [...]. Jesteśmy za wspólną odpowiedzialnością, przeciwko egoistycznej nieodpowiedzialności [...]. Europa potrzebuje prawdziwego przywództwa politycznego, bo Europa zasługuje na szybkie decyzje, nie tylko na czas kryzysu, ale także na przyszłość [...]. Kryzys był wielkim testem na efektywność wspólnoty. Musimy przeprowadzić poważną rozmowę na temat większej politycznej efektywności Europy [...]. Przywództwo nie może być przywództwem jednego, dwóch czy trzech nawet najsilniejszych państw. Nie może być także przywództwem technokratów, bo nie mają oni demokratycznego mandatu. To przywództwo musi mieć charakter polityczny, musi mieć mandat demokratyczny, musi być akceptowane przez wszystkich⁷³.

⁷⁰ Jarosław Flis, *Recht und Gerechtigkeit (PiS) – Unkoordinierter Flügelschlag*, (w:) „Polen-Analysen” nr 117 z 20.11.2012, Deutsches Polen-Institut, Darmstadt 2012, s. 7.

⁷¹ Tamże, s. 5.

⁷² Tamże, s. 4.

⁷³ Por. Wystąpienie premiera Donalda Tuska na forum Parlamentu Europejskiego, (w:) *Polen-Analysen*, Deutsches Polen-Institut, Darmstadt, nr 101 z 17.01.2012, s. 8 n.

Jak mocno polski premier związał się osobiście z UE oraz z mottem przewodnim polskiej prezydencji, które brzmiało: „Więcej Europy w Europie”, pokazują jego słowa na koniec wystąpienia: „Albo dziś podejmiemy walkę o przyszłą Europę, albo jutro będziemy płakać po tej Europie”⁷⁴.

Jeżeli chodzi o politykę europejską rządów Tuska i Kopacz, to podzielałam w większości opinię o niej wyrażoną przez Kai-Uwego Langa. Odnosząc się do zainicjowanej przez ówczesny polski rząd oraz do uznanej przez ten rząd za własny wkład do zaniedbywanej przez UE polityki wschodniej zwanej „Partnerstwem Wschodnim”, Lang w swej ocenie polskiej prezydencji w UE w II połowie 2011 r. pisze:

W sumie sfera Partnerstwa Wschodniego charakteryzowała się raczej postawą konserwatywną, by nie powiedzieć podejściem defensywnym tej prezydencji, która poza małymi ruchami nie wykazała większych inicjatyw, lecz ograniczyła się do potwierdzenia tego, co jest, a w najlepszym wypadku tę myśl trochę rozwinęła. Polska była zachowawcza i asekurancka, nie chciała obniżać pułapu ambicji i zadbała o to, by priorytety oraz zasoby UE nie dryfowały zbyt daleko w kierunku południowym⁷⁵.

W podsumowaniu swej analizy polskiej polityki europejskiej w ostatnim czasie Kai-Uwe Lang pisze:

Konkludując można chyba stwierdzić, że polska prezydencja pełniła przede wszystkim rolę usługową i asystowała polityce europejskiej, podkreślając integrację całościową oraz zespolenie Unii. «Zespałać i wspierać» – to była chyba myśl przewodnia polskiego przewodnictwa. Tym, co z tych dwóch czynników polskiej prezydencji pozostanie, jest jednak w mniejszym stopniu fakt jej asystowania przy konkretnych tematach, ale jej zdecydowane poparcie dla idei «więcej Europy» i przeciw rozłamowi. Ze swojej prezydencji Polska wychodzi jako prekursor jedności i wspólnotowości⁷⁶.

Tego rodzaju słowa wypowiedziane ze strony niemieckiego analityka stanowią wyjątkową pochwałę polskiej polityki europejskiej, która wskutek zmiany rządu może stać się historią.

Jeżeli chodzi o polityczną przyszłość Polski, to Jarosław Flis doszedł do wniosku, że PiS bez Jarosława Kaczyńskiego nie przeżyje, a z nim razem też nie zwycięży, to znaczy nie stanie się partią rządzącą⁷⁷. Nie pomniejszając jego już nieaktualnej analizy, chciałbym jednak inaczej podejść do sprawy. Biorąc za punkt wyjścia „prawidła Erlera”, według których rządy w postkomunistycznej Polsce wprowadzie

⁷⁴ Tamże, s. 9.

⁷⁵ Por. Kai-Uwe Lang, *Zusammenhalten und unterstützen – Ein Rückblick auf die EU-Präsidentschaft in der zweiten Hälfte 2011*, (w:) *Polen-Analysen des Deutschen Polen-Instituts*, „Darmstadt” nr 101 z 17.01.2012, s. 4.

⁷⁶ Tamże, s. 6.

⁷⁷ Por. Jarosław Flis, tamże, s. 6.

nieustannie się zmieniały, a wszelkie reformy były przez społeczeństwo odrzucane, to jednak każdy z tych rządów popychał naprzód rozwój kraju, w tym wypadku przyszłość PiS-u nie wygląda wcale tak źle. Jeżeli te prawidła w niedalekiej przyszłości będą jeszcze aktualne, wtedy nie można będzie wykluczyć, że PiS z Kaczyńskim stanie się kiedyś partią proeuropejską, jeśli nie z rozsądku, to uwzględniając tęsknoty europejskie większości polskiego społeczeństwa.

Dlaczego to miałyby być niemożliwe? Skoro dawna komunistyczna PZPR pod przewodnictwem późniejszego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego poczyniła zwrot w kierunku „społecznej gospodarki rynkowej”, a zamiast kierować się ku Moskwie, stała się partią zorientowaną na Brukselę, nawet jeżeli społeczeństwo polskie wymknęło się jej z rąk, to przecież nie można wykluczyć, że PiS bez Jarosława Kaczyńskiego przeobrazi się z partii nacjonalistycznej w partię proeuropejską, zaś polscy obywatele oddadzą na nią swój głos. Jak już powiedziałem, to nie jest wykluczone, jeżeli „prawidła Erlera”⁷⁸ będą w Polsce jeszcze aktualne. Po drugie można się też spodziewać, że Polska wcale taka antyeuropejska nie będzie, jakby się mogło wydawać po górnołotnych sukcesach braci Kaczyńskich. Ta myśl prowadzi nas do zadania pytania: jak naprawdę zmienia się nastawienie Polaków do Unii Europejskiej i Europy?

Głęboko zakorzeniona tęsknota Polaków za Europą

Trzeba przyznać, iż nie jest łatwo odpowiedzieć na pytanie, jaki jest stosunek polskich obywateli do Europy, zwłaszcza gdy chodzi o ich emocjonalne nastawienie, które być może jednak wynika z rozsądku. Ale wiele na to wskazuje. Zdaję sobie sprawę, że badania opinii publicznej mogą być mylące. Skoro nie odzwierciedlają one jakiegos chwilowego uniesienia, lecz utrzymują się przez dłuższy okres, mają chyba swoje uzasadnienie. Przykładem tego mogą być wyniki badań przeprowadzonych od 1973 r. przez tzw. „Eurobarometr” na zlecenie Komisji Europejskiej w Brukseli. Co z nich wynika?

Przedstawię tutaj najpierw kolejno siedem wyników badań, do których dotarłem, korzystając z wydania on-line tegoż barometru z 2010 r. i które w przeciwieństwie do wcześniejszych i późniejszych publikacji zawierają bardzo szczególnie informacje. Odpowiednie polskie dane zestawilem z tymi, które dotyczyły Niemiec i Francji, a w dwóch przypadkach – Wielkiej Brytanii, gdyż dwa pierwsze kraje jako współzałożyciele, a trzeci, jako poprzednik Polski w późniejszym wstąpieniu do Unii zasługują na szczególną uwagę. Prezentowane tutaj dane są zasięgniętymi i przeanalizowanymi odpowiedziami obywateli różnych państw europejskich na następujące pytania:

1. Czy Pani/Pan czuje się obywatelem Unii Europejskiej?

⁷⁸ Gernot Erler, ur. w 1944 r. w Miśni, w latach 2005–2009 był ministrem stanu w Federalnym Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a od roku 2009 jest wiceprzewodniczącym frakcji SPD w Bundestagu i odpowiada za politykę zagraniczną, politykę rozwojową, prawa człowieka oraz politykę obronną. Swoje „prawidło” przedstawił 27 listopada 2012 r. na forum Fundacji Friedricha Eberta w czasie spotkania z przewodniczącym parlamentu Mołdawii, Marianem Lupu w przedstawicielstwie landu Bremy w Berlinie.

Odpowiedzi twierdzące zestawione są w procentach:

Polska (PL) = 72

Francja (FR) = 56

Niemcy (DE) = 72⁷⁹

2. Jak Pani/Pan określa swoją tożsamość? Jako narodową? Europejską? Brak odpowiedzi

Odpowiedź była na „tak”, „w zróżnicowanym stopniu” w procentach:

PL = 44:49:01

FR = 42:53:03

DE = 39:55:04⁸⁰

3. Czy członkostwo Pani/Pana kraju przyniosło Pani/Panu korzyści? Odpowiedzi na „tak” w procentach:

PL = 77

FR = 51

DE = 48⁸¹

4. Czy jest Pani/Pan za unię gospodarczo-walutową? Za – przeciw – nie wiem; odpowiedzi w procentach:

PL = 43:46:12

DE = 62:33:05

Zjednoczone Królestwo (UK) = 19:73:08⁸²

5. Czy jest Pani/Pan za europejską polityką obronną i zagraniczną? Za – przeciw – nie wiem; odpowiedzi w procentach:

PL = 67:30:03

DE = 73:25:02

UK = 38:58:04⁸³

6. Czy jest Pani/Pan za rozszerzeniem UE? Za – przeciw – nie wiem; odpowiedzi w procentach:

PL = 69:17:14

DE = 21:71:08

FR = 26:66:08⁸⁴

7. Jak Pani/Pan ocenia przyszłość UE? Optymistycznie – pesymistycznie – nie wiem; odpowiedzi w procentach:

PL = 72:19:09

FR = 48:47:05

DE = 53:43:04⁸⁵

⁷⁹ Por. Raport badania Standard-Eurobarometr z maja 2010, wydanie 73 tom 2, dostępny elektronicznie http://ec.europa.eu/commfrontoffice/publicopinion/archives/eb/eb73/eb73_vol2_de.pdf, s. 137, dostęp 28.11.2012.

⁸⁰ Por. Ibidem, s. 132.

⁸¹ Por. Ibidem, s. 164.

⁸² Por. Ibidem, s. 238.

⁸³ Por. Ibidem, s. 227.

⁸⁴ Por. Ibidem, s. 243.

⁸⁵ Por. Ibidem, s. 256.

Przytoczone tutaj dane dla wielu osób będą na pewno zaskoczeniem. Często nie odpowiadają wizerunkowi Polski, jaki posiadamy generalnie w Europie Zachodniej. Wynikają z tego szczególnie trzy konkluzje. Po pierwsze – społeczeństwa w Polsce, we Francji i w Niemczech generalnie są zbieżne odnośnie do samej UE, przy czym w Polsce odpowiedzi w procentach są w większości pozytywne i optymistyczne w porównaniu do Francji i Niemiec. Po drugie – nastawienie Polaków do kwestii europejskiej polityki obronnej i zagranicznej wyraźnie różni się od postaw Brytyjczyków. A po trzecie – także w kwestii rozszerzenia UE pojawia się wśród trzech porównywanych krajów dyssens, co spowodowane jest z jednej strony u Polaków położeniem Polski na pograniczu, a z drugiej strony w obydwu pozostałych krajach wiąże się z ich gotowością do tegoż rozszerzania. Generalnie zachowanie Polski należy oceniać jako pozytywną oznakę zaangażowania tego kraju w sprawy europejskie.

Najnowszy „Eurobarometr”, jaki wykorzystałem, dotyczy badań z 2013 r. Przedstawione tam dane nie dotyczą niestety kwestii tak szczególnych jak poprzednie. Wybrałem dane dotyczące spraw bardziej ogólnych, ale ukazują one również ciekawy obraz, a mianowicie po pierwsze – oczekiwania związane z UE na najbliższą przyszłość, po drugie – stanowisko wobec wspólnej polityki gospodarczej i walutowej, a po trzecie – kwestię prestiżu UE w świecie.

Na pytanie: Jak Pani/Pan widzi przyszłość UE: optymistycznie, pesymistycznie, bez zainteresowania? Odpowiedzi w trzech krajach były następujące (w procentach):

PL = 63:29:08
FR = 44:52:04
DE = 55:39:06

Na pytanie: Czy jest Pani/Pan za wspólną polityką gospodarczą i walutową: tak; nie; wstrzymuję się? Odpowiedzi w trzech krajach były następujące:

PL = 29:63:09
FR = 62:33:05
DE = 66:29:05

A na pytanie: Czy głos UE na świecie się liczy: tak; nie; wstrzymuję się? Odpowiedzi w tych trzech krajach wypadły następująco:

PL = 75:19:05
FR = 72:22:06
DE = 74:22:04⁸⁶

Te dane, z wyjątkiem dwóch przypadków, dają w tych trzech krajach raczej obraz jednolity. Polska pod względem optymizmu odnośnie do przyszłości UE zajmuje pierwsze miejsce, co chyba związane jest z dużymi oczekiwaniami Polaków, którzy są stosunkowo młodymi członkami Unii. Stosunkowo źle oceniają oni z kolei wspólną politykę gospodarczą i walutową. Odzwierciedla się w tym chyba rozczarowanie wielu Polaków ekonomicznym rozwojem własnego kraju w ostatnim czasie, za co obwiniają prawdopodobnie UE. Dane statystyczne wykazują gwałtowny

⁸⁶ Por. Raport Standard-Eurobarometer 79, w: <<http://ec.europa.eu/commfrontoffice/publicopinion/>>, wiosna 2013, dostęp 10.02.2014.

spadek sporych oczekiwań gospodarczych w stosunkowo krótkim czasie. Taka zmiana nastrojów była też chyba przyczyną wspomnianych już marszów protestacyjnych na ulicach Warszawy. Ciekawą sprawą jest to, że te protesty nie kierowały się tylko przeciwko własnemu rządowi, lecz także przeciwko Unii Europejskiej. Wielu protestujących najwidoczniej uważało UE za głównego winowajcę odczuwalnego przez nich spadku wzrostu gospodarczego, a własny rząd traktowali jako pomocnika obcego mocodawcy. Uważam, że takie podejście w polskiej polityce bynajmniej nie jest wyjątkiem, jeżeli chodzi o obarczanie winą innych. W tym przypadku winowajcą akurat stała się UE.

Analizując wykorzystane tutaj dane, należy uwzględnić fakt, że nie chodzi w ich przypadku o opinie rządów lub partii politycznych, ale o przekonania ludzi i całych społeczeństw w poszczególnych krajach, przy czym pewną rolę odgrywają również emocje. Wyniki badań pokazują ponadto, że Polacy, jeżeli na te sprawy popatrzą trzeźwym okiem i nie będą się kierować emocjami, okażą się całkiem dobrymi Europejczykami i nie będą się musieli przed nikim ukrywać. To również jest dla przyszłej polskiej polityki uspakajającym sygnałem, niezależnie od tego, która partia będzie tę politykę uprawiała. Każda partia będzie musiała brać pod uwagę proeuropejskie nastawienie Polaków.

Podsumowanie

Kończąc te rozważania należałoby poruszyć kwestię, co Europa Centralna ma do zaoferowania Unii Europejskiej. W tym celu trzeba by przeprowadzić podobnie wnikliwe badania, ale nie jestem w stanie ich wykonać. Chętnie pozostawiam tę sprawę innemu autorowi.

Na przykładzie Polski starałem się naświetlić zarówno strony pozytywne jak i negatywne strony członkostwa państw Europy Środkowo-Wschodniej w UE. Pozostaje mi teraz tylko podpisać się pod wypowiedzią byłego premiera Donalda Tuska na forum Parlamentu Europejskiego:

Rekonstrukcja UE w taki sposób, aby stała się tym, czym obiecuje być, czyli «warownym grodem» narodów europejskich, jeszcze nie została doprowadzona do końca. Jest ona narażona na ogromne obciążenia, zwłaszcza obecnie, można się obawiać nawet jej rozpadu. Jej utworzenie tymczasem jest rzeczą nieodzowną, o ile nie chcemy powrócić do samobójczych czasów⁸⁷.

Nadzieję moją jest, by państwa Europy Środkowo-Wschodniej zapobiegły „powrotowi do samobójczych czasów” i wniosły swój wkład w dzieło umocnienia UE. Państwa te potrzebują Unii najbardziej. W ich interesie leży to, by UE była w stanie podejmować właściwe decyzje i działania, bo od tego w dużym stopniu zależeć będzie ich przyszłość. Innego wyjścia nie mają. Rozpad Unii Europejskiej byłby dla wszystkich jej członków zgubny, a dla krajów Europy Centralnej katastrofalny.

⁸⁷ Por. Wystąpienie premiera Tuska na forum Parlamentu Europejskiego, tamże. s. 10.

VIII. Unia Europejska: Czy leży ona w interesie Polski?

Poniższy tekst pierwotnie był pomyślany jako odczyt. Taki jego charakter jest do dzisiaj wyczuwalny. Z odczytem tym związane są wspomnienia, z którymi nie chciałyby się rozstać. Wygłosiłem go 9 maja 2010 r. na zaproszenie Pana Krzysztofa Hećmana, burmistrza Kętrzyna, mojego rodzinnego miasta Rastenburga położonego w byłych Prusach Wschodnich. Każdego roku 9 maja w wielu miejscowościach Unii obchodzony jest tzw. Dzień Europy, by przypomnieć o inicjatywie założenia Wspólnoty Węgla i Stali, którą uważa się za kolebkę dzisiejszej Unii Europejskiej. Tego dnia w 1950 r., a więc pięć lat po zakończeniu II wojny światowej, ówczesny minister spraw zagranicznych Francji, Robert Schuman (1886–1963) wezwał do założenia tej Wspólnoty.

Wygłaszając wtedy mój odczyt, na wstępie powiedziałem w języku polskim:

Kto z Państwa, włącznie ze mną, kiedykolwiek by przypuszczał, że w dniu dzisiejszym roku 2010 będę do Państwa przemawiał na temat: **Unia Europejska: Czy jest ona naprawdę w interesie Polski?** Więcej. Kto z nas w swoich najsmielszych marzeniach mógł sobie wyobrazić, że Wasz były Premier, ówczesny Przewodniczący Parlamentu Europejskiego w Brukseli, Pan Jerzy Buzek, mniej więcej dwa miesiące wcześniej, 22 marca, będzie przemawiał w języku polskim na forum Uniwersytetu im. Humboldtów w Berlinie na temat: **Unia Europejska po Lizbonie. Ile Europy potrzebują jej obywatele?**

Kontynuując myśl, powiedziałem wówczas w moim wystąpieniu:

Jakże ten świat siedemdziesiąt pięć lat po zakończeniu wojny się zmienił? Wasz były premier został powitany i był oklaskiwany w Berlinie jako «nasz przewodniczący». A ja zostałem z takiej samej okazji zaproszony do mojego rodzinnego miasta jako Wasz przyjaciel i powitany zostałem nie jako przeciwnik (w międzyczasie, dwa lata później, zostałem nawet honorowym obywatelem tego mojego miasta). Zarówno pierwsze jak i drugie zdarzenie wydają mi się być wydarzeniami na miarę cudu. Za to, że dzisiaj mogę przed Państwem stanąć i przemawiać, pragnę z całego serca podziękować Waszemu Burmistrzowi.

Obawy i nadzieje

A teraz do rzeczy. Postaram się Państwu wytłumaczyć, dlaczego Unia Europejska dla wszystkich Europejczyków, ale szczególnie dla Polaków, jest wyjątkowo szczęśliwym przypadkiem. Chciałbym o tym przekonać przede wszystkim tych z Państwa, którzy w to jeszcze wątpią. Na początku pragnę jednak zapewnić Państwa, że tych wątpiących – nie wykluczając przy tym Pana Burmistrza – dobrze rozumiem, iż są nastawieni do Unii sceptycznie i mają – krótko mówiąc – określone obawy.

Polacy mają swoje doświadczenia i nie zapomnieli, że Polska była pod zaborami trzech europejskich mocarstw, a później pozostawiono ją na pastwę losu między sąsiadami, w wyniku czego kraj bardzo ucierpiał i poniósł milionowe ofiary. Dlatego Polacy obawiają się, że przynależność Polski do UE może spowodować, iż ponownie dostanie się w tryby zawirowań historii i może stracić swą niezawisłość i niezależność.

Chcę Państwu wyjaśnić, dlaczego takie obawy wobec UE uważam za bezpodstawne. Pamiętać przy tym proszę choćby przez chwilę, jakie doświadczenia z UE w przeszłości były udziałem innych społeczeństw europejskich. Czy przykładowo dumny naród hiszpański albo nieliczny naród luksemburski przez swoje członkostwo w UE miały jakieś niekorzyści? Czy Francuzi lub Włosi z powodu członkostwa w Unii poczuli się kiedykolwiek „wyobcowani”? Nic z tych rzeczy! Nikt z nich nie ucierpiał, lecz przeciwnie – wszyscy skorzystali, w szczególności w dziedzinie bezpieczeństwa i dobrobytu. Te, czy też inne narody nie miały powodów, by odwracać się od Unii plecami lub nawet z niej wystąpić. A każdy z krajów członkowskich ma przecież do tego prawo. Wszyscy o tym wiemy. Dlatego także dla Polski nie ma powodów, by Unii się bać. Wręcz przeciwnie.

Powody przemawiające za członkostwem w UE

Pragnę Państwu krótko przedstawić tylko dwa powody, które moim zdaniem przemawiają za członkostwem w UE. Po pierwsze – wszystkie państwa, nawet byłe mocarstwa europejskie, aktualnie są za słabe, by funkcjonować samodzielnie. Państwa te traktowane są jako poważny partner jedynie jako wspólnota, bo jako kraje pojedyncze szybko mogą stać się zależne od innego mocarstwa światowego. Po drugie – rynki poszczególnych państw są za małe i zbyt ograniczone, by swoim społeczeństwom zapewnić wysoki standard życia i dlatego społeczeństwa europejskie potrzebują jednolitego rynku i w miarę możliwości wspólnej waluty. Tylko w ten sposób są zdolne do utrzymania swojego dobrobytu. Innymi słowy: jeżeli narody Europy w pojedynkę nie chcą uzależnić się politycznie od innych i pozostać gospodarczo w tyle, potrzebują organizacji na wzór Unii Europejskiej. Ale to oznacza, iż gdyby nie było już Unii Europejskiej, należałoby ją jak najszybciej wynaleźć!

Jednym z najważniejszych celów europejskich mężów stanu, którzy założyli Wspólnotę Węgla i Stali, było dążenie do unikania konfliktów zbrojnych między ich państwami i zagwarantowania im dobrobytu, a było to już w 1952 r., siedem lat po zakończeniu wojny. Kiedy Robert Schuman wezwał wszystkie państwa Europy do uczestniczenia w odpowiednich rokowaniach, reakcje na jego inicjatywę były bardzo zróżnicowane. Chciałbym Państwu tylko przypomnieć, że Wielka Brytania ze względu na swoje zobowiązania wobec Commonwealthu uważała, iż nie widzi się jako uczestnika w tym przedsięwzięciu. Kraje skandynawskie od razu odrzuciły tego rodzaju propozycję. Jest też rzeczą oczywistą, że kraje Europy Wschodniej, między innymi Polska Rzeczpospolita Ludowa, nie mogły w tym uczestniczyć, bo przeciwny temu był Stalin. Wobec tego pierwszy krok został uczyniony ze strony sześciu państw Europy Zachodniej: Francji, Republiki Federalnej Niemiec, Włoch, Holandii, Belgii i Luksemburga. „Przedsięwzięcie Sześciu” chyba by się nie

powiodło, gdyby nie uczestniczyła w nim ówczesna Republika Federalna i gdyby powołanie do życia zachodnioeuropejskiej Wspólnoty Węgla i Stali nie leżało w interesie USA. Fakt, że Niemcy Zachodnie od samego początku zaangażowały się na rzecz tej unii, jest wyłączną zasługą Konrada Adenauera. Ale większość Niemców w Republice Federalnej chciała najpierw działać na rzecz zjednoczenia Niemiec, zanim ich kraj miałby uczestniczyć w niepewnych przedsięwzięciach typu unia. Fakt, że w 1952 r. doszło faktycznie do utworzenia Wspólnoty Węgla i Stali, wcale nie był oczywistością. Przyszłość była jeszcze bardzo krucha.

Interesy Polski

Pozwalam sobie teraz jasno i bez ogródek powiedzieć, dlaczego jestem zdania, iż Unia Europejska leży w szczególnie sposób w interesie Polski. Widzę ku temu przede wszystkim trzy powody:

Po pierwsze – będąc członkiem Unii Europejskiej, Polska przestaje być obiektem przetargowym między jej sąsiadami. Dlaczego tego zagrożenia już nie ma? Dlatego, że Polska jako członek UE w swojej egzystencji jest tak samo bezpieczna jak każdy inny kraj członkowski. Po raz pierwszy w swojej długiej historii może się poczuć naprawdę jak u „Pana Boga za piecem”. Dlaczego?

Bo Unia Europejska – po drugie – przez fakt swojego istnienia jest do tego stopnia bezpieczna, że żadne z dużych państw sąsiadujących z Polską, czyli Niemcy lub Rosja, nie jest w stanie stać się dla niej zagrożeniem: Niemcy przez członkostwo w UE znajdują się „na smyczy” i nie mogą już pójść odrębną drogą wbrew innym państwom, a Rosja znalazła się aktualnie na „politycznym marginesie”. Dopóki wspólnota, do której należy ponad pięćset milionów ludzi, trzyma się razem, nie będzie mogła być dla Polski zagrożeniem, nawet jeżeli czasami się może wydawać, że Rosja ma polityczne ambicje na skalę światową.

Do tego dochodzi punkt trzeci – członkostwo Polski w UE daje jej możliwość skoncentrowania się na rozwoju i modernizacji własnej gospodarki. W tym zakresie Polska naprawdę ma wiele do nadrobienia, ale za sprawą pomocy z Brukseli i zagranicznych inwestycji jest na najlepszej drodze, by z własnych sił doprowadzić do „gospodarczego cudu nad Wisłą”.

Moja konkluzja jest następująca: członkostwo w UE po raz pierwszy w historii pozwoliło Polsce pozbyć się lęku o własne istnienie i zadbać o gospodarczą prosperity. To oznacza, że dla Polski po raz pierwszy nastał czas „normalności”, co w ubiegłych stuleciach było niemożliwe. Unia Europejska jest tego warunkiem, jest causa sine qua non. Bez UE Polska bezapelacyjnie pogrąży się ponownie w mrokach swej historii!

Oryginalność Unii Europejskiej

Zanim przedstawię Państwu, jaką organizacją jest UE, chciałbym najpierw wskazać na to, co uważam za najbardziej niepoważne uprzedzenie wobec Unii. Twierdzi się często, że siedziba UE w Brukseli jest największym, najdroższym i najbardziej zbiurokratyzowanym aparatem w Europie. Nie ma innego, bardziej absurdałnego

twierdzenia niż to! Przyglądając się temu z bliska, to według danych statystycznych personel UE liczy obecnie ok. 25 000 pracowników, wśród których ponad połowę stanowią tłumacze. Biorąc dla porównania fakt, że liczące prawie milion mieszkańców miasto Frankfurt nad Menem ma 80 000 pracowników magistrackich, a o połowę mniejsze miasto Gdańsk liczy ich ponad 50 000, liczba personelu pracującego w Brukseli obsługującego ponad 500 milionów obywateli, jest śmiesznie niska, co nie oznacza, że i tam zdarzają się tam nieprawidłowości. Ale krytyka liczby pracowników UE w Brukseli jest według mnie niczym innym jak tylko antyeuropejską demagogią.

Co powinienem Państwu jeszcze powiedzieć? Otóż chciałbym w krótkich zrozumiałych słowach wyjaśnić, jaką organizacją jest UE. Nie jest to zadanie łatwe. Politycy porozumieli się co do określenia „unia państw” i z tej nazwy korzystają, chociaż często pod tym określeniem rozumie się bardzo różne rzeczy. Nawet naukowcy, np. prawnicy reprezentujący prawo konstytucyjne lub politolodzy mają kłopot, jak to „dziecko” ma mieć na imię. Dostyc często uciekają się do powiedzenia, że jest to organizacja *sui generis*, a to ma oznaczać, iż jest czymś „szczególnym”, czego jeszcze nie było, a więc czymś specyficznym w systemie politycznym.

Stosunkowo łatwo natomiast można powiedzieć, czym UE nie jest. Nie jest „związkiem państw”, ani też nie jest „federacją”, chociaż z powodu braku innych tradycyjnych nazw tak się ją często określa, bowiem dysponuje instytucjami umożliwiającymi wspólne działanie, a jej członkowie tylko w wyjątkowych wypadkach mogą korzystać z prawa weta, np. przy zmianie konstytucji. Unia uparcie nie chce być państwem, nie chce też być federacją. Unia Europejska jest mniej niż państwem, bo państwo dysponuje właściwościami w postaci kompetencji, to znaczy przysługuje mu prawo podziału tychże kompetencji, czym UE nie dysponuje i nie chce dysponować. Czym więc jest UE, skoro wszelkiego rodzaju nazwy do niej raczej nie pasują?

Trzymajmy się na razie tego, że UE faktycznie jest czymś nowym, czymś, czego jeszcze nie było. Nie jest imperium, nie jest rzeszą, ani też nie jest republiką, ani monarchią, nie jest też czymś w rodzaju Ligii Narodów, nie jest Organizacją Narodów Zjednoczonych. Ale dlaczego UE wyróżnia się akurat jako „unia państw”? Przytoczę tutaj dwa przymiotniki, o których mniemam, iż nie istnieją w innych systemach politycznych: po pierwsze – członkowie są „panami własnej konstytucji”, a to oznacza, że państwa we własnym zakresie decydują o tym, jakie kompetencje gotowe są przenieść na Unię. A po drugie mamy do czynienia z zasadą „subsydiarności”, a to oznacza, że Unia decyduje i działa wyłącznie w takich dziedzinach, jakie zostały przez te państwa przeniesione wyraźnie na Unię, bo we własnym zakresie nie są w stanie w danej kwestii sobie poradzić.

Inaczej mówiąc, Unia nie jest – jak to zwykle bywa w przypadku państw – „suwerenem”. Nie dysponuje ona bowiem kompetencjami, jakiego rodzaju sprawy rozstrzyga, lecz rozstrzyga i reguluje w sposób „subsydiarny” to, czego dane państwa nie są w stanie regulować we własnym zakresie. Wszystkie inne kompetencje pozostają – jak na razie – w gestii państw członkowskich. Taka forma organizacji pociąga za sobą konkretne konsekwencje. Przytoczę tutaj dwa przykłady.

Plusy i minusy

Jednym z następstw tej szczególnej konstrukcji UE jest prawdopodobieństwo, iż nie będzie pretendowała do „supermocarstwowości”, bo taki twój krok po kroku przywłaszczałby sobie wszelkie kompetencje i stałby się organizacją nieelastyczną. A to się zdarza nie tylko w dyktaturach typu Związek Radziecki. Nawet demokratyczne państwa związkowe jak USA lub Republika Federalna Niemiec nie są odporne na tego rodzaju pokusy, czego przecież jesteśmy świadkami. Unii Europejskiej to nie grozi, bo państwa członkowskie dbają o to, by ona sama nie decydowała o sprawach, jakie do niej nie należą. Państwa mogą te kompetencje rozszerzać lub zawęzić. Z reguły dążą do tego, by kompetencje Unii raczej ograniczać, bo inaczej zawęzi się kompetencje własne. Państwa członkowskie są zatem strażnikami Unii przynajmniej tak długo, dopóki są „panami konstytucji”. Będą one umiały przeciwdziałać wszelkim próbom „megalomanii” Unii, tak by nie stała się „wszechmocna”, imperialna i nie uległa „manii wielkości”. Na tym fundamencie – jak myślę – można bazować.

Jeżeli to jest pozytywnym zjawiskiem tej szczególnej konstrukcji UE, to istnieje również jej strona ujemna. Wymagana zgoda wszystkich państw członkowskich na wypadek rozszerzenia kompetencji Unii może doprowadzić do takiej sytuacji, że tylko jedno państwo za pomocą prawa weta jest w stanie zablokować całą jej działalność. Pragnę to pokazać na dwóch przykładach, co takie *liberum veto*, które znane nam jest z historii Polski, wyrządziło i doprowadziło w danym przypadku do sytuacji skrajnej.

Niemalą Europejczyków opowiada się dziś również za wspólną polityką zagraniczną i obronną i pragnie „uwspólnotowienia” tych dziedzin. Badania wykazują, że akurat w Polsce opowiada się za tym wyraźna większość obywateli. To oznacza, że Unia także w tych dziedzinach powinna mówić „jednym głosem”. Tak obecnie nie jest. Do tej pory każde państwo członkowskie, według obowiązujących traktatów, może uprawiać własną politykę zagraniczną i obronną. Unia nie może się do tych spraw mieszać. Państwa jak dotąd są nadal suwerenem tych dziedzin i mogą robić to, co uważają za stosowne. Podobnie dzieje się w sektorze energetyki. Do tej pory nie mamy wspólnej europejskiej polityki do spraw ropy i gazu. Mamy natomiast tylko różne narodowe polityki energetyczne, bez wspólnego mianownika. Zarówno jedna jak i druga sprawa uważane są przez wielu fachowców za anachronizm, i takie jest też moje zdanie. Uprawianie indywidualnej polityki zagranicznej i energetycznej oceniają oni jako szkodliwe dla wspólnoty. Państwa członkowskie jednak do tej pory nie znalazły wspólnej platformy dla „uwspólnotowienia” tych dziedzin, jak to się stało w sferze polityki gospodarczej i walutowej. Przy obecnie obowiązujących przepisach jest to duży mankament, gdyż jedno państwo może zablokować wszelkie reformy dotyczące rozszerzania lub pogłębiania unijnej współpracy.

Sprawy te pokazują wszystkim, którzy znają polską historię, jakie następstwa miało dla Polski *liberum veto* w państwie szlachty XVIII wieku. Prawo to blokowało niezbędne reformy, co w końcu położyło kres feudalnej Rzeczypospolitej i zakończyło się jej rozpadem. Podobny los może spotkać także Unię Europejską, jeżeli

okaże się ona niezdolna do reform. W chwili obecnej nie wiadomo, w jaki sposób należałoby dążyć do dalszej integracji Europy. Jedno jednak jest pewne: jeżeli Unia nie będzie zdolna do reform, to prędzej czy później się rozpadnie. Takie są koleje dziejów świata. Ufam tylko, że to nie Polska przyczyni się do rozpadu UE, gdyż mając w pamięci doświadczenia z XVIII wieku, nie będzie uprawiać obstrukcyjnej polityki. W ostatnim czasie takie oznaki były wyczuwalne. Polska wyrządziłaby sobie oraz innym państwom wielką szkodę. Wszystkie państwa Europy ponownie pogrążyłyby się w nieszczęściu minionych czasów.

Podsumowanie

To, co pozostaje mi jeszcze do powiedzenia, wyraził niedawno Jerzy Buzek w Berlinie. Oto jego słowa: „Unii Europejskiej potrzebne są silne, odważne i odpowiedzialne państwa członkowskie. Unia w zakresie swych działań jest instytucją skuteczną, ale przede wszystkim potrzebuje ambitnych, zaangażowanych i po europejsku myślących obywateli”.

Do tej wypowiedzi mogę tylko dodać tyle: jeżeli się uwzględni te trzy warunki, to ten największy „pokojowy projekt nowych czasów” – jak nazwał Jerzy Buzek Unię w Berlinie – będzie trwały!

Kończąc kieruję dwie rady pod adresem Niemiec i Polski. Niemcom od dawna mówię: Członkostwo w UE jest jedyną drogą, by Was samych powstrzymać od dróg „odrębnych”, które Was i innych mogą pogrążyć w nieszczęściu!

A Polakom mówię tu i teraz: Członkostwo w UE jest dla Was jedyną drogą do uzyskania statusu „normalności”, której ze szkodą dla siebie przez wiele lat nie mieliście.

Dlatego obydwu narodom życzę, by się wstawiły za utrzymaniem UE i w miarę swych sił wspierały jej dalszy rozwój. To leży w interesie ich narodowego istnienia.

Droży Państwo, jeżeli może tego jeszcze nie zauważyliście, to pragnę na zakończenie powiedzieć tylko tyle: Mój stosunek do polskiej mowy jest taki sam jak do mojej żony: Kocham ją z całego serca, ale nad nią nie panuję.

Uprzejmie dziękuję za cierpliwość i serdecznie ufam, że podzielają Państwo, przynajmniej generalnie, te moje refleksje.

IX. Stosunki polsko-niemieckie. Drogi i bezdroża

Nie od rzeczy będzie twierdzenie, że stosunki polsko-niemieckie na nowym etapie UE, to znaczy po jej rozszerzeniu w 2004 r., okażą się tak samo ważne i decydujące, jak relacje niemiecko-francuskie na pierwszym etapie istnienia Unii. Dlatego pragnę zająć się nimi bliżej, bowiem historia stosunków polsko-niemieckich była podobnie zagmatwana jak historia relacji niemiecko-francuskich w przeszłości i także dzisiaj. Sprawa nie jest łatwa, wobec czego trudno o jednomysłność w poglądach między sąsiednimi narodami. Patrząc z mojej perspektywy, takiej jednomysłności nawet nie potrzebujemy. Wystarczy natomiast, jeżeli będziemy zgodni co do przyszłości. Rozprawianie na temat przeszłości nic nam nie daje. Z tego nie mamy żadnej korzyści. W tym punkcie całkowicie podzielam stanowisko Piotra Burasa⁸⁸.

Ponoć kiedyś istnieli ludzie, którzy podobno obiecywali sobie po uznaniu polskiej granicy zachodniej przez Republikę Federalną Niemiec – jeśli nie pojednanie – to przynajmniej normalizacji stosunków między obydwojma narodami. Uznanie granicy wprawdzie nastąpiło przez zawarcie traktatu między naszymi państwami 12 listopada 1990 r., ale o autentycznym zbliżeniu naszych społeczeństw przy najlepszej woli naprawdę nie może być mowy. Wprawdzie nie są one nastawione wobec siebie wrogo lub nieprzychylnie, ale wzajemne uprzedzenia i zarzuty funkcjonują nadal. Byli tacy obserwatorzy, a do nich należał też autor niniejszego tekstu, którzy oczekiwali, iż przynależność obydwu państw do Unii Europejskiej wpłynie pozytywnie na wzajemne relacje. Polska przystąpiła do UE 1 maja 2004 r., ale z faktu, że teraz razem „siedzimy w tej samej łodzi” niewiele się zmieniło we wzajemnym postrzeganiu i w politycznej współpracy.

Co zatem jest przyczyną, że w przeciwieństwie do bliskiej współpracy w dziedzinie naukowej lub gospodarczej nadal nie doszło do koniecznego usunięcia wzajemnych uprzedzeń, choć przecież od czasu zakończenia II wojny światowej upłynęło już bardzo dużo czasu, urodziły się dwa nowe pokolenia? Chciałbym bliżej zająć się tą kwestią, gdyż mnie niepokoiła i każe mi szukać odpowiedzi.

Sprawa granic

Dla wielu osób pojednanie między Niemcami a Polakami było przez długi czas ograniczone do rozwiązania sprawy granic. Gotowość uznania przez Niemcy granicy na Odrze i Nysie, tak się mówiło, jest warunkiem do nawiązania i utrzymywania wzajemnych kontaktów opartych na zaufaniu. Odnośnie do tej tezy można powiedzieć, że przeczą jej, jeśli nie fakty, to przynajmniej jest ona niedostatecznie umocowana. Granica oficjalnie została uznana 27 lat temu, ale stosunki polsko-niemieckie aktualnie znajdują się w fazie „niepewności i bez koncepcji”, jak zauważył

⁸⁸ Por. Piotr Buras, *Polen – Deutschland: Eine Partnerschaft für Europa – Interessen, Elitenmeinungen, Zukunftsperspektiven*, Warschau 2013; por. też moją recenzję; (w:) „Krakowskie Studia Międzynarodowe” nr 4 (X), Kraków 2013, s. 299–302.

pewien wnikliwy obserwator⁸⁹. Właśnie to jest pytanie, któremu pragnę poświęcić swoje rozważania.

Zajmując się kwestią granicy na Odrze i Nysie, trzeba stwierdzić, że wszyscy Niemcy po 1945 r., od skrajnej prawicy do skrajnej lewicy, dążyli do rewizji tej granicy. Inne podejście byłoby jakby wbrew naturze. Przecież narodowi wydarło siłą jedną czwartą część jego terytorium, które bezspornie należało do niego. Z biegiem czasu Niemcy z bardzo różnych powodów zrezygnowali z tego żądania, co w najmniejszym stopniu nie doprowadziło do polsko-niemieckiego pojednania. Niewykluczone, że Niemcy zrezygnowali z rewizji granicy na Odrze i Nysie nie sami z siebie czy ze zrozumienia tego, co było historycznie nie do uniknięcia, ale z bezsilności. Pamiętać także należy o tym, że nikt nigdy nie opuścił swoich rodzinnych stron dobrowolnie, jeżeli nie został do tego zmuszony ze względów ekonomicznych, a żadnym wypadku milionowe rzesze ludzi nie robią tego bez stosowania przymusu.

Zanim ustosunkuję się do kwestii, na czym polega niepoprawność stosunków polsko-niemieckich, trzeba jednak stwierdzić, że rozwiązanie kwestii granic nie przyniosło rozładowania napięcia. Kwestia granic stała się „pułapką” w momencie, gdy okazało się, iż wiązano z nią błędne oczekiwania. Musimy tutaj najpierw przypomnieć, jak do wytyczenia tej granicy w ogóle doszło.

Wynalazca granicy na Odrze i Nysie

Twierdzenie, że Stalin był wynalazcą granicy nad Odrą i Nysą, wielu Polakom się nie podoba, ale nie można zaprzeczyć, iż to on jest odpowiedzialny za jej istnienie, chociaż nie jako jedyny. Istnieje kilka wariantów, dlaczego Stalin na konferencji w Poczdamie od 17 lipca do 2 sierpnia 1945 r. wymusił na obydwu mocarstwach zachodnich zgodę na ustanowienie granicy na Odrze i Nysie, na co w końcu te państwa, czyli Stany Zjednoczone i Wielka Brytania, pod pewnymi warunkami się zgodziły. Na pewno Niemców i Polaków o to się nie pytano. Stalin jadąc do Poczdamu wiedział dokładnie, czego chce. Czy natomiast zamierzał – jak to niektórzy sądzą – w ten sposób na zawsze skłócić ze sobą Niemców i Polaków, a tym samym bezapelacyjnie uzależnić Polskę od Związku Radzieckiego, może pozostać kwestią sporną. Z pewnością było tak, że chciał rozszerzyć swoje wpływy jak najdalej na zachód, to znaczy w głąb Europy Środkowej, i że zabrakło mu tylko odwagi, by włączyć do niej całe Niemcy. Można przynajmniej zakładać, że wobec Niemców czuł pewien respekt, wyczuwając, że w odróżnieniu do innych narodów Europy Środkowej Niemcy nigdy nie pogodzą się z rolą bycia państwem satelickim.

Dotychczas przekonała mnie najbardziej dość prosta wersja autorstwa ponoć Władysława Gomułki, że Stalin wybrał najkrótszą linię między Bałtykiem a Czechosłowacją, by Niemców, niezależnie od tego, co się z nimi stanie, trzymać jak

⁸⁹ Kai-Olaf Lang, *Leben mit dem Unterschied – Konstruktive Diskrepanz als Vorwärtsstrategie in den deutsch-polnischen Beziehungen*, (w:) Kamila Mazurek/Thomas Mehlhausen (red.), *Zwischen Skepsis und Vertrauen – Die deutsch-polnischen Beziehungen im Wandel*, Kraków/Berlin 2009, s. 169.

najdalej od swojej strefy wpływów. Należy przypuszczać, że Stalin przy swoim usposobieniu nie zawracał sobie głowy ani wygnanymi Niemcami, ani wysiedlonymi pod przymusem Polakami. To jest oczywiste. Jemu wystarczyło opanować „Obwód kaliningradzki”, to znaczy Królewiec na terenie byłych Prus Wschodnich, by utworzyć dla siebie dodatkowy pomost zabezpieczający radzieckie terytorium.

W odróżnieniu od Stalina na konferencji w Poczdamie obydwie mocarstwa zachodnie, to znaczy Stany Zjednoczone pod przywództwem prezydenta Trumana oraz Wielka Brytania pod przywództwem najpierw premiera Churchilla, a następnie Attlee’ego, nie miały dokładniejszego wyobrażenia o tym, co powinno się stać z Niemcami. Wiedzieli tylko, że to państwo powinno być pocięte na kawałki i we współdziałaniu ze Związkiem Radzieckim poddane „demokratyzacji”. Churchill przynajmniej w pewnych chwilach nie miał nic przeciwko temu, że Polsce zostanie przyznana część Niemiec Wschodnich, gdyż sądził, że tym sposobem da się ewentualnie wyrwać Polskę spod radzieckiego panowania. W każdym razie oba mocarstwa zachodnie na konferencji w Poczdamie zadowoliły się pisemnym zapewnieniem, że wszelkie przesiedlenia odbywać się będą w sposób „uporządkowany i humanitarny” i że ostatecznie niczego jeszcze nie przesądzono, bo to miało stać się dopiero w przyszłym „traktacie pokojowym z Niemcami”. W ten sposób, chcąc nie chcąc, mocarstwa zachodnie pozostawiły tereny na wschód od Odry i Nysy Związkowi Radzieckiemu, który pod przywództwem Stalina natychmiast przystąpił do tworzenia nowych faktów, które z biegiem czasu okazały się trwałe.

Nawet jeżeli mocarstwa zachodnie bezpośrednio nie miały nic wspólnego z tym, co po 1945 r. wydarzyło się na wschód od linii na Odrze i Nysie, to jednak dały Związkowi Radzieckiemu swoje przyzwolenie na wypędzenie 12 milionów Niemców i ich wywłaszczenie, przez co stały się współwinnymi tego faktu. Historia ich z tego nie zwalnia, niezależnie od tego, jakie się podaje przyczyny.

Członkostwo w Unii Europejskiej

Przyznam chętnie, że podobnie jak nieliczni inni Polacy i Niemcy przez pewien czas miałem nadzieję, że wraz z przystąpieniem Polski do UE nadejdzie okres bliskich i opartych na zaufaniu kontaktów między Polską a Niemcami. Do tego przypuszczenia skłaniały mnie doświadczenia związane z powojennymi kontaktami między Niemcami a Francją. „Odwieczna wrogość”, która między Francuzami a Niemcami panowała przez stulecia i te stosunki mocno obciążała, w powojennej konstelacji jakby całkowicie nikła. Odkąd pięć lat po wojnie staraniem Roberta Schumana i Konrada Adenauera w 1950 r. powstała Wspólnota Węgla i Stali i obydwie narody znalazły się w tej samej „łodzi”, generalnie rozpoczął się między nimi okres przyjacielskich kontaktów nacechowanych szacunkiem, mimo niekiedy występujących między nimi nieporozumień. Widocznie oba kraje doszły do przekonania, że będąc przeciwko sobie niczego nie załatwią, natomiast razem mogą dużo zyskać, dlatego odpowiednio się zachowują.

We Francji dawno już nie wspomina się o druzgocącej klęsce, jaką Francuzi ponieśli w 1870/71 r. oraz w 1940 r., w następstwie czego znaleźli się przez pięć lat pod hitlerowską okupacją. Z drugiej strony w Niemczech zapomniano już o tym, że

Francja dawniej kilkakrotnie niszczyła tereny niemieckie i szereg z nich podstępnie sobie przywłaszczyła. Obecnie w Niemczech to nie Amerykanie uchodzą za najbardziej lubianych cudzoziemców, ale Francuzi. A we Francji pierwsze miejsce zajmują nie Brytyjczycy, ale w całej rozciągłości Niemcy, co na przestrzeni dziesięcioleci się nie zmieniło. Wzajemne sympatie nawet się powiększyły.

Wytlumaczeniem tego fenomenu jest według mnie fakt, że Francuzi i Niemcy doszli do przekonania, iż walki stoczone między nimi w przeszłości oprócz wielu zabitych i wielkich strat niczego im nie dały. Obecnie panuje przekonanie, że obok innych wielkich mocarstw mogą w sferze politycznej i ekonomicznej tylko razem coś osiągnąć i wspólnie odegrać rolę na arenie międzynarodowej. Ich bezpieczeństwo najlepiej zagwarantowane jest członkostwem w Unii. Zdają sobie sprawę z tego, że wszelkiego rodzaju wygórowane ambicje drugiej strony są ograniczane przez Unię Europejskiej, a pójście odrębną drogą przez każdą z nich byłoby wykluczone. Podobnie – tak mi się wydawało – rozwiną się stosunki polsko-niemieckie, jak tylko Polska, tak samo jak Niemcy, przystąpi do UE. Zakładałem, iż tak się stanie w sposób naturalny.

Istnienie Polski, moim zdaniem, jeszcze nigdy w dziejach nie było tak bezpieczne jak dzięki jej przystąpieniu do UE. Oba mocarstwa, ze strony których Polska była zagrożona, utraciły swój niebezpieczny charakter. Niemcy przez członkostwo w UE trzymane są „na smyczy”, a Rosja zepchnięta została przez UE na margines. Polska już nigdy nie będzie łupem ani jednego, ani drugiego z tych państw. Istnienie Polski nie jest już zależne od jakiegoś mocarstwa, lecz kraj ten znajduje się pod bezpiecznym parasolem 28 państw członkowskich UE i tych wchodzących również w skład NATO, które na wypadek zagrożenia z zewnątrz wspierają się nawzajem. Co lepszego mogło spotkać Polskę? W przeciwieństwie do przeszłości Polska w swoich nowych granicach jest bezpieczna i przez żadne inne mocarstwo nie jest zagrożona.

Jeżeli chodzi o gospodarkę Polski, to kraj ten jest w stanie całkowicie skoncentrować się na własnych interesach ekonomicznych bez jakichkolwiek obaw i oglądania się na innych. Polska może zmobilizować własny potencjał, znajduje się w ramach rynku kontynentalnego wraz z jego wszelkimi zaletami oraz we współpracy z zachodnimi partnerami; jest ponadto w stanie w stosunkowo krótkim czasie nadrobić gospodarcze zacofanie oraz dojść do dobrobytu, jakiego wcześniej nie znała. Przy tym wspierają ją na tej drodze czynnie i trwale Niemcy, gdyż jako sąsiedzi poszukują nowych rynków zbytu. To właśnie aktualnie ma miejsce; Polska przechodzi obecnie okres swojego dynamicznego rozwoju gospodarczego, ale mimo wszystko po części reaguje tak, jakby Niemcy jej zagrażały i wszystko wiedziały lepiej. Od tego przekonania znacznej części Polaków odwieść nie sposób.

Obciążenia z przeszłości

W świetle tego, co powiedziałem, nieporozumienia w stosunkach polsko-niemieckich należy chyba bardziej przypisać doświadczeniom z przeszłości, które przekazuje się kolejnym pokoleniom „w spadku”, bo nie są poddawane krytycznym

ocenom. Przyczyną nieporozumień nie są bieżące problemy⁹⁰. Należy nadmienić, iż przeszłość w obydwu społeczeństwach ma całkiem odmienną wagę. Doświadczenia z przeszłości mają w Polsce tradycyjnie zupełnie inny wydźwięk niż w Niemczech: Powoływanie się na trudne okresy z historii, co było przecież udziałem Polaków, dodawało ludziom częstokroć otuchy i podsycalo ich nadzieję. W Niemczech natomiast przeszłość nie cieszy się dobrą renomą. Ludzie z reguły unikają rozmów o przeszłości, bo ta kojarzy się raczej ze wstydem, a nie z dumą. Zastanawiam się, jakie wydarzenia z przeszłości stały się dla jednych i drugich obciążeniem i zatrują obecne stosunki. Mówienie o tym w sposób otwarty może stać się swoistą terapią służącą usunięciu nieporozumień i minimalizacji uprzedzeń po obu stronach, zakładając, że takowe istnieją.

Wspomnienia Niemców

Ze zrozumiałych względów w Niemczech upowszechniło się przekonanie, że nie jest czymś przyzwoitym lub nie wypada wskazywać na cierpienia własnego społeczeństwa, gdyż ze strony hitlerowskich Niemiec inne narody ucierpiały o wiele więcej. Tym bardziej, że takie przypomnienie powoduje natychmiast reakcję usprawiedliwiania złych czynów. Oto przykład: nie jest rzeczą pożądaną mówić o tym, że podczas amerykańsko-brytyjskiego bombardowania Drezna w nocy z 13 na 14 lutego 1945 r. zginęło na miejscu co najmniej 25 000 osób, przeważnie kobiety i dzieci, jak też nazywanie tego faktu zbrodnią. Z kolei liczne media niemieckie nie wspominają we właściwy sposób o losie milionów ludzi wypędzonych po 1945 r., to znaczy już w czasach pokoju, i że ludzie ci stracili swoje domostwa, a wielu przypłaciło to wypędzenie życiem. Nie piszą o tym w obawie, że zostaną posądzone o postawy rewanżystyczne, albo o coś gorszego.

Przemilczanie takich zbrodni napełnia wielu Niemców troską, a szczególnie ludzi bezpośrednio tym dotkniętych. Upatrują w tym postępowaniu nierównego traktowania: zbrodnie jednych się potępia, a zbrodnie drugich się usprawiedliwia lub przemilcza. Ludzie odbierają to jako niesprawiedliwość. Niestety w Niemczech na ten temat nie mówi się w sposób otwarty. Sprawy takie podlegają w mówieniu i myśleniu jakby autocenzurze, chociaż są obecne i nie sposób ich usunąć z niemieckiej pamięci, a to dotyczy również stosunków polsko-niemieckich.

Jeżeli chodzi o Polskę, to w Niemczech prawie każdy wie, że granica na Odrze i Nysie nie jest wymysłem polskim, tylko że nakreślił ją Stalin, by Niemców ukarać, a przy okazji Polakom zrobić „prezent” i rozszerzyć tym sposobem radziecką strefę wpływów. Ci ostatni zachowali się przebiegle i przyjęli ten prezent z mniejszą lub większą radością i wdzięcznością, gdyż w ówczesnych okolicznościach nie mieli

⁹⁰ Nieporozumienia, które mam na myśli, zostały bliżej przedstawione przez Erharda Cziomera i Kamilę Mazurek. Por. Erhard Cziomer, *Kontroversen zwischen Berlin und Warschau – Ein Überblick über die wichtigsten bilateralen Probleme seit 1990*; Kamila Mazurek, *Zwischen Versöhnung und Routine – Die deutsch-polnischen Beziehungen seit Beginn der 1990er Jahre*, oba teksty w: Kamila Mazurek /Thomas Mahlhausen (red.), *Zwischen Skepsis und Vertrauen – Die deutsch-polnischen Beziehungen im Wandel Kraków/Berlin 2009*, s. 119–124 i 125–136.

innego wyboru! Niemcy wiedzą, że Polacy brali udział w wypędzeniach Niemców, i to w sposób aktywny. Niemcy nie rozumieją jednak, że Polacy, po części przynajmniej, nie uważają tego za zbrodnię, natomiast na pewno tak by to określili, gdyby dotknęło to ich rodaków.

Jeżeli chodzi o sprawę wypędzeń ludzi z ich stron rodzinnych po 1945 r., to chyba co do tego nie może być wątpliwości, że była to zbrodnia i że stało się tak wbrew wszelkiemu obowiązującemu prawu i poczuciu sprawiedliwości, nawet jeżeli w ówczesnych okolicznościach było to zrozumiałe. A że nie wszyscy wypędzeni Niemcy byli „hitlerowcami”, których należało zbiorowo ukarać, powinni wiedzieć przede wszystkim sami Polacy, bo wiedzą najlepiej, że nie wszyscy Polacy w Polsce Ludowej byli „komunistami” i nie mogą być obarczeni ich zbrodniami. Dokąd byśmy zaszli, gdybyśmy się kierowali winą zbiorową? A jeżeli taką argumentacją uzasadnia się wyznaczanie granic, to jest to absolutna samowola.

Ta kwestia jest tylko jednym z głęboko zakorzenionych nieporozumień w stosunkach polsko-niemieckich, chociaż jest chyba sprawą najpoważniejszą. Przytaczam ją na zasadzie *pars pro toto*. Mimo że mogę sobie wyobrazić, iż wśród ludzi bardziej roztropnych w obu krajach poprzez potępienie wszelkich wypędzeń i uwzględnienie towarzyszących im okoliczności może dojść do porozumienia, wcale nie upieram się przy jednomyślności w tej lub innej otwartej kwestii historycznej. Wystarczyłoby natomiast, gdyby jedna i druga strona w tej lub innej kwestii spornej wykazała więcej zrozumienia dla stanowiska partnera, a nie insynuowała mu złą wolę, co bardzo utrudnia współpracę.

Wspomnienia Polaków

Stosunek Polaków do historii, zwłaszcza tej najnowszej, jest – jak powiedziałem – inny niż Niemców. Polacy nie tylko czerpią z historii siłę i nadzieję, ale chętnie ją też instrumentalizują. Jest naturalnie kwestią bezsporną, że Polacy w 1918 r. wywalczyli swoją wolność, jest też oczywistością, że w 1945 r. mieli prawo domagać się granicy na Odrze i Nysie, a ponadto należy stwierdzić, że nikt inny jak „Solidarność” nie przyczynił się do upadku radzieckiego imperium. Jeżeli natomiast ktoś pozwala sobie wątpić w doniosłość tego lub innego epizodu historycznego, wtedy Polacy są głęboko rozczarowani i czują się obrażeni. To, że do tego wszystkiego przyczyniały się sprzyjające ich szczęściu międzynarodowe konstelacje, często nie dociera do ich świadomości, chociaż odrodzenie Polski poniekąd zawdzięczają też interesom zwycięzców. Przypisują to wszystko własnym siłom, i to na zasadzie wyłączności – tak przynajmniej ocenia to przeważająca część opinii publicznej, chociaż te osiągnięcia zdobyli razem z innymi.

Polacy nawet nie myślą dziękować Stalinowi za prezent w postaci granicy na Odrze i Nysie, natomiast wmawiają sobie i opowiadają innym, że jedną czwartą (dokładnie 23,76%) niemieckiego terytorium z 1937 r. otrzymali – po pierwsze – jako rekompensatę za utracone polskie ziemie na Wschodzie, że – po drugie – odzyskali prąsłowiańskie tereny, które na Zachodzie zostały zgermanizowane, a po trzecie – odzyskali te tereny jako zadośćuczynienie za zbrodnie dokonane na nich przez Niemców. Polacy nie dostrzegają równocześnie faktu, że polskie tereny na

Wschodzie, które objęło we władane nowo powstałe państwo polskie w 1918/19 r., były zamieszkałe w większości przez Ukraińców i Białorusinów, natomiast niemieckie ziemie wschodnie, należące w 1937 r. do Niemiec i odłączone od nich w 1919 r. na mocy Traktatu Wersalskiego, były zamieszkałe niemal wyłącznie przez Niemców. Nie chcąc przyjąć do wiadomości, że przy wytyczaniu granic nowoczesnych państw powoływanie się na odległe czasy wędrówki ludów uważać się będzie za dość kuriozalne i zapewne nie znajdzie większego zrozumienia zwłaszcza wśród dzisiejszych mieszkańców Ameryki Północnej i nie tylko u nich. Polacy nie uwzględniają faktu, że ich rekompensatą były obce terytoria i wypędzenie ludności, chociaż w XX wieku coś podobnego nikomu jeszcze nie przyszło do głowy, z wyjątkiem Hitlera i Stalina, którzy nie mieli pod tym względem najmniejszych skrupułów.

Posługuję się tą argumentacją dlatego, że chciałbym zwrócić uwagę na obecną w Polsce skłonność do przytaczania przy każdej nadającej się sposobności zupełnie nieprzydatnych argumentów historycznych w obawie o istnienie państwa, jak w przypadku granicy na Odrze i Nysie czy też innych okazjach – takie przynajmniej jest moje przypuszczenie. Wygląda to zawsze tak, jakby Polska była poważnie zagrożona i potrzebowała ratunku. W przeszłości Polacy przyzwyczaili się do tego sposobu myślenia, ponieważ ich państwo albo nie istniało, albo groziła mu likwidacja. Takie zachowanie z biegiem czasu stało się ich drugą naturą. Obecnie jednak, kiedy Polska jest całkowicie bezpieczna, a jej istnienie przez nikogo naprawdę nie jest kwestionowane, takie obawy są nieuzasadnione. Takie podejście irytuje sąsiadów i czyni z Polski kraj postrzegany w UE jako uparty. Poza tym obciąża to niepotrzebnie stosunki polsko-niemieckie. Zamiast cieszyć się osiągnięciami, Polacy czują się ciągle zagrożeni i widzą siebie w roli ofiary, odpowiednio reagując. Nie mówię, że dotyczy to wszystkich, ale większość zachowuje się w ten sposób z przyzwyczajenia.

Jak potoczą się dalsze losy stosunków polsko-niemieckich?

Zakładając, że obecne stosunki polsko-niemieckie obciążone są tymi dwiema historycznymi anomaliami, czyli niemiecką wstrzeźliwością wypowiedzianą otwartych sądów dotyczących polskiego postępowania oraz polską skłonnością do dopatrywania się zagrożenia ze strony Niemców, którego nie ma, nasuwa się pytanie: w jaki sposób tego rodzaju podejścia można zniwelować?

Jeżeli prawdą jest to, że omówione tutaj anomalie we wzajemnym postrzeganiu Niemców i Polaków, to znaczy niemiecka wstrzeźliwość i polskie obawy, są zakorzenione w doświadczeniach historycznych obydwu społeczeństw, to można mieć uzasadnioną nadzieję, by nie powiedzieć pewność, że z biegiem czasu jedna i druga anomalia same przestaną oddziaływać. Czas pokaże. Nie ma bowiem sensu oskarżać się nawzajem o wyrządzone sobie wzajemnie krzywdy, gdyż to nikomu nie pomoże. Krzywdy te są bowiem tak wielkie, że nie ma możliwości ich naprawienia. Jedynym wyjściem jest, byśmy je na zasadzie wzajemności uznali za fakty oraz podjęli prawne i konstytucyjne działania, aby takie wydarzenia już nigdy więcej nie miały miejsca, lecz zostały raz na zawsze zamknięte. Tylko tym sposobem

oraz w miarę upływu czasu można będzie osiągnąć zgodę, a nie wypominaniem sobie tego, co zostało stracone. Do takiego rezultatu można dojść za sprawą gestów poczynionych swego czasu przez Charlesa de Gaulle'a i Konrada Adenauera, ale też Tadeusza Mazowieckiego i Helmuta Kohla, którzy te gesty uczynili może trochę przedwcześnie.

Dlatego moje przesłanie brzmi: obecne nieporozumienia w relacjach polsko-niemieckich powodowane są uwarunkowaniami przede wszystkim historycznymi. Nie można ich odłożyć *ad acta*, tak jak by to sobie niektórzy wyobrażali i życzyli. Są to zbrodnie popełnione po obu stronach i trzeba się do nich przyznać i nie można się od nich wykręcać. Z drugiej strony nie muszą one być znakiem rozpoznawczym w tych stosunkach, gdyż nie mają wartości po wsze czasy. Postrzeganie stosunków polsko-niemieckich zmieni się w miarę tego, jak UE obu narodom, podobnie jak swego czasu Niemcom i Francuzom, stworzy nowe obszary wspólnego myślenia i działania. Oba narody będą wtedy mogły korzystać z integracji europejskiej, o ile nie nastąpi w tej dziedzinie stagnacja, ale za sprawą tych narodów ta integracja będzie się rozwijać. Nasze narody są na siebie zdane, a gdy będą wspólnie działać, mogą sobie wzajemnie sporo zaoferować – niezależnie od tego, co je dzieliło w przeszłości.

X. Egon Bahr – Architekt polityki wschodniej a Unia Europejska

Jakby nie było, pozycję polityczną Egona Bahra (1922–2015) w przeszłości oceniano różnie: jako niemieckiego nacjonalistę, którego swego czasu okazjonalnie krytykowano w USA, bądź jako „gaullistę”, jak sam się kiedyś określił, albo też jako europejskiego realistę – trudno go było sobie wyobrazić jako rzecznika Unii Europejskiej. W 2009 r. można go za takiego uznać. W tymże roku ukazał się na łamach czasopisma „Blätter für deutsche und internationale Politik” jego artykuł⁹¹, w którym autor jakby wyznał Unii Europejskiej swą miłość. Trudno w to uwierzyć, ale tak faktycznie było. Bez ogródek, jak ma w zwyczaju, powiedział w zrozumiałym sposobie, że Europa ma do spełnienia – po pierwsze – „historyczną misję”, która „jako cel nie podlega ani pertraktacjom, ani nie można z niej zrezygnować”⁹². Po drugie określił, co należy uczynić, by Europa stała się „piątym biegunem nowego porządku światowego”⁹³ i w ten sposób zyskała międzynarodowe uznanie. A po trzecie uznał, iż Europa w końcu musi mówić „jednym głosem”. Bahr od razu też sprecyzował sedno sprawy mówiąc, że Europa powinna wyjaśnić swój stosunek wobec Rosji⁹⁴. Faktycznie są to trzy zasadnicze kwestie, na które wielu Europejczyków chętnie otrzymałoby przekonujące odpowiedzi.

„Orgia wspomnień”

Zanim zajął się tymi trzema kwestiami, Bahr nie mógł sobie oczywiście odmówić karcenia Niemców i innych Europejczyków za to, że z górą dwadzieścia lat temu uroczyście świętowali, podobnie zresztą jak w 2009 r., upadek muru berlińskiego i związany z tym rozpad Związku Radzieckiego. To zachowanie pogardliwie nazwał „orgią wspomnień”⁹⁵. Dlaczego Bahr w tym wydarzeniu na skalę światową nie widział okazji do świętowania? Osobiście przypuszczam, że jego dość krytyczna ocena wiąże się z tym, że autor wyobrażał sobie zjednoczenie Niemiec zupełnie inaczej, niż to się stało. Sam fakt powitał jednak z zadowoleniem. Co do tego nie ma żadnej wątpliwości. Bahr pragnął zjednoczenia Niemiec nie jako wyniku wymuszonej rezygnacji narodów ZSRR z posiadania swojej strefy wpływów, gdzie przy okazji od razu zawaliło się radzieckie imperium, lecz jako dobrowolnego zwolnienia NRD z radzieckiej supremacji, które nadal zgodna by była ze strategicznym interesem Związku Radzieckiego, a jego pozycja pozostałaby nienaruszona, jeśli nie wzmocniona. Taka mniej więcej była zapewne jego pierwotna kalkulacja. To oczekiwanie w 1989/90 r. nie spełniło się, co dla niego było rozczarowaniem i dlatego

⁹¹ Por. Egon Bahr, *Barack Obama und das Ende des kalten Krieges*, (w:) *Blätter für deutsche und internationale Politik*, rocznik 54, 2009, z. 11, s. 33–56.

⁹² Por. tamże, s. 41.

⁹³ Por. tamże, s. 44.

⁹⁴ Por. tamże, s. 41.

⁹⁵ Por. tamże, s. 33.

w dosyć niezrozumiały sposób zareagował na dwudziestą rocznicę zjednoczenia Niemiec, do którego przecież sam się przyczynił, w co chyba nikt nie wątpi.

Ważniejsza od takiej negatywnej oceny świętowania w 2009 r. była natomiast dla Egon Baha zapewne konstelacja międzynarodowa, jaka się jemu wówczas prezentowała. W związku z tą konstelacją argumentował, że „zimna wojna” wraz ze „zwycięstwem” Zachodu i rozpadem Związku Radzieckiego – jak na ogół sądzono – w 1989/90 r. wcale się nie skończyła, ale że nastąpiło to ostatecznie w 2008 r. z chwilą objęcia prezydentury w USA przez Baracka Obamę. Z tego widać, że kryterium zakończenia „zimnej wojny” było dla Baha odejście od konfrontacji i przejście do współpracy wielkich mocarstw. Jedna epoka, jego zdaniem, po roku 1989/90 jakby toczyłaby się dalej, choć w zwolnionym tempie, a druga – jak sądził – rozpoczęłaby się z chwilą nastania Obamy. Winą za to, że spory po 1989/90 r. jakoby nie dobiegły końca, a ponadto nadal utrzymywały zwiększony poziom zbrojeń, obarczył Egon Bahr w pierwszej kolejności Stany Zjednoczone z ich „jednobiegunową polityką”, a w drugiej kolejności także Europę, która od tej polityki nie odwołała USA i nie nakłoniła ich do prowadzenia „wielowymiarowej polityki”. Bahr wyraża swoje pretensje następująco: „Taki stan rzeczy na świecie został spowodowany przez USA, ale współwinę ponoszą za to także Europejczycy”⁹⁶.

Jako realista – bo takim był i pozostał – Bahr swoją uwagę skierował rezolutnie na nowe realia w polityce światowej. Wynik tego postępowania nie jest wcale mniej ciekawy, niż jego wypowiedź z 1963 r. w miejscowości Tutzing, gdzie mówił o faworyzowanej przez siebie strategii nowej niemieckiej polityki wschodniej, to znaczy osiągnięcia „zmian poprzez zbliżenie”. Jego nową strategię, stosowaną przez UE, można by sprowadzić do formuły „zmiany przez samostanowienie” i otrzymalibyśmy wówczas faktycznie wskazanie na faworyzowaną przez niego politykę Unii Europejskiej. Jest ona w niektórych wątkach faktycznie podobna do jego wcześniejszej niemieckiej polityki wschodniej.

Zmiana poprzez samostanowienie

Jakie szanse dalszego rozwoju UE widzi Egon Bahr, by mogła odegrać oczekiwaną przezeń rolę? Czego jej brakuje, by sama o sobie mogła stanowić? A oto jego credo:

Zachwycająca historia sukcesu Europy polega na scedowaniu narodowych kompetencji na większą wspólnotę w formie Unii. Jej członkowie już nie są w stanie prowadzić między sobą wojen. Odnosząca sukcesy europejska gospodarka jest czymś więcej niż tylko związkiem służącym konkretnemu celowi, lecz dodała do jednolitego rynku jeszcze wspólną walutę. Stało się to praktycznym wymogiem do zabierania głosu w skali globalnej. Jednakże ostatnia poprzeczka do osiągnięcia zdolności do działania w sferze polityki zagranicznej i bezpieczeństwa okazała się dotychczas za wysoka⁹⁷.

⁹⁶ Por. tamże, s. 35.

⁹⁷ Por. tamże, s. 45.

Tym samym Bahr nazwał po imieniu – podobnie jak ja – najpoważniejszy problem UE w chwili obecnej, co ogranicza w znacznym stopniu jej działalność na arenie międzynarodowej. W jaki sposób – według niego – należałoby usunąć to niedomaganie? Na pewno nie w taki sposób, że Unia Europejska skoncentruje się bezpośrednio na uprawianiu wspólnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Bahr pragnie dążyć do tego celu w sposób pośredni, tak jak to sobie wyobrażał, wdrażając „politykę wschodnią”. Chciałby, by to się stało w podobny sposób, jak to miało miejsce podczas niedawnego kryzysu finansowego, kiedy to państwa unijne zwartym szeregiem uchwaliły wspólną kontrolę finansową; podobnie może być również w dziedzinie polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Krok po kroku Unia powinna teraz nadrobić to, co wprawdzie nie przyniosło jej szczęścia, ale przynajmniej dodało jej wysoką jakość współuczestnictwa w koncercie pięciu wielkich mocarstw. Do nich zalicza Bahr oprócz UE jeszcze USA, Chiny, Indie i Rosję, ale nie zalicza – lub jeszcze nie – Brazylii i Japonii⁹⁸.

Aby dokonać postępu w tej dziedzinie, należałoby „reaktywować francusko-niemiecki silnik” – mówi Egon Bahr⁹⁹, albo nawet włączyć bieg „francusko-niemiecko-polski” – jak ja to widzę. Obecnie niestety brak jest tu architektów jak Schuman i Adenauer, Gorbaczow i Brandt, ale także managerów jak Walter Hallstein czy właśnie Egon Bahr. Politycy będący u władzy typu François Hollande, Angela Merkel i Donald Tusk mają teraz jakby inne problemy. Zdecydowana kontynuacja europejskiej integracji podobno nie należy w tej chwili do ich priorytetów, a to oznacza, że perspektywicznie myślący politycy, jak Egon Bahr, nie mają w tej chwili wielkiego wpływu na bieg wydarzeń. Dla niego od zawsze było sprawą jasną, że bez wspólnej polityki zagranicznej i obronnej Unia Europejska nigdy nie stanie się mocarstwem. To jest dla niego kwestią *conditio sine qua non*.

Jest rzeczą ciekawą, że „samostanowienie Europy”, rozumiane jako zdolność do międzynarodowego działania, ma dla Egona Bahra jeszcze inny aspekt. Ten aspekt nazwał po prostu „kamieniem probierczym Europy”. W jego wersji brzmi to tak: „Jaki mamy stosunek do Rosji?”¹⁰⁰ Także w tej sprawie jest niezmiernie szczery. Oto jego słowa: „Kto zgadza się na konfrontację z Rosją lub taką toleruje, uniemożliwia samostanowienie Europy”¹⁰¹. Dlaczego? Bo jego zdaniem ze względów bezpieczeństwa UE nadal pozostanie „protektoratem” USA¹⁰², jeżeli nie uda się uczynić z Unii organizmu zdolnego do działania na arenie międzynarodowej i dopiąć ścisłej i opartej na zaufaniu współpracy między UE a Rosją. Nie wypowiedział się natomiast w kwestii, czy byłoby to możliwe razem z Putinem, czy też bez niego. Wówczas zapewne nie przewidział jego imperialnych ambicji. Chętnie bym się dowiedział, co miałyby do powiedzenia na temat awanturniczej polityki Putina, która zniweczyła jego oczekiwania w zakresie rozwoju stosunków między UE a Rosją. Mógłbym sobie wyobrazić, że byłby rozczarowany z powodu tego,

⁹⁸ Por. tamże, s. 43.

⁹⁹ Por. tamże, s. 45.

¹⁰⁰ Por. tamże, s. 41.

¹⁰¹ Por. tamże, s. 41.

¹⁰² Por. tamże, s. 41.

że „europejska polityka wschodnia”, jakiej pragnął, nie została zrealizowana – ze szkodą zarówno dla UE jak i Rosji.

Wizja Europy Bahra

Jak przekonany gaullista mógł przemienić się w zdecydowanego Europejczyka? Jeżeli chodzi o Egon Bahra, to tak się stało z powodu zmienionych uwarunkowań historycznych, co widocznie wzbudziło jego zainteresowanie i skierowało jego myślenie na inne tory. Widocznie należał do wąskiego grona osób, które nawet w podeszłym wieku są zdolne czegoś się nauczyć, przy czym nadal pozostają sobą. A to ze wszech miar dotyczy Bahra, zwłaszcza w jednej dziedzinie, do czego nawiążę pod koniec moich rozważań.

Kto w Republice Federalnej po 1949 r. nie chciał obrać za Adenauera „kursu na Zachód” lub po latach chciał z niego zrezygnować, dla kogoś takiego wzorcem mógł być Charles de Gaulle (1890–1970). Przez niego Francja jak najbardziej należała do „Zachodu”, ale równocześnie utrzymywała dystans do USA i nie należała do NATO. Dawało to Francji możliwość uprawiania własnej polityki wschodniej. Dlaczego to miało się nie udać także Republice Federalnej Niemiec, która z uwagi na podział Niemiec powinna była być jeszcze bardziej zainteresowana dobrymi stosunkami ze Związkiem Radzieckim, gdyż klucz do zjednoczenia Niemiec tak czy owak znajdował się w Moskwie? Było sprawą oczywistą, że Egon Bahr wpadł na następujący pomysł: to, co potrafił de Gaulle, my także możemy zrobić! Trzeba przyznać, że z uwagi na panujące wówczas warunki był politykiem dosyć odosobnionym z tego rodzaju wizją uprawiania polityki wschodniej na własną rękę, wdrażając ją u boku Willy’ego Brandta (1913–1992), który był wcześniej rządzącym burmistrzem Berlina Zachodniego i późniejszym kanclerzem federalnym.

Wprawdzie wiele przemawiało przeciwko temu, że dysponujący w pełni swoimi siłami Związek Radziecki kiedykolwiek wyrazi gotowość rezygnacji z zastawu w postaci NRD. Ale podjęcie choćby próby uzyskania zgody Moskwy na zjednoczenie Niemiec było sprawą wartą honoru. A w tym celu była wymagana niemiecka aktywność, aby wyjść naprzeciw radzieckim interesom. Później Egon Bahr przyznał, że jego działalność na rzecz normalizacji stosunków niemiecko-radzieckich, choć była dla niego raczej jedną z wielu innych spraw, to jednak przyczyniła się wbrew jego oczekiwaniom do rozpadu Związku Radzieckiego.

Ważniejszą w tym kontekście kwestią jest jednak to, co spowodowało, iż Egon Bahr przeszedł z jednego „frontu” na drugi i stał się rzecznikiem zjednoczenia Niemiec i zwolennikiem jedności Europy, chociaż może akurat nie takiej, jaka istnieje obecnie. O de Gaulle’u nie można powiedzieć, że był rzecznikiem jej reorganizacji. Francuski prezydent do końca był przekonany o tym, że Francja przestałaby być Francją, gdyby zrezygnowała ze swoich suwerennych praw i że wspólnota europejska skazana jest na niebyt, bo brakuje jej właśnie suwerenności. W przeciwieństwie do de Gaulle’a Bahr dochodzi do zupełnie odmiennego wniosku.

Jeżeli dobrze to widzę, to Egon Bahr – rozumiejąc, że zdane tylko na siebie poszczególne państwa europejskie nie mają żadnego znaczenia – zdecydował się na poparcie wspólnoty, bo państwa te tylko jako wspólnota są brane pod uwagę.

Warunkiem jest jednak to, by UE była zdolna do działania, a jeżeli tak się stanie, musi według niego dojść do politycznego samostanowienia Europy, a to znaczy do skuteczniejszej samodzielności. Bahr ponadto rozumiał, że państwa członkowskie Unii, przekazując określone kompetencje z dziedziny polityki zagranicznej i obronnej na Unię, bo nie są w stanie wypełnić ich samodzielnie, wcale nie pożegnają się z historią, lecz pozostaną samodzielne i tym samym będą nadal „panami Unii”. Rozumiejąc te uwarunkowania dalszej integracji, Bahr przyczynił się do tego, że stał się poważnym rzecznikiem Unii Europejskiej w odróżnieniu od innych wpływowych polityków.

Uważam, że poczucie realizmu, jakie cechowało niegdyś Bahra w jego ocenie Związku Radzieckiego, spletało mu ponownie figła, ale mimo wszystko pomogło mu też zrozumieć, co znaczy istnienie faktycznie zjednoczonej Europy, a ponadto kazało mu domagać się niezależnej od USA polityki samostanowienia UE. Nie mam innego wyjścia jak podziwiać Bahra z dwóch względów: udało mu się – po pierwsze – wybrnąć z sytuacji prawie bez wyjścia i opowiedzieć się za zjednoczeniem Niemiec, a po drugie – o stanąć po stronie europejskiego samostanowienia, bowiem poszukiwał i znalazł drogi wyjścia ze ślepego zaułka oraz wskazywał na możliwości, by się w tym zaułku nie znaleźć. W tym kontekście przypominam sobie jego tezę, że tak samo jak zjednoczenie Niemiec było osiągalne wyłącznie drogą rokowań, tak też efektywna działalność UE na arenie międzynarodowej będzie możliwa tylko za sprawą uwspólnotwienia polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Tylko tym sposobem, jak Bahr uważa, Europa będzie w stanie przemawiać jednym głosem i będzie na arenie międzynarodowej traktowana serio. Chwała mu za to, że to rozumiał i tego się domagał.

Bahr dostrzegł, czego UE brakuje, ale niestety nie powiedział nam, w jaki sposób to samostanowienie powinno zostać zrealizowane. Jego przypuszczenie, iż mogło ono ujawnić się w okresie kryzysu euro, nie sprawdziło się. Cóż zatem musi się jeszcze wydarzyć, by ten niezbędny krok uczynić? Na razie tego nie wiemy. Wiemy natomiast, że sprawna działalność UE na arenie międzynarodowej leży w interesie narodów Europy i świata.

XI. Jürgen Habermas i jego wizja Europy

Urodzony w Düsseldorfie w 1929 r. w Północnej Nadrenii-Westfalii Jürgen Habermas jest „jednym z najbardziej recypowanych filozofów na świecie”¹⁰³ – tak można przeczytać o nim w internecie. Jego zwolennicy twierdzą, że jest „najbardziej znanym z żyjących filozofów na świecie”, sławią go za „jego nieustanne zaangażowanie na rzecz własnej misji politycznej” oraz żywią nadzieję, iż czytelnicy jego małej publikacji pt. „O konstytucji Europy” przynajmniej „w niewielkim stopniu zapalą się do konstruktywnej myśli Jürgena Habermasa”, jaką perspektywicznie roztoczył „na placu budowy europejskiej demokracji” w formie Unii Europejskiej¹⁰⁴.

Habermasa określono mianem „człowieka przekraczającego granice” między filozofią a naukami społecznymi, bo w swoim życiu oderwał się od heglowsko-marksistowskiego źródła tzw. szkoły frankfurckiej, recypując i integrując szerokie spektrum nowych teorii¹⁰⁵. Sam o sobie niedawno powiedział, nie konkretyzując bliżej, co miał na myśli, że jego droga życiowa prowadziła go od „Heglowskiego marksizmu” do „Kantowskiego pragmatyzmu”¹⁰⁶. To mu jednak nie przeszkadzało zabierać raz po raz, i to sposób prowokacyjny, głos na aktualne tematy polityczne. Tak na przykład było w 1973 r., kiedy „późnemu kapitalizmowi” zarzucił, iż ma problemy z rozwiązaniem problemu swojej legitymizacji. Albo w 1987 r., gdy wywołał w Niemczech „spór historyków”, traktując ją jako „rodzaj ugody odszkodowawczej”; a zjednoczenie Niemiec obraźliwie nazwał „postępowaniem administracyjnym ukierunkowanym na gospodarcze imperatywy” (1990). Ponadto nazwał „państwa narodowe” najpierw złym przeżytkiem, ale niedawno w swojej najnowszej książce pt. „Konstytucja Europy” wziął je w obronę patetycznymi słowami Hegla mówiąc, że są „trwałymi osiągnięciami i żywotną formą istniejącej sprawiedliwości” (2011). Po tym wszystkim można było być ciekawym, co ma jeszcze do powiedzenia na temat Europy.

Na podstawie jednej z jego ostatnich publikacji, które w sumie liczą 41 tytułów¹⁰⁷, a mianowicie jego 57-stronicowego eseju pt. „O konstytucji Europy”, chciałbym w tym miejscu krótko zreferować to, co Habermas ma do powiedzenia

¹⁰³ Por. Wikipedia wiki juergenhabermas, dostęp 07.04.2012.

¹⁰⁴ Por. Alexander Cammann, *Der Traum von der Weltrepublik*, (w:) Die Zeit, nr 46, z 10 listopada 2011, s. 54. W tej recenzji powiedziano m. in.: „Ale inaczej niż jego protoplasta (Hegel, H.W.) Habermas nie jest w stanie odkryć w rzeczywistości coś sensownego. Sytuacja (Europy, H.W.) jest poważna, a Jürgen Habermas pisze książkę na aktualny temat”. Ciekawe jest też, co jeszcze godnego uwagi odkrył recenzent, mianowicie: „Habermas, jak zwykle, prowokuje sprzeciw, co z kolei czyni jego lekturę z jej polemicznymi tonami przyjemną”.

¹⁰⁵ Tak według Otfrieda Höffego: *Kategorische Rechtsprinzipien*, Frankfurt a. M. 1990, s. 358

¹⁰⁶ Tak w roku 2006. Źródło: Jürgen Habermas, *Ein avantgardistischer Spürsinn für Relevanzen – Die Rolle des Intellektuellen und die Sache Europas*, (w:) tegoż autora, *Ach, Europa – Kleine Politische Schriften XI*, Frankfurt a. M. 2008, s. 78.

¹⁰⁷ Patrz także Wikipedia wiki juergenhabermas, dostęp 09.04.2012.

na temat integracji europejskiej, a zwłaszcza o związku państw w formie Unii Europejskiej. Nie jest tego mało i nie zawsze łatwo zrozumieć jego tok myślenia.

Złe oceny dla polityków i intelektualistów

Klasa polityczna Europy otrzymuje od Habermasa na ogół złe oceny. Mówi on o niej, że wszystkim rządcom brak odwagi. Z jednej strony miotają się bezradnie między imperatywami wielkich banków i agencji ratingowych, a z drugiej strony czują lęk przed grożącą im utratą legitymizacji wśród swoich sfrustrowanych społeczeństw. Bezskrytyczne dążenie do materialnego wzrostu charakteryzuje się brakiem sięgającej dalej perspektywy. Z niemieckim rządem federalnym rozprawia się szczególnie ostro. Pisze o nim, że:

stał się czynnikiem przyspieszającym desolidaryzację na skalę europejską, bo za długo przysmykał oczy na jedyne konstruktywne wyjście, które nawet gazeta *Frankfurter Allgemeine Zeitung* lakonicznie określiła jako potrzebę «więcej Europy». Zamiast wreszcie – bez żadnego «ale» – wyłożyć kawę na ławę i poinformować ofensywnie społeczeństwa o relacjach między krótkoterminowymi kosztami a faktycznymi korzyściami, czyli o historycznym znaczeniu projektu europejskiego, wygląda na to, że polityka... u progu gospodarczego i politycznego zjednoczenia wstrzymała oddech i schowała głowę w piasek. Po co nam taka hipersomnia?¹⁰⁸.

Zanim zdradzę jego odpowiedź na pytanie, jaki ma być następny krok do politycznego zjednoczenia Europy, chciałbym jeszcze dodać, że Habermas nie ma dobrego zdania o swoich kolegach, o intelektualistach w ogóle. Mówi, że część z nich, obrońcy państw narodowych, z powodu ostatniego kryzysu UE czują się utwierdzeni w swoich najgorszych obawach i schowaliby się za fasadą od dawna podziurawionej suwerenności państwowej. A o drugich sądzi, że jako rzecznicy „Stanów Zjednoczonych Europy” swoim empatycznym wyobrażeniem o możliwości zintegrowania najpierw rdzennej Europy oddają sobie niedźwiedzią przysługę. „W ten sposób uprawniona opozycja przeciwko tej pochylej drodze zaplątuje się w sidłach zbiurokratyzowanego federalizmu wykonawczego i niemającej perspektyw alternatywy państwa narodowego bądź europejskiego państwa federalnego. Nie lepszym rozwiązaniem jest również niesprecyzowany federalizm, który tę błędną alternatywę w nieokreślony sposób neguje”¹⁰⁹. Autor żałuje, że w Europie nie odbywa się żadna „publiczna debata wśród wykształconych laików i intelektualistów”, jaka przykładowo miała miejsce w Ameryce Północnej na temat konstytucji Stanów Zjednoczonych od września 1787 do sierpnia 1788 r. między

¹⁰⁸ J. Habermas, *Die Krise der Europäischen Union im Lichte eine Konstitutionalisierung des Völkerrechts – Ein Essay zur Verfassung Europas*, (w:) tegoż autora *Zur Verfassung Europas – Ein Essay*, Frankfurt a. M. 2011, s. 41 i 43.

¹⁰⁹ Tamże, s. 8.

„federalistami” a „antyfederalistami”, mimo że sytuacja w Europie obecnie wygląda jego zdaniem podobnie¹¹⁰.

Skłonny jestem przyznać Habermasowi rację, ale nie tyle z powodu jego krytyki polityków UE¹¹¹, którzy chcąc podejmować ważne decyzje, muszą przecież uwzględniać opinie i interesy wyborców z 28 krajów, ile z powodu postawy europejskich intelektualistów, którzy mieliby uzasadnione powody zastanowienia się nad celowością Unii Europejskiej. To, że przyszłość UE widzi się u nas wciąż jako alternatywę: luźna „konfederacja” suwerennych państw albo związkowe „państwo federalne” niesuwerennych członków, a nie w tym, co już istnieje i co należy rozbudować, to znaczy w „związku niezależnych państw”, na tym właśnie – moim zdaniem – polega główna wina intelektualistów. Bo kto inny ponosi taką winę? Intelektualiści jednak milczą. Z wyjątkiem Habermasa – można by powiedzieć. A on na nich się obraża. Może w końcu przerwie tamę milczenia? Co zatem ma do powiedzenia?

Trzy uzasadnienia UE

Spośród dotychczas najczęściej używanych trzech argumentów uzasadniających potrzebę integracji suwerennych państw w Europie, zdaniem Habermasa największą aprobatę uzyskał pierwszy argument, zakładający stworzenie odpowiednich struktur politycznych, uniemożliwiających raz na zawsze konflikty wojenne. Powołanie do życia Wspólnoty Węgla i Stali przez sześć państw zachodnioeuropejskich w 1951 r. doprowadziło do powstania ponadnarodowej organizacji z Wysoką Władzą na czele, której państwa członkowskie przekazały część swoich suwerenności. Jej założyciele – Robert Schuman, Konrad Adenauer i Alcide De Gasperi – byli głęboko przekonani o tym, że tylko przez odstąpienie suwerennych praw na rzecz ponadnarodowej wspólnoty da się uniknąć konfliktów zbrojnych między europejskimi państwami. Proces ten zapoczątkowali uwspólnotowaniem „przemysłów surowcowych”. Przy tym wcale nie jest rzeczą pewną, czy założyciele mieli akurat na myśli to, co Immanuel Kant określał jako nieodzowny warunek ustanowienia „wiecznego pokoju” między narodami i na co Habermas wciąż wskazuje, że nie tylko poprzez ugruntowanie praw w sferze polityki wewnętrznej, gospodarczej

¹¹⁰ Habermas miał przy tym chyba na myśli przede wszystkim „Federalist Papers” Alexandra Hamiltona/Jamesa Madisona /Johna Jaya, którzy są ojcami założycielskimi Stanów Zjednoczonych i w roku 1787 znaleźli się w centrum debaty w związku z uchwaleniem konstytucji USA. W tym kontekście Habermas wskazuje na dwie niedawno opublikowane pozycje, które traktują o nader fragmentarycznie prowadzonej dyskusji wśród europejskich elit na temat przyszłości UE, mianowicie na książkę Justine Lacroix/Kalypso Nicolaidis (red.), *European Stories – Intellectual Debates on European in National Contexts*, Oxford 2010; patrz także Richard Münch, *Die Konstruktion der Europäischen Gesellschaft – Zur Dialektik von transnationaler Integration und nationaler Desintegration*, Frankfurt a. M. 2008, s. 186–340.

¹¹¹ W tym kontekście uważam za całkiem nieodpowiedzialną jego insynuację, że niemiecki rząd federalny w marcu 2010 roku po cichu dokonał zwrotu w swojej polityce europejskiej w kierunku „upolitycznionego intergovernmentalizmu”, por. J. Habermas, tamże, s. 98.

i walutowej osiągalny jest pokój między narodami, ale ostatecznym dążeniem do tego celu jest ustanowienie takich prawnych podstaw również w sferze polityki zagranicznej i obronnej. Tylko tym sposobem, czyli utworzeniem prawnych podstaw dla polityki, można według Kanta z „dzikiej wolności” indywidualnej jak i państwowej wypracować „wolność prawną” dla obywateli i ich państw¹¹². To Habermas zrozumiał i do takiego działania namawia.

Nawiązując do tego wątku, Habermas w ostatnim czasie wysunął drugi argument przemawiający za integracją państw europejskich. Powiada, że dawny argument, iż należy dążyć do uniemożliwienia wojen, „wyczerpał się”. Uważa, iż nie przemawia on do młodego pokolenia, dla którego wojna należy do historii. Wobec tego trzeba sformułować nowy przekonujący narratyw: należy uznać Unię Europejską [...] za decydujący krok w kierunku utworzenia politycznie ugruntowanej wspólnoty światowej. Ta nowa perspektywa nasuwa się przede wszystkim z dwóch powodów: „Z jednej strony obecna debata została zawężona do sposobów wyjścia z kryzysu bankowo-walutowo-zadłużeniowego, czego następstwem jest pominięcie wymiaru politycznego. Z drugiej strony fałszywe pojęcia polityczne zasłaniają nam spojrzenie na cywilizującą siłę ujmowania demokracji w ramy prawne, a tym samym na obietnicę, która od samego początku związana była z utworzeniem europejskiego projektu konstytucyjnego”¹¹³. Ten aspekt „ujmowania demokracji w ramy prawne” pozostaje dla niego sprawą szczególnej wagi, na którą kładzie nacisk przy każdej sposobności.

To oczywiście dobrze. Jednak Habermas nie zdradza, kogo – oprócz może kilku filozofów – chce pozyskać jako entuzjastów dla swojej koncepcji UE, która by była zgodna z Kantowską ideą światowej wspólnoty, jakkolwiek taka mu chyba przyświecała. Rozumiem natomiast jego entuzjazm dla UE po tym, jak dostrzegł w niej drogę do realizacji światowej wspólnoty mimo zastrzeżenia wysuniętego przez Kanta. Królewiecki myśliciel wysunął bowiem przeciwko idei „światowego państwa” podwójny argument: po pierwsze, istniejące państwa nigdy by nie chciały zrezygnować ze swej suwerenności, a po drugie takie światowe państwo zmonopolizowałoby w swoich rękach wszelką władzę, co doprowadziłoby w najlepszym przypadku do „pokoju na cmentarzu”¹¹⁴. Co natomiast za sprawą UE dodało Habermasowi skrzydeł dla urzeczywistnienia swojej jak i Kanta idei światowej wspólnoty, postaram się zaraz wyjaśnić. Nie widzę jednak, by dało to UE więcej publicznego poparcia, gdyż pomysł Habermasa jest chyba zbyt „mglisty”.

Według mnie istnieje inny, bardziej logiczny, choć rzadko używany trzeci argument przemawiający za hasłem „Więcej Europy”. Mówiąc krótko, brzmi on według mnie tak: za Unią przemawia argument – oprócz tych wspomnianych przez Habermasa – iż gwarantuje ona kulturową odrębność oraz polityczną samodzielność europejskich narodów należących do Unii Europejskiej. Korzystają one z przywilejów, jakie daje im wielki obszar gospodarczy oraz wiodąca europejska waluta.

¹¹² Immanuel Kant, *Zum ewigen Frieden – Ein philosophischer Entwurf* (1795), (w:) tegoż autora *Werke in zwölf Bänden*, red. Wilhelm Weischedel, t. XI, Frankfurt a. M. 1964, s. 212.

¹¹³ J. Habermas, tamże, s. 39n.

¹¹⁴ I. Kant, tamże, s. 225n.

Przez wspólnotową zwartość państwa są w stanie działać na arenie międzynarodowej oraz reprezentować wspólne interesy, do czego pojedyncze państwa nie są już zdolne. Chciałbym ustosunkować się jeszcze raz do kwestii, co poszczególne społeczeństwa zawdzięczają tej specjalnej organizacji politycznej w formie UE – a to przecież nie jest oczywistością – i przy okazji nawiązać właśnie do odpowiednich rozważań Habermasa.

Innowacyjność Unii Europejskiej

Tym, co różni UE od innych dotychczasowych wielkich organizmów państwowych typu imperia, królestwa, państwa centralistyczne, jest to, iż Unia państwem wcale nie jest i być nie chce. Unia rezygnuje dobrowolnie z możliwości określania własnych uprawnień, z których inne państwa korzystają; zgodnie z art. 5 Traktatu Lizbońskiego państwa członkowskie zrezygnowały z niektórych kompetencji z rąk udzielonego Unii „ograniczonego pełnomocnictwa”, co z kolei czyni te państwa „panami konstytucji”; zaś art. 50 Traktatu Lizbońskiego stanowi, że w każdej chwili mogą z Unii wystąpić, jeżeli unijna przynależność koliduje z ich interesami. Konstrukcja ta wynika z zasady subsydiarności, na co wyraźnie powołuje się art. 5 Traktatu, a wskutek tego subsydiarność jest podzielona. Państwa członkowskie Unii przekazały określone prawa suwerenne na rzecz Unii, z których samodzielnie nie są w stanie korzystać, o ile uchwalą to jednogłośnie, i mogą z tych praw nadal korzystać.

Tę niewątpliwie skomplikowaną konstrukcję, bo jest nowa i jeszcze niezwykłą, Habermas zinterpretował w sposób następujący: innowacyjność Unii Europejskiej polega na tym, że:

Państwa członkowskie, których monopol władzy pozostaje zachowany, podporządkowują się ponadnarodowemu prawu, jednakże z takim ciekawym zastrzeżeniem (bo mogą z Unii wystąpić – przyp. H.W.), iż w pewnym sensie dzielą swoją suwerenność z ogółem obywateli Unii¹¹⁵.

Ciekawą uwagą Habermasa w tym kontekście jest moim zdaniem stwierdzenie, że: „dane odrębne państwo narodowe *nadal* odgrywa *konstytucyjną* rolę gwaranta prawa i wolności”¹¹⁶. Pamiętając o jego wcześniejszych wypowiedziach na temat państw narodowych, jest rzeczą trochę zaskakującą, że niedługo po tej swojej wypowiedzi Habermas bierze te państwa w obronę słowami:

Podział suwerenności (między obywatelami państw narodowych a obywatelami Unii – przyp. H.W.) da się uzasadnić tym, że obywatele Unii mają dobre powody, by na szczeblu europejskim podtrzymywać równoprawną rolę swoich państw. Państwa narodowe, jako demokratyczne państwa prawne nie są tylko aktorami na długiej historycznej drodze do ucywilizowania rdzenia

¹¹⁵ J. Habermas, tamże, s. 49.

¹¹⁶ Tamże.

przemocy władzy politycznej, ale też *trwałym* osiągnięciem oraz żywymi postaciami «istniejącej sprawiedliwości» (Hegel). Państwa narodowe są czymś więcej niż tylko inkarnacją godnych utrzymania kultur narodowych; są także *gwarantem* poziomu sprawiedliwości i wolności, na czym obywatelom szczególnie zależy¹¹⁷.

Tyle pochwał pod adresem państwa narodowego to obecnie w Niemczech nadzwyczajna rzadkość. Usłyszeć to z ust Habermasa, na pewno poirytuje jego dotychczasowych zwolenników, ucieszy zaś innych.

Zakładając, że Habermas na pewno nie ma nic przeciwko podziałowi suwerenności w ramach UE, co każdemu prawnikowi ze względu na jego wykształcenie ukierunkowane na potrzeby państwa przychodzi bardzo ciężko, a nawet przyjmuje ją z entuzjazmem, to nie mniej godne uwagi jest to, w jaki sposób uczony ten zupełnie bagatelizuje zastrzeżenia podnoszone na gruncie teorii demokracji wobec konstrukcji UE. Mam tu na myśli zgłaszaną niekiedy wątpliwość, iż do sprawnego funkcjonowania demokracji niezbędny jest naród, a o takim w przypadku Europy przecież nie może być mowy. Sam Habermas odrzuca tę tezę następującymi słowami:

Patrząc z perspektywy umocowanej w XIX wieku, narzuca się wręcz znana odpowiedź «no demos». To znaczy, że europejskiego narodu nie ma i dlatego Unia polityczna, która zasługiwałaby na takie miano, zbudowana byłaby na piasku¹¹⁸.

Odpowiedź Habermasa na tę wątpliwość jest typowa dla jego sposobu reagowania. Zupełnie nie wdaje się w dyskusję związaną z tak postawionym problemem, lecz wskazuje na tok historycznego rozwoju, przez który według niego ten problem sam się rozwiązał. Powiada bowiem:

Tej interpretacji pragnę przeciwstawić inną, lepszą: utrzymująca się w świecie i w Europie polityczna fragmentaryzacja pozostaje w sprzeczności do systemowego zrastania się wielokulturowego społeczeństwa światowego i blokuje postępy w konstytucyjno-prawnym oraz państwowo-społecznym ucywilizowaniu państwowych i społecznych stosunków władzy¹¹⁹.

A to dla niego oznacza nic innego, jak konieczność wprowadzenia „podziału suwerenności” między obywatelami Unii Europejskiej a narodami Europy, polegającego na „konsekwentnie realizowanym współustawodawstwie oraz na symetrycznej odpowiedzialności Komisji przed Radą Europejską i Parlamentem Europejskim”¹²⁰. W ten sposób pozornie nierozwiązywalny problem z dziedziny teorii demokracji

¹¹⁷ J. Habermas, tamże, s. 72.

¹¹⁸ J. Habermas, tamże, s. 42.

¹¹⁹ Tamże.

¹²⁰ Tamże.

został zamieniony w sposób genialny bądź rezolutny na rozwiązywalny problem historyczny.

Zasadniczo chodzi tutaj o dwie kwestie, mianowicie jak UE podchodzi do spraw „suwerenności” i swej „demokratycznej legitymizacji”, którymi Habermas intensywnie się zajmował w ramach rozważań dotyczących debaty o UE, nie poruszając innych kwestii związanych z jej konstrukcją. Przy okazji – o czym tutaj mogłem wspomnieć tylko na marginesie – nie szczędził nikomu horrendalnych zarzutów oraz cennych przemyśleń. Ale *furor habermasensis* cechuje się wysoką umysłowością, choć niekiedy sięga do przemocy. Siebie samego nazwał kiedyś „alarmistą Europy”, czym tylko potwierdził, że jej uratowanie poprzez zjednoczenie należących do niej państw jest dlań sprawą serca¹²¹. To pokazuje też jego odważny plan z 29 listopada 2007 r., kiedy to opowiedział się za przeprowadzeniem „ogólnoeuropejskiego referendum”, przez co można by w końcu – według niego – zrealizować polityczną integrację państw UE¹²². Jestem zdania, że Habermas swoją postawą bezpośrednio jak i pośrednio wzmocnił kręgosłup UE, chociaż według jego własnej opinii „cywilizująca rola europejskiego zjednoczenia może się objawić dopiero w świetle daleko sięgającego kosmopolityzmu”¹²³. Dlatego nie chciałbym pominąć tych najwyraźniej bardzo ważkich dla niego przemyśleń na temat UE.

Jego najbardziej ulubiony projekt

Już wspomniałem o tym, że Habermas najwyraźniej polubił UE, gdyż dostrzegł w niej etap na drodze do i wzorzec dla konstrukcji światowej wspólnoty. Jak na to wpadł? „W obecnej sytuacji – tak napisał pod koniec swojej «Wizji Europy», która charakteryzuje się paraliżem polityki światowej, próba państw europejskich odzyskania choćby części ich zdolności do samosterowania poprzez ponadnarodowe uwspólnowanie jest możliwością dojścia do czegoś więcej niż tylko do egzekwowania swoich praw. Dlatego narratyw, jaki zaproponowałem dla europejskiego zjednoczenia, ma swą kontynuację w idei politycznie ukonstytuowanego społeczeństwa świata”¹²⁴. Innymi słowy to, co w Europie się udało lub co jest przedmiotem prób, czyli instytucjonalizacja i sprawdzenie w praktyce podziału suwerenności, może się też udać w odniesieniu do wspólnoty świata. Wcale nie chodzi o utworzenie onnipotentnego światowego państwa, lecz wystarczy ustanowić niepaństwową wspólnotę światową *à la* UE, aby w skali światowej stało się możliwe oparcie polityki na prawie.

W perspektywie utworzenia pokojowej wspólnoty świata *ceterum censeo* Habermasa brzmi następująco:

Bezprzykładowy historyczny twór w formie UE wkomponowałyby się w ramy politycznie ugruntowanego społeczeństwa światowego [...] Co więcej: ten światowy porządek polityczny mógłby być rozumiany jako kontynuacja ujętego

¹²¹ J. Habermas, *Ach, Europa*, tamże, s. 90.

¹²² Jürgen Habermas, *Europapolitik in der Sackgasse, Auszüge einer Vortagsfassung*, (w:) „Die Zeit”, z 29 listopada 2007. Źródło: J. Habermas, *Ach Europa*, tamże, s. 124 n.

¹²³ Tamże, s. 47.

¹²⁴ J. Habermas, *Zur Verfassung Europas*, tamże, s. 82n.

w ramy prawne demokratycznego porządku stanowiącego istotny rdzeń władzy państwowej (taki, jaki przybrała ona w formie UE – przyp. H.W.)¹²⁵.

Kontynuując i doprowadzając jego myśl do końca, oznaczało by to, iż w skali światowej istniałyby trzy płaszczyzny, na których sprawowana by była władza polityczna, acz przefiltrowana i oparta na prawie. Pierwszą płaszczyznę stanowiłoby 196 państw narodowych, reprezentowanych obecnie w ONZ, które zachowują prawo i środki do sprawowania legitymizowanej władzy, a które utraciły prawo i środki do prowadzenia wojen; drugą płaszczyznę stanowiłoby 10 do 15 będących jeszcze do utworzenia kontynentalnych federacji, w których stosunki międzynarodowe między ich państwami członkowskimi w pierwszym kroku oparte będą na uregulowaniach prawnych; trzecią płaszczyzną byłaby właśnie światowa wspólnota, poprzez którą za pomocą kolejnego kroku uregulowane będą na gruncie prawa stosunki między kontynentalnymi konfederacjami.

Głównym obszarem działalności tych „unii – państw”, którym to pojęciem nazywam człon pośredni między państwami a wspólnotą świata – byłoby – jak powiada Habermas – „przeforsowanie zakazu stosowania przemocy oraz nakazu skutecznego przestrzegania praw człowieka”¹²⁶. Tak zorganizowana wspólnota światowa nie byłaby obarczana innymi lub podobnymi obowiązkami lub funkcjami. Nie należy mieć za złe Habermasowi, że nie ustosunkował się w tym kontekście do mechanizmu regulującego współdziałanie tych trzech płaszczyzn, który zapewnia zarówno zabezpieczenie pokoju między państwami jak i dobre samopoczucie społeczeństw oraz przestrzeganie praw człowieka.

W tym kontekście wydaje się wskazane zwrócić uwagę na to, czego Habermas tego nie zrobił, że w ten sposób rozumiane społeczeństwo świata domaga się – oprócz innych – spełnienia jednego podstawowego warunku, jeżeli nie chce się stracić z oczu perspektywy Kanta: Najpierw należałoby dążyć do uznania zasady „jednorodności”, sformułowanej przez Rolanda Wittmanna w nawiązaniu do Kantowskich postulatów¹²⁷. Według mojego rozumowania oznacza to jednak, iż po pierwsze większość spośród wspomnianych 196 państw musi się przeobrazić w państwa prawne, po drugie powinno dojść do realizacji przynajmniej kilku federacji kontynentalnych na wzór UE, gdzie po trzecie zaistniałaby w końcu funkcjonująca wspólnota świata. To jednak nie oznacza nic innego jak tylko konieczność pogodzenia się z faktem, że taka wspólnota świata ani *à la* Kant, ani *à la* Habermas w najbliższej przyszłości nie jest realna. Wykluczyć jej się wprawdzie nie da, ale osiągalna byłaby – jeżeli w ogóle – dopiero w ramach długofalowego procesu historycznego.

Wyobrażenie o możliwości powstania kosmopolitycznej wspólnoty świata w niedalekiej przyszłości jest *idée fixe* Habermasa. Nie ma przeciwwskazań, by filozofowie się w tę ideę angażowali. Przybliżać się do niej krok po kroku, acz z trudem, jest wszystkim, co podążając za Kantem jako ludzkość możemy uczynić.

¹²⁵ Tamże, s. 85n.

¹²⁶ Tamże, s. 88.

¹²⁷ Por. Roland Wittmann, *Kants Friedensentwurf – Antizipation oder Utopie?*, (w:) Reinhard Merkel/Roland Wittmann (red.), „Zum ewigen Frieden” – Grundlagen, Aktualität und Aussichten einer Idee von Immanuel Kant, Frankfurt a. M. 1996, s. 143.

XII. Ernst Nolte – Uczony ostrzegający Europę

Dlaczego miałbym nie zasięgnąć wiedzy o Europie i Unii Europejskiej u jeszcze innego żyjącego filozofa, pozostającego na biegunie przeciwległym do Habermasa? Tak pomyślałem i tak też postąpiłem! Chodzi o Ernsta Noltego i jego włoskie pisma („*Italienische Schriften*”) napisane w latach 1997–2008, które czytelnikowi niemieckiemu przez dłuższy czas były nieznane. U niego znalazłem to, o co mi chodziło. W tych jego pismach znajduje się rozdział zatytułowany: *Europa jako problem*¹²⁸. Co ma do powiedzenia na temat Europy uczony, który uważa siebie za filozoficznego, zdystansowanego wobec politycznej rzeczywistości „myśliciela historycznego”, którego niektórzy krytyczni autorzy określają mianem „restauratora przeszłości” i „rewizjonisty neokonserwatywnego pokroju” oraz „osoby wyprzedzającej zachodnie wartości”¹²⁹.

U Noltego można przeczytać, iż Europa, która do I wojny światowej była „światową potęgą odciskającą swoje piętno w świecie poprzez „europeizację”, pod koniec II wojny światowej była „powalona na ziemię”, znalazła się na „najniższym poziomie swojej egzystencji”, pozostając zupełnie zależna od nowego „Zachodu” w postaci USA oraz od nowego „Wschodu”, czyli Związku Radzieckiego. Obydwa te mocarstwa jawiły się Europejczykom nie jako „kulturalne narody”, lecz jako fenomeny „cywilizacji masowej”¹³⁰. W tej sytuacji plany zjednoczenia Europy, począwszy od Churchilla i Schumana, po De Gasperiego i Adenauera, uzyskały szerokie poparcie i po części zostały zrealizowane. „Ta zjednoczona, ale bynajmniej nie jednolita Europa j, wychodząc od Brukseli, jest odczuwalna w życiu każdego Europejczyka w formie różnorodnych uregulowań, jakie państwom suwerennym zostały odebrane, *last not least* przez fakt istnienia ‘Parlamentu Europejskiego’”¹³¹. Niemniej jednak, twierdzi dalej autor, na „liczne pytania (wynikające z integracji Europy – przyp. H.W.) do dzisiaj nie znaleziono jeszcze przekonujących odpowiedzi”¹³².

Do tych otwartych kwestii Nolte zalicza: „granice Europy”, „historyczną tożsamość Europejczyków” oraz „sprzeczności w ramach europejskiej cywilizacji”. Tym sprawom poruszonym przez Noltego chciałbym poświęcić dalsze moje rozważania.

Granice Europy

Kwestia granic Europy – według Noltego – staje się aktualna z chwilą podjęcia debaty na temat przystąpienia Turcji do UE lub wokół dyskusji, czy Rosja należy do Europy, bo przecież terytoria obu tych państw sięgają daleko w głąb Azji. W tym kontekście ciekawa jest uwaga Noltego, iż Richard hrabia Coudenhove-Kalergi

¹²⁸ Ernst Nolte, *Italienische Schriften, Europa – Geschichtsdenken – Islam und Islamisismus*, Berlin 2011, s. 13–126.

¹²⁹ Tamże, s. 338 i 318n.

¹³⁰ Tamże, s. 27.

¹³¹ Tamże, s. 16.

¹³² Tamże, s. 16.

(1894–1972), który uważany jest za prekursora „Paneuropy”, jeszcze w latach 20. ubiegłego stulecia nie zaliczał do Europy ani Wielkiej Brytanii, ani Rosji¹³³, a to prawdopodobnie dlatego, że w istnieniu imperium brytyjskiego i Związku Radzieckiego dopatrywał się odrębnych mocarstw światowych i wobec tego nie widział dla nich miejsca w zjednoczonej Europie. Co się tyczy przystąpienia Turcji do UE, to Nolte dochodzi do trzech wniosków: jeżeli ktoś przywiązuje dużą wagę do historycznych i kulturowych wartości, to przystąpienie Turcji do UE będzie uważał za „absurd”; kto jednak z drugiej strony będzie kładł nacisk na egzekwowanie praw człowieka, wskazując przy tym na postępującą sekularyzację Turcji, opowie się za jej przystąpieniem do Unii; po trzecie: jeżeli ktoś potraktuje Unię Europejską jako „krótkie stadium przejściowe w kierunku powstania bezkresnego świata wolnego rynku lub „państwa światowego”, ten na pewno z całego serca musi się opowiedzieć za akcesem Turcji”¹³⁴.

Nolte, który skądinąd lubi patrzeć perspektywicznie, nie pozostawił nam niestety żadnych refleksji na temat przyszłości Rosji, zresztą podobnie jak Habermas. Wobec tego nie dowiemy się od niego, czy uważa, że Rosja ponownie stanie się wielkim mocarstwem, albo też znajdzie się na marginesie polityki światowej, czy też z biegiem czasu będzie chciała skorzystać z parasola UE. Brak jest spekulacji Noltego w tej sprawie.

Wyciągam zatem następujący wniosek z argumentacji Noltego, iż każdy „naród europejski należący geograficznie do Europy”¹³⁵ – według art. 1 ust. 2 Traktatu Lizbońskiego – może, jeżeli tego zapagnie i tak zadecyduje, przystąpić do Unii Europejskiej. A to oznacza, że zarówno Rosja jak i Turcja, nawet Kazachstan, mają szansę zostać członkiem UE. Warunkiem tego jest oczywiście to, że wszystkie państwa członkowskie wyrażą na to zgodę, oraz że Unia Europejska uważać się będzie za integralną i odpowiedzialną część składową światowego systemu gospodarczego i politycznego. Ze swej strony uważam, iż zarówno wyrażana zgoda na dobrowolne przystępowanie narodów europejskich do Unii jak i ich przynależność do obecnie istniejącej i coraz bardziej się zrastającej wspólnoty międzynarodowej na świecie należą do oczywistych cech UE.

Historyczna tożsamość Europejczyków

Nolte powiada, że nie wystarczy twierdzić, iż:

Europa powstała z niegdyś jeszcze nieeuropejskich elementów jak starożytna Grecja, chrześcijaństwo, imperium rzymskie czy też plemiona germańskie i słowiańskie. Takie jej przypisanie wpisać można do czysto pochwalnego bądź harmonizującego przemówienia. Problem staje się widoczny

¹³³ Tamże, s. 16.

¹³⁴ Tamże, s. 28.

¹³⁵ Pro. Rolf Schwartmann (red.), *Der Vertrag von Lissabon*, stan na 7 marca 2008, Heidelberg 2008, s. 5.

w momencie, gdy weźmie się pod uwagę obcość i wzajemną wrogość wspomnianych elementów¹³⁶.

Z czym zatem mamy do czynienia, mówiąc o tożsamości Europejczyków? Nolte odpowiada:

Elementy, z jakich powstała Europa albo okcydent, u swego zarania i w swych coraz to nowych przejawach są wrogo nastawione wobec siebie i jest rzeczą zadziwiającą, że mimo tego wolno nam mówić o ‘tożsamości’ europejskiej. Ta prastara, pełna napięć «dialektyczna» tożsamość stworzyła dla owego policentryzmu konkretnych sił historycznych tło i zapobiegła temu, by jedna «święta księga», mianowicie Biblia, opanowała cywilizację okcydentu równie całkowicie i trwale, jak to się stało z Koranem w kulturze islamskiej. Tylko dlatego mogło w Europie dojść do procesu sekularyzacji, który równocześnie stał się procesem powstawania mieszczańskiej bądź «uobywatelnienia», a w końcu demokratyzacji życia publicznego; proces ten kazał Guizotowi sławić burżuazję jako klasę uniwersalizującą samą siebie, a Tocqueville’owi nasunął myśl o wzorcowości amerykańskiej demokracji zarówno dla arystokratycznej jak i radykalno-rewolucyjnej Europy¹³⁷.

Ta niezbyt łatwa do zrozumienia interpretacja europejskiej historii zmierza zapewne, mówiąc prosto, do tezy, iż Europa stała się nader kreatywna i produktywna zwłaszcza przez swą różnorodność i swoje rozbieżności. Europa dość wcześnie rozpadła się na samodzielne części, które w swym ograniczeniu do stosunkowo małej przestrzeni stale znajdowały się jak gdyby pod napięciem i w ten sposób wykreowały ogromne osiągnięcia we wszystkich dziedzinach życia, wprowadzały innowacje, inicjowały oryginalne pomysły. Chodzi tutaj faktycznie o tożsamość, która da się sprowadzić do wspólnego mianownika pod nazwą „sprzeczności”, co w konsekwencji doprowadziło wszak do zaskakujących – pozytywnych i negatywnych – następstw. Gdyby Europa za sprawą integracji utraciła tę swoją szczególną jakość – to Nolte daje do zrozumienia – byłoby to wielką, niepowetowaną stratą. Nolte widocznie nie wyklucza takiego rozwoju wydarzeń, przede wszystkim w sytuacji, gdyby integracja Europy doprowadziła do silnej centralizacji. Ja natomiast uważam, że tego rodzaju zagrożenie nie wystąpi, jeżeli – tak jak to już przedstawiłem – integracja Europy dokona się w ramach UE. Szczególna forma jej organizacji wydaje mi się wystarczająco pewną gwarancją, aby obawy Noltego, że z powodu takiego rozwoju Europa utraci swoją kreatywność, okazały się bezpodstawne. Różnorodność nadal pozostanie znakiem firmowym UE.

Kulturalny rozkwit Europy mógłby stać się początkiem jej końca

Ale na tych rozważaniach jeszcze się nie kończy podjęta przez Noltego identyfikacja Europy jako jedynego w swoim rodzaju kulturowego „kuriozum”. Według Noltego bowiem oprócz kultury istnieje jeszcze inny aspekt, jaki się wyróżnia i wart

¹³⁶ Ernst Nolte, *Italienische Schriften*, op. cit. s. 27 i nast.

¹³⁷ Tamże, s. 29.

jest uwzględnienia, gdyż jest tak samo uwodzicielski jak i niebezpieczny: chodzi o indywidualne dążenie do „samorealizacji”.

Jego zdaniem, proces historyczny doprowadził cywilizację okcydentalną w Europie jakoby do powstania ekstremalnego indywidualizmu. Przyczynę tego zjawiska Nolte dopatruje się w tym, iż „chrześcijański pogląd o indywidualnej duszy człowieka, mającej niepowtarzalną rangę, uległ sekularyzacji”¹³⁸, co doprowadziło do przejawienia znaczenia jednostki ludzkiej. Nastąpiła jakoby jej deifikacja. Na razie to zjawisko jest charakterystyczne tylko dla kultury okcydentalnej, ale jest ono w stanie zarazić także inne kultury. W następstwie tego mogłoby dojść do „kultu wodza”, przy czym niektóre jednostki ludzkie zostałyby wyniesione pod niebiosa i uważane by były za zbawicieli narodów lub nawet ludzkości, a ich powinnością byłoby organizowanie zbawienia i jego urzeczywistnianie z użyciem przemocy. O ile dobrze rozumiem Noltego, to tego rodzaju egzystencjalne niebezpieczeństwo zagraża nie tylko jednoczącej się Europie, ale i cywilizacji całego świata, gdyby uległa ona owej pokusie indywidualnej „tęsknoty za samorealizacją” i się jej nie oparła.

Tłem tych obaw Noltego są na pewno jego doświadczenia z nowoczesnymi „soteriologiami” w postaci radzieckiego komunizmu, niemieckiego rasizmu i w formie załączkowej także islamskiego fundamentalizmu, które wstrząsnęły światem lub go jeszcze niepokoją. Nolte przez całe swoje życie intensywnie zajmował się tymi zjawiskami i starał się zgłębić ich korzenie, przejawy i płynące z nich fascynacje. Sam kiedyś powiedział, że po tych wszystkich katastrofach XX wieku myślenie historyczne z europejskiej perspektywy nie może inaczej wyglądać jak tylko „z dystansu i na sposób tragiczny”¹³⁹. Do tej myśli Siegfried Gerlich w jednym ze swych dzieł o Noltem dodał przekonanie, iż akurat liberalizm był tym czynnikiem, który według myśliciela „stworzył warunki rozwoju dla ruchów antyliberalnych jak marksizm i faszyzm, wobec czego był jakby położnym swoich grabarzy”¹⁴⁰. Trudno temu zaprzeczyć. Gerlich twierdzi, że Nolte, który temu „liberalnemu systemowi” przez całe swoje życie był oddany, nagle czuje potrzebę przeanalizowania jego słabości. W tej sytuacji zgodnie z przekonaniem samego Noltego wyszło na jaw, że nie można pozostać przy historycznych rozważaniach, „opowiadając legendy na temat zwycięstwa światła progresywnego nad reakcyjnymi siłami ciemności”, bowiem rzetelność wymaga, byśmy w ramach procesów historycznych stawiali czoła „całej skomplikowanej i irytującej nas naturze”, gdzie „najbardziej światłe motywy prowadzą do najokropniejszych czynów i gdzie to, do czego się nie dążyło, staje się rzeczywistością w formie rewolucji i reakcyjności. Postęp i wsteczność są tutaj ze sobą pomieszane do granic nierozpoznawalności”¹⁴¹.

¹³⁸ Tamże, s. 30

¹³⁹ Por. Ernst Nolte, *Abschließende Reflektionen über den Historikerstreit*, (w:) Backes, Uwe/ Jesse, Eckhard / Zitlmann, Rainer (red.), *Die Schatten der Vergangenheit – Impulse zur Historisierung des Nationalsozialismus*, Frankfurt a. M. 1992, s. 105.

¹⁴⁰ Siegfried Gerlich, *Ernst Nolte – Portrait eines Geschichtsdenkens*, Schnellroda 2009, s. 298.

¹⁴¹ Ernst Nolte, *Zeitgeschichtsforschung und Zeitgeschichte*, (w:) tegoż autora *Marxismus – Faschismus – Kalter Krieg, Vorträge und Aufsätze 1964–1976*, Stuttgart 1977, s. 300.

Tym sposobem Nolte, jak dalej wyjaśnia Gerlich, postawił rzekomo w centrum swoich rozważań „pytanie o historyczną egzystencją człowieka w aspekcie jego skończoności”¹⁴². Skończoność indywidualnego istnienia została w epoce nowoczesnych ideologii jakby zagubiona. Ta doczesna egzystencja człowieka została współcześnie wyparta jego dążeniem do „samorealizacji” i za sprawą szlachetnych motywów obróciła się w manię wielkości i masową zagładę ludzi. Ujawniło się to akurat w społeczeństwach o wysokiej kulturze, wśród prawosławnych Rosjan, chrześcijańskich Niemców i islamskich Persów, które to narody w szczególnych sytuacjach historycznych okazały się jak najbardziej podatne na tego rodzaju przemianę. Takim tendencjom – mówi Nolte – można zapobiec tylko pod warunkiem, że człowiek świadomie i z własnej woli „zaakceptuje przeznaczenie swojej cielesności, a tym samym swej skończoności i śmierci i nie będzie sięgać po gwiazdy”¹⁴³. To jest w każdym razie moje przeświadczenie, w jaki sposób Ernst Nolte rozumie uwodzicielską siłę nowoczesnych pomysłów na zbawienie.

Nolte jest zdania, że tym trzem ideologiom ukierunkowanych na zbawienie świata, czyli komunizmowi, faszyzmowi i islamskiemu fundamentalizmowi, przez propagowanie „wzniosłych celów” udało się na masową skalę w jakże oświeconych czasach przewrócić ludziom w głowach. Ideologie te są – jak uważa – niezaprzeczalnie wytworami najbardziej postępowej części nowoczesnego społeczeństwa. W nich to zmanifestowały się dalekosiężne nadzieje oraz obawy, jakie się w nas jakby w ukryciu nagromadziły, czyli ujawniły się nie bez przyczyny. Nikt ponoć nie wie, w jakiej postaci te teorie obiecujące zbawienie ponownie zrobią furorę w Europie i na świecie, jeżeli nie będą rozpoznane a dążenia do ich realizacji nie zostaną w porę zahamowane.

Nadzieja i przestroga

Trzeba przyznać, że jest sprawą dosyć kuriozalną, co ci dwaj filozofowie „wymodzili” na temat przyszłych losów i roli Europy na marginesie innych toczonych sporów. Pierwszy, to znaczy Habermas, poskromiony przez Kanta, jest zdania, że UE stanowi ważny, ba niezbędny krok w kierunku zorganizowania wspólnoty światowej, która ewentualnie byłaby w stanie zagwarantować ludzkości, przynajmniej w przybliżeniu, pokój na ziemi. Napawa więc optymizmem. Nolte natomiast, pouczony przez Heideggera, nie ma nic przeciwko utworzeniu, rozszerzaniu i pogłębianiu UE. Nie sprzeciwia się jej w najmniejszym stopniu, jednak pod warunkiem, że zachowa swoją kulturową różnorodność i z tego źródła czerpać będzie siłę napędową do innowacyjności, np. do zupełnie nowych form organizacji politycznych. Ale Nolte także ostrzega. Jest chyba prawie jedynym uczonym, który poważnie zajmował się wszelkimi nowoczesnymi programami zbawienia ludzkości, ich przyczynami oraz nieuniknionymi następstwami.

¹⁴² Siegfried Gerlich, tamże, s. 302.

¹⁴³ Ernst Nolte, *Historische Existenz – Zwischen Anfang und Ende der Geschichte?*, München 1998, s. 684.

Jeżeli za sprawą politycznego zjednoczenia Europy przyspieszyłoby dążenie człowieka do „samorealizacji”, a to dążenie stałoby się masowe, wówczas trzeba się mieć na baczności, bo grozi nam niebezpieczeństwo. W jednej z ostatnich ideologii obiecujących zbawienie, a przybierających polityczną formę, obojętnie w jakiej postaci się pojawi, dostrzega Nolte pokusę zagrażającą przyszłości ludzkiej cywilizacji, czego zresztą w niedawnej przeszłości już byliśmy świadkami. Z tego przekonania przemawia – o ile dobrze rozumiem tego myśliciela – jego niechęć, nawet obsesja oparta na historycznym doświadczeniu, wobec wszelkich politycznych obietnic i oczekiwań zbawienia tu na ziemi. Uważam, że jest to jego bardzo osobista spuścizna, której nie powinniśmy lekceważyć.

XIII. Ratujący Europę – Broder i Schachtschneider

Prawdą jest, że sporo osobistości w ostatnim czasie uważało się za ratujących Europę i dlatego uznało, że Unię Europejską najlepiej jest „zatopić”. Jeżeli w tym miejscu chciałbym się bliżej zająć dwoma autorami, to ma to swoje uzasadnienie. Pierwszy z nich, to urodzony w 1946 r. w Katowicach Henryk M. Broder, jeden z czołowych dziennikarzy niemieckich, o którym wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego Rainer Wieland powiada, że prawie nikt inny w podobny sposób jak on nie potrafi podchodzić do „popularnych uprzedzeń wobec UE”¹⁴⁴. Drugim jest Karl Albrecht Schachtschneider, renomowany profesor prawa na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie, ostatnio zatrudniony na uniwersytecie w Norymberdze-Erlangen, od 2005 r. na emeryturze, autor nie mniej niż 136 artykułów na temat UE, która według niego naruszyła obowiązujące prawo i dopuściła się wielu innych ciężkich wykroczeń, i z tego względu wytoczył jej nawet procesy sądowe¹⁴⁵. Autorzy ci w swoich publikacjach starali się wyzwolić Europę od zgubnej i rzekomo działającej niezgodnie z prawem Unii Europejskiej. Obaj stali się samozwańczymi orędownikami uratowania Europy, bez dokładnego wyjaśnienia tego, co należałoby uczynić po „likwidacji” UE.

Bon moty Brodera

Nie podzielam opinii Rainera Wielanda, że Broder akceptuje popularne uprzedzenia przeciwko UE i je za powtarza innymi¹⁴⁶. Osobiście kładę nacisk na coś innego. W swojej omawianej tutaj książce z 2013 r. Broder skrytykował niektóre słabości UE, by na ich przykładzie dosadnie pokazać, do jakiego stopnia niedorzeczne są wypowiedzi niektórych zwolenników UE i dlaczego niektóre cele UE są rzekomo słabe i niemądre i stają się przez to zagrożeniem. Swoje przekonania demonstruje w ten sposób, że obwinia UE o spore bezrobocie wśród młodzieży¹⁴⁷, administrację brukselską oskarża o ogromne marnotrawstwo¹⁴⁸ i insynuuje, iż UE wykorzystuje Europejczyków jako „króliki doświadczalne” w jej „uprawianym na szeroką skalę eksperymencie” „stworzenia tożsamości europejskiej”¹⁴⁹. To są wprawdzie półprawdy, ale w każdym z tych punktów jest też trochę racji. Przy bliższym ich oglądzie – moim zdaniem – trudno się nimi posłużyć do przekreślenia Unii. Broder jednak uważa, że to deprecjonowanie Unii całkiem nieźle mu wychodzi i jest uzasadnione.

¹⁴⁴ Por. <http://de.wikipedia.org/wiki/Die_letzten_Tage_Europas>, s. 2, dostęp 15.02.2014.

¹⁴⁵ Por. <<http://www.kaschachtschneider.de/de/downloads.html3>>., patrz Aufsätze, dostęp 20.02.2014.

¹⁴⁶ Henryk M. Broder, *Die letzten Tage Europas – Wie wir eine gute Idee versenken*, München 2013.

¹⁴⁷ Tamże, s. 215nn.

¹⁴⁸ Tamże, s. 42nn.

¹⁴⁹ Tamże, s. 194.

W znacznej części swej książki Broder stara się skrupulatnie udowodnić, że wypowiedzi zwolenników UE z reguły są niewiele warte. Do takich polityków zalicza Broder nie tylko przewodniczącego Parlamentu Europejskiego Martina Schulza¹⁵⁰, na którego uwzględnił się szczególnie, ale także byłego przewodniczącego Komisji Europejskiej José Manuela Barroso oraz „eurokratę” Lothara Bisky’ego¹⁵¹. Dostaje się też takim osobistościom jak Jean-Claude Juncker i Wolfgang Schäuble¹⁵², również niemiecka kanclerz Angela Merkel jest na jego celowniku¹⁵³. Na ogół ma to być wprawdzie dowcipne i takie też jest, ale na dłuższą metę jednak irytuje, gdyż Broder uważa, że wszystko wie lepiej.

Zmasowane stają się jego ataki wówczas, gdy wyjaśnia, dlaczego tę książkę w ogóle napisał. Powiada:

Zaprzagnąłem sam uzyskać jasność, czym jest «idea europejska». Starałem się podejść do tematu bez uprzedzeń, wprawdzie sceptycznie, ale nie potępiająco. Im bardziej jednak zagłębiałem się w materię, tym wyraźniej stawało się dla mnie jasne, że: ‘projekt Europa’ jest kolosem na glinianych nogach, jest literacką fikcją jak *Podróż do wnętrza ziemi* Juliusza Verne’a i jest niczym innym jak instrukcją obsługi dla megalomanów, wioską potiomkinowską, *remake’em* opowieści o Ikarze. Nie napisałem tej książki, aby uchronić Ikara przed upadkiem. Ale obawiam się, że spadł już wcześniej, a my tego nie zauważyliśmy¹⁵⁴.

Zbyt pięknie to brzmi, aby mogło się sprawdzić; dlatego od razu przytoczę kolejny, choć nie ostatni cytat z pana Brodera. Jest do tego stopnia zabawny, że nie chciałbym czytelnikowi odebrać tej przyjemności. A brzmi on tak:

Nie ma sensu zastanawiać się nad tym, gdzie i kiedy Europa się wykołubiła. W Rzymie, Nicei, Maastricht czy Lizbonie? Z chwilą przejścia od WE do UE? Albo wraz z wprowadzeniem euro? A może dopiero z chwilą wybuchu kryzysu finansowego w roku 2008? Pewne jest tylko jedno: na tym projekcie ciąży przekleństwo megalomanii i niekompetencji. Podobna mieszanka myślowa stała się już zgubą dla statku powietrznego «Hindenburg» oraz dla luksusowego liniowca «Titanic», nie wspominając już o niepowodzeniach hitlerowców, którzy chcieli stworzyć zjednoczoną Europę¹⁵⁵.

A co ma do powiedzenia na temat dalszych losów UE? Czytelnik na pewno już się domyśla. Według Brodera będzie tak: wszyscy zwolennicy UE będą się

kurczowo trzymać kierownicy i modlić o cud. Bo następny kryzys czyha już za rogiem. Cypr chce więcej pieniędzy, Grecja domaga się kolejnego

¹⁵⁰ Tamże, s. 24n., 45n. i 162nn.

¹⁵¹ Tamże, s. 106nn. I 194.

¹⁵² Tamże, s. 25 i 68n.

¹⁵³ Tamże, s. 25 i 63.

¹⁵⁴ Tamże, s. 218.

¹⁵⁵ Tamże, s. 222n.

umorzenia długów, Francuzom i Włochom woda sięga po szyję, a Słowenia prawie splajtowała. W ramach ratowania euro Niemcy przejęły zobowiązania sięgające 700 miliardów euro. Jeżeli tylko część tej kwoty trzeba będzie spłacić, wówczas nad Alsterą (w Hamburgu, H.W.) i na Maximilianstraße (w Monachium, H.W.) zgasną światła. Jesteśmy tłustym kęsem tego wariactwa. A co to oznacza, to powiedział już sto lat temu jasno i wyraźnie bawarski pisarz i neurolog Oskar Panizza: „«Wariactwo, jeżeli staje się epidemią, nazywa się rozsądkiem»¹⁵⁶.

Cóż za wspaniały bon mot! Ale Bogu dzięki nie ma to nic wspólnego z prawdą o UE.

Narzekania Schachtschneidera

Nie ma nic łatwiejszego niż dowieść, że Karl Albrecht Schachtschneider jest wypróbowanym wrogiem UE. Tylko jednym jedynym cytatem spod jego pióra da się udowodnić, że przynigdy nie zaprzyjaźni się z Unią, dopóki sam nie zrewiduje swojego stanowiska. A oto jego główna teza:

Nie można pozbawić obywateli suwerenności jako wolności w imię ich godności. Suwerenności nie da się też przerzucić na Unię Europejską. Ma ona bowiem swoje granice zarówno w wymiarze wewnętrznym jak i na zewnątrz. Można ją naruszyć i bywa naruszana, a to zasadniczo przez samą Unię Europejską w jej obecnej postaci, zwłaszcza przez unię walutową i gospodarczą. Kto pragnie Niemcom odebrać suwerenność, powinien najpierw stworzyć nowy naród i nowe państwo, to znaczy unijny naród i unijne państwo. A tego się nie da przeforsować wbrew woli wszystkich unijnych społeczeństw, tym bardziej wbrew woli Niemców. Tej woli boi się klasa polityczna i dlatego robi wszystko, aby suwerenność powoli stała się jałowa. Aby temu zapobiec, obywatele w imię własnej wolności i godności muszą stawiać opór. Wszystkie wytoczone przeze mnie procesy konstytucyjne w sprawie polityki europejskiej służyć miały obronie wolności i prawa Niemców do suwerenności, wprawdzie z umiarkowanym rezultatem, ale też nie bez powodzenia¹⁵⁷.

Jak widać, autor opowiada się za nieograniczoną suwerennością państwa i na ten temat nie ma z nim co dyskutować. Zresztą nie tylko on jest tego zdania, bowiem za taką państwową suwerennością, jako „świętą zasadą”, jest też między innymi Władimir Putin, na którego autor się powołuje na początku swej książki¹⁵⁸.

W ten sposób Schachtschneider – jak sam przyznaje – uczynił z siebie wroga „klasy politycznej” państw członkowskich UE, ale także pozostaje także w sporze z niemieckim Trybunałem Konstytucyjnym. Ten ostatni bowiem w postępowaniu

¹⁵⁶ Tamże, s. 218.

¹⁵⁷ Karl Albrecht Schachtschneider, *Die Souveränität Deutschlands – Souverän ist, wer frei ist*, Rottenburg 2012, s. 9n.

¹⁵⁸ Tamże, s. 11.

dotyczącym Traktatu Lizbońskiego orzekł 30 czerwca 2009 r., że „przeniesienie praw zwierzchnich na Unię Europejską” jest „dozwolone”¹⁵⁹. Argumentacja Schachtschneidera jest w gruncie rzeczy prosta i logiczna. Z uwagi na to, że UE nie jest państwem i takim być nie chce, bo nie posiada narodu i nie sprawuje władzy zwierzchniej, gdyż brak jej własnego terytorium, nie może i nie wolno jej zatem sprawować funkcji państwowych. Jeżeli mimo wszystko to czyni, bo państwa przekazały jej taką władzę, to Unia działa niezgodnie z prawem, nawet wbrew prawu konstytucyjnemu. Przy tym oczywiście należy zakładać, że suwerenność jest niepodzielna i z tego powodu jest realizowana albo przez państwa członkowskie, albo przez UE. Albo – albo jest dla Schachtschneidera kwestią decydującą.

Nawiązując do art. 5, ust. 1 Traktatu Lizbońskiego, w którym zapisana jest „zasada przyznania”, zgodnie z którą „Unia działa wyłącznie w granicach kompetencji przyznanych jej przez Państwa Członkowskie w Traktatach do osiągnięcia określonych w nich celów”¹⁶⁰, co odnosi się do transferu poszczególnych praw zwierzchnich na UE¹⁶¹, Schachtschneider wprowadził jako jeden z niewielu niemieckich profesorów trafny sedno konstrukcji UE, ale źle zinterpretował tę kwestię, bo w tym wręcz rewolucyjnym postępowaniu nie widzi uzasadnienia dla zupełnie nowej politycznej formy istnienia wspólnoty, która staje się „związkiem państw”, lecz upatruje w tym kroku zgoła polityczne zagrożenie.

W poprzednich rozdziałach niniejszej książki starałem się wyjaśnić, że chodzi tutaj o zupełnie nową interpretację suwerenności, która w dziedzinie polityki wewnętrznej państw prawnych sprawowana jest w trójpodziale: egzekutywy, legislatywy i judykatywy, ale obecnie wykraczają one poza tę sferę i sprawowane są również w sposób podzielony na różnych szczeblach, np. regionów, narodów i unii, również z uwzględnieniem zasady subsydiarności, tak jak to jest praktykowane w Republice Federalnej Niemiec. Państwo to, jak wiadomo, w Traktatach Europejskich przekazało określone swoje kompetencje na Unię, podobnie jak to uczyniło na rzecz landów, zgodnie ze swoją Ustawą Zasadniczą. Rzecz pierwsza faktycznie jest nowością, ta ostatnia zaś ma już swoje lata. Ten nowy podział suwerenności przyswoiły sobie nie tylko polityczne elity państw UE, ale także większość przedstawicieli nauk prawnych oraz sądy tych państw. Natomiast nie dotarło to do prof. Schachtschneidera. Uważam, że zdaje on sobie sprawę, iż znajduje się na przegranej pozycji. Chwała mu za to, że w ten sposób kroczy za sztandarem niepodzielnej suwerenności. Ale w końcu mu to na nic się nie zda, bo gdyby zwyciężył, byłoby to ze szkodą dla nas wszystkich.

Mało wspaniałomyślny jest natomiast jego osąd Wolfganga Schäublego pod koniec książki. Pisze tam m. in.:

¹⁵⁹ Por. tamże., s. 25.

¹⁶⁰ Por. Wersja skonsolidowana Traktatu o Unii Europejskiej, http://oide.sejm.gov.pl/oide/index.php?option=com_content&view=article&id=14803&Itemid=945, dostęp 2.11.2017 (przyp. red.).

¹⁶¹ Por. Rolf Schwartmann (Hrsg.), *Der Vertrag von Lissabon*, 4. Aufl., Heidelberg 2011, s. 6.

Jeżeli Niemcy nie są suwerenne, to rządzi tym krajem inne państwo albo wspólnota państw, lub też jakaś osoba albo grupa osób, jakaś władza, a Wolfgang Schäuble jest jej agentem i nie działa na rzecz narodu niemieckiego. Jego polityka w żadnym razie nie służy narodowi niemieckiemu, nie pomnaża jego korzyści, lecz szkodzi mu, nie broni ani Ustawy Zasadniczej, ani ustaw federacji, nie wypełnia sumiennie swoich powinności i nie spełnia wymogu bycia sprawiedliwym wobec każdego, jak tego wymaga ślubowanie według art. 64, ust 2 Ustawy Zasadniczej w połączeniu z art. 56 ust. 1 tejże ustawy. Służy raczej obcym interesom, czego nie da się ukryć¹⁶².

Faktem jest, że Schachtschneider spośród rzekomych niemieckich i zagranicznych „agentów”, którym to mianem obdarza eurokratów, którzy unię stworzyli i nią teraz kierują, wymienia z nazwiska jedynie Wolfganga Schäublego, mimowolnie okazując mu swoisty respekt. Taka postawa wypływa może z tego, że Schäuble według Schachtschneidera jest tą osobistością, która jak najbardziej jest świadoma nowatorstwa UE i w przeciwieństwie do wielu innych nie wahała się mówić o tym otwarcie.

Jaka opcja?

W przypadku obu zarysowanych wyżej stanowisk, ale też innych osób odrzucających UE, zdumiewa to, że są to całkiem zrozumiałe indywidualne reakcje. To jest nawet sympatyczne. Rzecznicy takich postaw zamykają się w swym własnym świecie intelektualnym lub w swym państwie, całkowicie przy tym zapominając o tym, że są częścią składową społeczeństwa i że ich osobiste bezpieczeństwo oraz dobre samopoczucie w decydujący sposób zależą od struktur organizacyjnych środowiska, w którym żyją. Nie bez przyczyny przecież światową furorę zrobiła i upowszechniła się forma państwa suwerennego wszędzie tam, gdzie społeczeństwo uległo modernizacji, to znaczy dostosowało się do nowych warunków technicznych i ekonomicznych, bowiem żadna inna forma organizacyjna oprócz suwerennego państwa nie była w stanie zagwarantować ludziom w równej mierze osobistego bezpieczeństwa i dobrobytu. Nie na próżno przecież obecnie monopol państwa ulega rozbiciu, gdyż cały szereg suwerennych państw nie jest już w stanie zagwarantować pokoju na świecie i osiągać sukces gospodarczy w pojedynkę. Dlatego potrzebne są najwyraźniej ponadnarodowe formy organizacyjne jak ONZ i UE, które jak dotychczas niestety doprawdy jeszcze nie sprostały wymaganiom.

W tym miejscu pozwalam sobie przypomnieć Schachtschneiderowi znane mu zapewne stanowisko Carla Schmitta z roku 1963, który jak mało kto z niemieckich specjalistów prawa państwowego nawiązywał do tradycji Jeana Bodina (1530–1596) i Thomasa Hobbesa (1588–1679). Napisał on tak:

Teraz nadchodzi zmierzch epoki państwowości. Na ten temat nie ma co już więcej dyskutować. Wraz końcem tej epoki przestanie istnieć cała nadbudowa pojęć dotyczących państwa, jaki przez ponad czterysta lat stworzyła

¹⁶² Tamże, s. 350n.

eurocentryczna myśl państwowa i prawnomiędzynarodowa. Zdjęte zostaje z cokołu państwo jako model politycznej jedności, jako nośnik najbardziej zdumiewających spośród wszystkich monopoli, czyli monopoli w zakresie podejmowania decyzji politycznych, będącego szczytowym osiągnięciem europejskiej formy i okcydentalnego racjonalizmu. Jednakże jego pojęcia będą zachowane, i to w dodatku jako pojęcia klasyczne. Wprawdzie słowo *klasyczny* brzmi dzisiaj dwuznacznie i ambiwalentnie, by nie powiedzieć: ironicznie¹⁶³.

Schmitt w ten sposób – powiedzmy to bardzo powściągliwie – pożegnał się z państwem jako jedyną strukturą polityczną, ale uczynił to w sposób honorowy. Na pytanie, co będzie potem, nie dał nam odpowiedzi. Musimy sami na nie odpowiedzieć.

Powołując się na Immanuela Kanta (1724–1804), Schachtschneider odrzucił powołanie centralnego „państwa świata” jako sposobu powolnego zbliżenia się do zabezpieczenia pokoju na świecie. Kant już ponad dwieście lat wcześniej na ten temat twierdził, iż prędzej czy później taki pokój będzie się jawił jako „bezduszny despotyzm”, który po wyrugowaniu zarodków dobra w końcu przerodzi się w anarchię¹⁶⁴. Schachtschneider zupełnie serio twierdzi, że zmierzająca w tym kierunku UE już bardzo daleko zaszła na drodze „zarówno do kapitalistycznego jak i socjalistycznego despotyzmu”¹⁶⁵. Sam zatem opowiada się za tym, co Kant nazwał drugim co do sensowności rozwiązaniem dla zabezpieczenia pokoju na świecie: za utworzeniem związku suwerennych państw, czegoś w rodzaju Ligi Narodów, która istniała w latach 1920–1946, a następnie przeobraziła się w ONZ. Rezultaty działalności tych organizacji, jak na razie, nie są zbyt pocieszające, jeżeli chodzi o udaremnianie wojen lub innych ekscesów suwerennych mocarstw; tak samo zresztą jak wszystkie inne ich nieudane poczynania nie obchodzą Schachtschneidera. Trzeciej możliwości mającej zaprowadzić pokój w myśl Kanta, czyli ograniczenia suwerenności państw, którą ten filozof nazwał „dziką wolnością”, aby zadowolili się „publicznymi ustawami przymusowymi” i podobnie „jak pojedynczy ludzie” także państwa zostały uwiązane na „smyczy” ustaw i prawa, w ogóle nie rozważył¹⁶⁶. A szkoda, bo może doszedłby do zupełnie nowych wniosków.

Na tę właśnie drogę ku zabezpieczeniu pokoju i dobrobytu narodów – moim zdaniem – wkroczone poprzez podział suwerenności na sfery polityki wewnętrznej i zewnętrznej, co jest w UE praktyką wprowadzoną po raz pierwszy w historii świata. Czy ten podział suwerenności się sprawdzi i czy będzie trwały, pokaże przyszłość. Podobnie jak w przeszłości państwowy monopol niepodzielnej suwerenności był najpierw uznawany, tak obecnie jest kwestionowany.

¹⁶³ Carl Schmitt, *Der Begriff des Politischen*, tekst z roku 1932 z przedśłowiem i trzema uzupełnieniami (z 1963 roku), Berlin 1963, s. 10.

¹⁶⁴ W ten sposób zacytowane przez Schachtschneidera według oryginału. Por. tamże, s. 162

¹⁶⁵ Tamże

¹⁶⁶ Por. Immanuel Kant, *Werke in zwölf Bänden*, hrsg. von Wilhelm Weischedel. Bd. XI. Frankfurt a. M. 1964, s. 212.

XIV. Johann Gottfried Herder – Orędownik różnorodności etniczno-kulturowej

Od razu przyznam, że jest rzeczą wręcz niemożliwą do określenia, jaki wkład wniósł Johannes Gottfried Herder w dzieło konstrukcji UE, lub do udowodnienia, jakim ten wkład mógłby być. Herder urodził się w 1744 r. w Morągu w Prusach Wschodnich, a zmarł w 1803 r. w Weimarze w Turyngii. Można zadać sobie trud i przeszukać pod tym kątem standardowe dzieła na jego temat, np. takich autorów jak Rudolf Haym¹⁶⁷, V.M. Schirmunski¹⁶⁸, Hans-Georg Gadamer¹⁶⁹, Jens Heise¹⁷⁰, Michael Zaremba¹⁷¹, Dietmar Willoweit i Janine Fehn¹⁷². Nie jestem też pewien, czy wypowiedź Benno von Wiese z 1939 r. jest jeszcze trafna; uczony ten twierdził, że „nie ma prawie innego takiego wielkiego Niemca, którego tak często wprawdzie się wymienia, ale który jest tak mało znany”¹⁷³. Dobrze jest natomiast wiedzieć, że Herder nie jest postacią całkiem obcą wśród etnologów¹⁷⁴; nawet literaturoznawcy, przykładowo w trzypięciotomowym dziele Wolfganga Proßa¹⁷⁵ i Ralpa Häfnera¹⁷⁶, z atencją odnoszą się do niego jako zasłużonego dla różnorodności kulturowej.

W kwestii etniczności Herder faktycznie ma coś zasadniczego, odkrywczego i aktualnego do powiedzenia, zarówno jeśli chodzi o narody zorganizowane w państwach jak i w regionach. Uczony ten przypisał im bowiem indywidualność i będące jej pochodną posiadanie własnej wartości, co ma konkretny wydźwięk polityczny, o ile ta myśl uzyskałaby powszechną akceptację. Jednakże takiej akceptacji

¹⁶⁷ Rudolf Haym, *Herder nach seinem Leben und seinen Werken*, dwa tomy, Berlin 1880/1885, nowe wydanie Osnabrück 1978.

¹⁶⁸ V.M. Schirmunski, *Johann Gottfried Herder – Hauptlinien seines Schaffens*, Berlin 1963.

¹⁶⁹ Hans-Georg Gadamer, *Johann Gottfried Herder – Auch eine Philosophie der Geschichte zur Bildung der Menschheit, mit einem Nachwort*, Frankfurt a. M. 1967.

¹⁷⁰ Jens Heise, *Johann Gottfried Herder – Zur Einführung*, Hamburg 1989, 2. wyd., Dresden 2006.

¹⁷¹ Michael Zaremba, *Johann Gottfried Herder – Prediger der Humanität*, Köln/Weimar/Wien 2002.

¹⁷² Dietmar Willoweit/ Janine Fehn (red.), *Johann Gottfried Herder – Staat, Nation, Humanität, Ausgewählte Texte*, Würzburg 2007.

¹⁷³ Benno von Wiese, *Herder – Grundzüge seines Weltbildes*, Leipzig 1939, s. 5.

¹⁷⁴ Por. Bernhard Streck (red.), *Wörterbuch der Ethnologie*, Köln 1987, passim; Walter Hirschberg (red.), *Ethnizität*, (w:) Walter Müller, *Neues Wörterbuch der Völkerkunde*, Berlin 1988, s. 126n.; oraz Walter Hirschberg (red.), *Ethnologie*, (w:) Hans Fischer, *Wörterbuch der Völkerkunde*, wyd. gruntownie przered. i rozsz., Berlin 1999, s. 105n. Ostatnio także: Frederik Barth (ed.) *Ethnic Groups and Boundaries – The Social Organization of Culture Difference*, London 1998; także Rogers Grubaker, *Ethnicity Without Groups*, Cambridge 2004.

¹⁷⁵ Por. *Sämtliche Nachworte*, (w:) Wolfgang Proß, *Johann Gottfried Herder, Werke*, t. I–III, München i Wien 2002.

¹⁷⁶ Ralph Häfner, *Johann Gottfried Herders Kulturentstehungslehre – Studien zu den Quellen und zur Methode seines Geschichtsdenkens*, Hamburg 1995, passim.

doczekały się jedynie narody posiadające własne państwa, nie zaś grupy etniczne, którym odmawiano przyznania statusu mniejszości wszędzie tam, gdzie występowały lub nadal występują. Powołując się na Herdera, można i należy w tym miejscu zgłosić swój sprzeciw wobec tego krzywdzącego i uzasadnianego względami taktycznymi postępowania względem narodowości, a zarazem wskazać na dotychczasowe i przyszłe dowartościowanie mniejszości etnicznych w UE.

Faktycznie w wielu państwach, zwłaszcza w państwach narodowych, nie dostrzegano i nadal nie widzi się potrzeby dowartościowania grup etnicznych. Wręcz przeciwnie. Pomniejszanie znaczenia grup etnicznych lub ich ukrywanie, a nawet ich likwidację uważano częstokroć za nadrzędną powinność państwa w imię racji stanu, bowiem argumentowano, że grupy etniczne przyczyniają się rzekomo do osłabienia narodu, a w najgorszym przypadku nawet do jego rozbitcia. Państwa narodowe przezornie praktykowały usuwanie takich grup z życia publicznego, czasami nawet przy użyciu siły, i z reguły nadal to czynią, zamiast dostrzegać w mniejszościach ubogacenie własnej tożsamości. Należałoby te mniejszości chronić, a w regionach, gdzie stanowią większość i chcą nawet się usamodzielnąć, powinno się pozwolić im pójść własną drogą.

Ta o pomstę do nieba wołająca krzywda, praktykowana w przeszłości ustawicznie w wielu krajach, nie cieszy się także obecnie uznaniem w krajach UE i w zasadzie jest zabroniona. Skoro w Traktacie Lizbońskim zapisane jest, że państwa mają prawo do opuszczenia UE pod warunkiem, że są do tego w sposób demokratyczny legitymizowane, to chyba tak samo istniejącym grupom etnicznym przysługiwać powinno prawo do bycia akceptowanymi i chronionymi przez to państwo, a nawet powinny mieć prawo do opuszczenia go, jeżeli większość tej mniejszości będzie się tego domagać. O tym przekona się prędzej czy później chyba cała UE. Z biegiem czasu Unia nie uniknie dowartościowania grup mniejszości etnicznych, a to z kolei przyczyni się do większej renomy całej Unii. Zdaję sobie oczywiście sprawę, że tego rodzaju podejście nie jest chętnie praktykowane we wszystkich państwach unijnych, ale jest – jak uważam – konsekwencją tego, o czym mówił Herder. Chciałbym to przedstawić bliżej w odniesieniu do UE. Proszę zatem Czytelników o trochę cierpliwości, by przekonali się, co z tego wyniknie. Przypuszczam, że będą nie tylko zaskoczeni, ale prawdopodobnie przyznają mi nawet rację.

Prawo grup etnicznych do samostanowienia

Za czasów Herdera myślenie w kategoriach państwa narodowego nie było w Europie jeszcze powszechne. Zgodnie z jego wyobrażeniem, „kształtowanie się postaw humanitarnych” człowieka, co uważał za „cel naszej egzystencji”¹⁷⁷, najlepiej mogło się rozwijać w przestrzeni otaczającego go świata kultury bliższych stron rodzinnych, a był nim dla Herdera pejzaż znany z czasów dzieciństwa i byli nim ludzie spokrewnieni z nim za pomocą języka. Mówi on o kulturach społeczności etnicznych jako o „pąkach” humanitaryzmu, do których rozkwitu należy się przyczyniać

¹⁷⁷ Por. *Johann Gottfried Herder, Sämtliche Werke*, pod red. Bernharda Suphana, t. XIII, Hildesheim 1967, s. 189. W dalszej części używam skrótu JGH.

i je rozwijać¹⁷⁸. To, że Herder nie był nacionalistą w dzisiejszym rozumieniu tego słowa, ale traktował wszystkie narody, nie tylko takie, które były zorganizowane w formie państwa, na równi, pokazuje notatka, która się po nim zachowała:

Co to jest naród? Jest to wielki, nieuporządkowany ogród pełen roślin i chwastów. Kto miałby zając się tym zbiorowiskiem głupot i błędów oraz zalet i cnót bez ich wartościowania, a jeżeli istnieje czyste mniemanie o siłach ducha lub zasługach, to czy mamy kruszyć kopię o Dulcynę (naszą przyjaciółkę, H.W.)? Pozwólcie nam, w miarę możliwości, przyczynić się do chwały narodu, której chcemy także bronić, gdzie dzieje się jej krzywda, sławić ją zaś *ex professo* uważam za samochwałę bez znaczenia¹⁷⁹.

Wiadomo, że Herder w swoim czasie wypowiadał się przeciwko paternalistycznemu traktowaniu Bałtów i Słowian przez narody wywodzące się ze „szczepu niemieckiego”. W tym kontekście sformułował następujący, bardzo wymowny zarzut:

Skoro bowiem nigdy nie dążyli (Bałtowie i Słowianie, H.W.) do panowania nad światem i nigdy nie było wśród nich dziedziczących władzę książąt żądnych wojen i woleli płacić daninę, jeśli tylko pozwolono im żyć w spokoju w swoim kraju, to wiele narodów – najwięcej zaś ze szczepu niemieckiego – dopuściło się wobec nich ciężkich przewinień¹⁸⁰.

Te rozważania uzupełnił Herder z górą 235 lat temu następującymi pocieszającymi słowami w swoim obszernym dziele pt. *Myśli o dziejach ludzkości*:

Koło wszystko zmieniającego się czasu obraca się jednak niepowstrzymanie. A ponieważ narody te zamieszkują w większości najpiękniejszy obszar w Europie, gdyby był w całości uprawiony i udostępniony dla handlu; i ponieważ nie można też sobie wyobrazić tego inaczej, że ustawodawstwo i polityka w Europie sprzyjać muszą i sprzyjać będą w coraz większym stopniu nie duchowi wojennemu, ale cichej pracy i pokojowym stosunkom handlowym między narodami, więc i wy, ludy obecnie tak głęboko poniżone, a niedyś pracowite i szczęśliwe, wreszcie obudzone z długiego, ciężkiego snu, uwolniwszy się z łańcuchów niewoli, będziecie mogły korzystać ze swej własności – z waszych pięknych obszarów od Morza Adriatyckiego po Karpaty, od Donu do Muldy i wolno wam będzie obchodzić tam wasze dawne święta spokojnej pracy i handlu¹⁸¹.

¹⁷⁸ Tamże, s. 192.

¹⁷⁹ Por. *Briefe zur Beförderung der Humanität*, Sammlung, 42. Brief, (in:) *Johann Gottfried Herder, Sämtliche Werke*, (SWS) hrsg. von Bernhard Suphan, t. XVII, s. 211, Berlin 1877.

¹⁸⁰ Por. JGH, t. XIII, s. 192.

¹⁸¹ Tamże, s. 279n.

Tadeusz Namowicz, germanista z Warszawy, skomentował w 1972 r. wywody Herdera w następujący sposób:

Jeżeli poszukiwalibyśmy kompleksowej formuły dla recepcji myśli Herdera na obszarze słowiańszczyzny wschodnioeuropejskiej, to można by ją w zasadzie nazwać «ideą narodową»¹⁸².

Jednak od razu dodał, iż ustalona recepcja myśli Herdera w Europie Wschodniej nie zawsze pokrywała się z oryginałem, lecz często była przez odbiorców „błędnie interpretowana albo umyślnie przeinaczana”. Sposób „odczytywania Herdera w Europie Wschodniej”, jak stwierdził:

Świadczy o nader wymownym, wręcz klasycznym przykładzie niezrozumienia intencji Herdera. Jego główne myśli nigdy nie zostały przyjęte do wiadomości w sposób kompleksowy¹⁸³.

To, co Herder swego czasu krytykował, czyli zalew elementami obcymi i tłumienie innych kultur, w niektórych państwach europejskich jest do dzisiaj praktykowane. Mniejszości etniczne żyjące we wszystkich krajach w najlepszym przypadku są tolerowane. Oczekuje się, by jak najszybciej się asymilowały. To właściwie okrutne postępowanie zmierzające do przymusowego wyzbycia się własnej tożsamości kulturowej jest żądaniem wysuwany bądź to z lęku przed własną słabością, bądź też w interesie integracji ekonomicznej. Dzieje się tak nadal w niektórych państwach UE, mimo iż akurat w nich nie ma do tego już tak naprawdę podstaw, gdyż istnienie tych państw z jednej strony jest bezpieczne, a z drugiej strony zgodnie z konstytucją jest nawet ich powinnością dążyć do zapewnienia sobie ze strony mniejszości etnicznych ich przychylności.

O osłabieniu bądź egzystencjalnym zagrożeniu dominujących społeczności etnicznych przez stosunkowo małe liczebnie grupy w ramach UE nie może być mowy, gdyż państwa członkowskie mogą być pewne swego istnienia „jak u Pana Boga za piecem”, w każdym razie nie są narażone na zagrożenia zewnętrzne. A jeżeli chodzi o integrację mniejszości ze względów ekonomicznych, to wcale nie jest przecież powiedziane, że w tym celu należy zrezygnować z własnej tożsamości kulturowej. Odmienna rzeczywistość kulturowa może się w sposób pozytywny przyczynić do wzrastającej międzynarodowej współpracy. Krótko mówiąc, wspomniane dwa argumenty przemawiające rzekomo za rezygnacją z tożsamości kulturowej, a odniesione do państw członkowskich UE, nie są przekonujące i straciły rację bytu. Mniejszości nie zagrażają istnieniu państw i nie wpływają ujemnie na gospodarkę z powodu rzekomego uchylania się od integracji.

¹⁸² Por. Tadeusz Namowicz, *Herder und die slawisch – osteuropäische Kultur*, (w:) Martin Bollacher (red.), *Johann Gottfried Herder – Geschichte und Kultur*, Würzburg 1974, s. 345, 355 i 354.

¹⁸³ Tamże.

Wydaje mi się, że takie obawy i postulaty są przede wszystkim wynikiem prądowych, instynktowych reakcji. Aby je zniwelować i zastąpić nowymi doświadczeniami, na to potrzeba dużo czasu. Reakcje te pokazują ponadto, do jakiego stopnia życie ludzi w państwach suwerennych i ze sobą rywalizujących było zawsze nacechowane obawami. Unaoczniają one także, w jak dużym stopniu własne życie i dobro w przeszłości było zależne od zagrożenia egzystencji człowieka i własnego kraju. Tak to przynajmniej odczuwali ludzie. Związanie własnego losu z państwem tłumaczy, dlaczego w przeszłości oczywistością, a wręcz honorem było poświęcenie swego życia dla „Narodu i Ojczyzny” – jak to miało miejsce w obu wojnach światowych, w których zginęły miliony ludzi. Te czasy już bezpowrotnie minęły, gdyż nie ma w Europie państwa, którego istnienie byłoby zależne tylko od jego własnych sił, istnienie państw zagwarantowane jest przez wspólnoty, do których należą, w każdym razie, dopóki ich istnienie nie jest zagrożone.

Uwzględniając to wszystko, istnienie innych grup etnicznych w ramach społeczności własnej nabiera zupełnie innego znaczenia. Nie są one już postrzegane jako zagrożenie, ale jako ubogacenie. Bo przecież wymiana kulturalna służy rozwojowi kultury własnego kraju, dodaje bodźców, by taka kultura nie skostniała i nie obumarła. To dotyczy nie tylko tak zwanych „kultur światowych”, ale również „mniejszości kulturowych”. Ich uciskanie szkodzi rozwojowi własnej kultury, a poddawanie się wpływom innych kultur służy przecież wszystkim, z czego wynikają konkretne korzyści.

Pozytywne reakcje na inne języki i kultury nie powinny być czymś właściwym tylko w czasach „normalnych”, ale także i przede wszystkim w fazach „wielokulturowych”, w których okresowo dochodzi do większego napływu ludzi z innych kultur. W takich sytuacjach stabilność i żywotność różnorodnych kultur z natury rzeczy nabiera dużego znaczenia, przede wszystkim po to, by zapobiec zagrożeniom z powodu nadmiernego napływu ludzi z zewnątrz oraz by wyjść z takich konfrontacji nie osłabionym, lecz umocnionym, gdyż leży to również w interesie przybyszów z innych krajów.

Formy samodzielności etnicznej

Jakie są perspektywy mniejszości etnicznych, istniejących praktycznie we wszystkich państwach członkowskich UE, zakładając, iż związek suwerennych państw w postaci Unii Europejskiej będzie dalej istniał i się rozwijał? Przedstawię tutaj w sposób bardzo zwięzły plusey i minusy, na jakie muszą być przygotowane mniejszości etniczne oraz grupy cudzoziemców w UE. Po pierwsze, a jest to minimum, mogą oczekiwać ochrony i pomocy państwa, którego są obywatelami przy założeniu, że z uwagi na swoją inność nie będą narażeni na żadną dyskryminację ze strony czynników oficjalnych. Po drugie, jako obywatelom pozostającym nadal obcokrajowcami przysługują im, niezależnie czy pochodzą z kraju unijnego lub z zagranicy, te same prawa jak wszystkim innym obywatelom, oprócz prawa głosowania w wyborach; po trzecie – powinno im przysługiwać prawo zrzeszania się we własnych organizacjach, a to powinno być zagwarantowane konstytucyjnie w krajach, gdzie tego jeszcze nie ma; po czwarte zakładam, że należy stworzyć

warunki, może nawet zobowiązać czynniki oficjalne, do dopasowania ograniczeń administracyjnych do uwarunkowań etnicznych; po piąte – należałoby stworzyć w UE konstytucyjne możliwości, by pod określonymi warunkami mniejszości etniczne mogły opuścić państwo, w którym żyją celem utworzenia własnego państwa albo dołączenia się do innego państwa, tak jak do tego dążą obecnie Katalończycy i Szkoci.

Są to w mojej ocenie uregulowania, do jakich UE powinna dążyć i na jakie może sobie pozwolić dla własnego pożytku, mając na uwadze mniejszości etniczne. UE stała by się tym samym przykładem dla innych ze sobą powiązanych grup państw. UE utworzyłaby przestrzeń dla równouprawnienia różnych społeczności etnicznych w trojaki sposób: po pierwsze – poprzez ich zrównanie w prawach obywateli państwa posiadających kulturową odrębność; po drugie – poprzez zgodę na posiadanie własnych organizacji społecznych, z dostosowaną do nich lokalną i regionalną administracją państwową; po trzecie – zapewniając im możliwość utworzenia własnego państwa. Byłoby to w duchu odpowiadającym myśli i woli Herdera oraz humanitaryzmu. Byłby to także trudny do przebicia wielki atut UE: chodzi o konstytucyjną ochronę i promocję różnorodności kulturowej, dla istnienia której zachowanie odrębnych kultur jest warunkiem niezbędnym.

Prowadząc badania nad dorobkiem Herdera i ich interpretacjami, natrafiłem również na jedną z nich, której nie chciałbym pozostawić bez komentarza, tym bardziej, że związana jest z zabawną pointą. Chodzi o sir Isaiaha Berlina, urodzonego w 1909 r. w Rydze, a zmarłego w 1997 r. w Oksfordzie, który był historykiem idei i w 1957 r. otrzymał od angielskiej królowej tytuł szlachecki. On to bez żenady z jednej strony uczynił Herdera ojcem-założycielem „nacjonalizmu”, a z drugiej, jak się wyraził Samson B. Knoll, w dodatku uczynił z „Prus Wschodnich kolebkę niemieckiego nacjonalizmu”, jeśli nie „niemieckiego faszyzmu”¹⁸⁴.

Jak wynika z przytoczonego w poniższym przypisie obszerniejszego cytatu z Berlina, po prostu odwrócił kota ogonem. To nie we Francji ujawnił się nacjonalizm w toku Rewolucji Francuskiej z 1789 r., jak to się zwykle zakłada, lecz jego odkrywcą był po prostu Herder reagujący na zachowania Francuzów¹⁸⁵. Tyle wątpliwego splendoru Herder jeszcze od nikogo nie zaznał. Nikt też nie wpadł przedtem

¹⁸⁴ Por. Samson B. Knoll, *Herders Nationalismus – Debatte ohne Ende*, (w:) Regine Otto, *Nationen und Kulturen – Zum 250. Geburtstag Johann Gottfried Herders*, Würzburg 1996, s. 243.

¹⁸⁵ Oto słowa Isaiaha Berlina: „Niemiecka miłość własna nie została nigdzie bardziej zraniona niż na obszarze jeszcze półfeudalnych i przywiązanych głęboko do tradycji Prus Wschodnich, nigdzie indziej nie było takiego uprzedzenia wobec polityki modernizacyjnej Fryderyka Wielkiego z jego importowanymi francuskimi urzędnikami, którzy jego prostych i zacofanych poddanych traktowali z otwartą niechęcią. Dlatego nie dziwi to, że najbardziej utalentowani i wrażliwi synowie tej prowincji jak Hamann, Herder i Kant z wielką emocją stali w opozycji wobec niwelujących poczynań tych moralnie ślepych implementatorów obcych metod na gruncie opartej na pobożności, ukierunkowanej ku wnętrzu kultury. Niemcy powinni odnaleźć samych siebie, zamiast naśladować albo małpować obcych, którzy nie czuli wewnętrznej więzi z ich prawdziwą istotą, ich wspomnieniami oraz ich sposobem życia [...]. To jest początek nacjonalizmu”. Źródło: tamże, s. 243.

na pomysł, by tereny Prus Wschodnich powiązać z powstaniem nacjonalizmu i faszyzmu. Bóg raczej wiedzieć, dlaczego Isaiah Berlin na to wpadł.

Prawdą jest natomiast to, że Herder był pierwszym albo przynajmniej jednym z pierwszych, którzy postanowili dowartościować społeczności etniczne rozumiane jako narody i przyznał im posiadanie własnej kultury rozumianej jako misja. Natomiast Herder przez całe swoje życie daleki był od pojmowania mniejszości w sposób polityczny jako grupy dążące do posiadania państwa oraz od absolutyzowania własnego narodu, tak jak to czynili i nadal czynią nacjonaści po Rewolucji Francuskiej z 1789 r. Isaiah Berlin tutaj chyba pomylił trochę pojęcia. Dla uratowania honoru Herdera należy to wyraźnie powiedzieć.

Różnorodność osobistych tożsamości

Jeżeli chodzi o UE jako „związek suwerennych państw”, to chciałbym tutaj przypomnieć o jej konstytucyjnej powinności wobec mniejszości etnicznych, a następnie wyłuszczyć, że taka organizacja jak UE, działająca na zasadzie subsydiarności, z uwagi na swą organizacyjną strukturę musi uwzględniać kryteria etniczne.

Obecna konstytucja Unii Europejskiej, to znaczy Traktat Lizboński, w dwóch miejscach wyraźnie odnosi się do spraw „mniejszości” i do kwestii „rozwoju kultur”. Traktat Lizboński o Unii Europejskiej z dnia 7 lutego 1992 r. w tytule I „Postanowienia wspólne” mówi o wartościach Unii w sposób następujący:

Unia opiera się na wartościach poszanowania godności osoby ludzkiej, wolności, demokracji, równości, państwa prawnego, jak również poszanowania praw człowieka, w tym praw osób należących do mniejszości¹⁸⁶.

Według mojej wiedzy jest to jedyna konstytucja na świecie, w której mowa jest wyraźnie o prawach „mniejszości”.

W tym samym czasie wszedł w życie Traktat o funkcjonowaniu Unii Europejskiej, gdzie w art. 167 pod tytułem „Kultura” mowa jest o „rozkwicie kultur i wspólnym dziedzictwie kulturowym”. Jestem zdania, że warto te postanowienia przytoczyć tutaj w całości:

1. Unia przyczynia się do rozkwitu kultur Państw Członkowskich, w poszanowaniu ich różnorodności narodowej i regionalnej, równocześnie podkreślając znaczenie wspólnego dziedzictwa kulturowego.
2. Działanie Unii zmierza do zachęcania do współpracy między Państwami Członkowskimi oraz, jeśli to niezbędne, do wspierania i uzupełniania ich działań w następujących dziedzinach:
 - pogłębiania wiedzy oraz upowszechniania kultury i historii narodów europejskich,

¹⁸⁶ Por. Rolf Schwartmann (red.), *Der Vertrag von Lissabon*, Stand: Februar 2011, 4. überarbeitete Aufl., Heidelberg u.a. 2011, s. 4n. Wersja polska dostępna jest pod adresem http://oide.sejm.gov.pl/oide/index.php?option=com_content&view=article&id=14803&Itemid=945 (przyp. red.).

- zachowania i ochrony dziedzictwa kulturowego o znaczeniu europejskim,
 - niehandlowej wymiany kulturalnej,
 - twórczości artystycznej i literackiej, włącznie z sektorem audiowizualnym.
3. Unia i Państwa Członkowskie sprzyjają współpracy z państwami trzecimi oraz z organizacjami międzynarodowymi właściwymi w dziedzinie kultury, zwłaszcza z Radą Europy.
 4. Unia uwzględnia aspekty kulturalne w swoim działaniu na podstawie innych postanowień Traktatów, zwłaszcza w celu poszanowania i popierania różnorodności jej kultur.
 5. Aby przyczynić się do osiągnięcia celów określonych w niniejszym artykule:
 - Parlament Europejski i Rada, stanowiąc zgodnie ze zwykłą procedurą ustawodawczą i po konsultacji z Komitetem Regionów, przyjmują środki zachęcające, z wyłączeniem jakiegokolwiek harmonizacji przepisów ustawowych i wykonawczych Państw Członkowskich,
 - Rada wydaje zalecenia na wniosek Komisji.¹⁸⁷

Abstrahując od tego, że mowa jest tutaj o „rozkwicie kultur”, co w znacznym stopniu przypomina nam słownictwo Johanna Gottfrieda Herdera z wieku XVIII i w uszach Niemców brzmi znajomo, należy podkreślić, iż w tym konstytucyjnym dokumencie zawsze mówi się o kulturze w liczbie mnogiej, o jej różnorodności. Oznacza to, że pojmuje się w UE europejską kulturę jako „kultury narodowe i regionalne”, które w swej różnorodności podlegają ochronie i są wspierane. Takie podejście powinno oddziaływać niezwykle uspakajająco na mniejszości, gdyby nie było oczywiste.

Jeżeli natomiast chodzi o struktury administracyjne poszczególnych państw członkowskich, to należy wskazać, że sposoby funkcjonowania tych struktur leżą naturalnie w gestii samych członków i nie są uzależnione od jakichś wymogów. Uważam, że w interesie państw leży uwzględnianie w ich wewnętrznym podziale także warunków regionalnych i w razie potrzeby także etnicznych. Jest to zresztą nie tylko sprawą członków UE, która w swej konstytucji powołuje się na zasadę subsydiarności, ale to samo cechuje Konfederację Szwajcarską, która w swym podziale na kantony, uwzględniającym zamieszkujące w nich grupy etniczne, ma dobre doświadczenia nie tylko w zakresie harmonii kulturalnej, ale także w swej spójności politycznej.

Uwzględnianie różnic regionalnych i etnicznych sprzyja także „różnorodności tożsamości osobistej”, co w przypadku UE oceniam jako rzecz normalną, tj. okoliczność, że obywatele UE podtrzymują i pielęgnują tylko jedną tożsamość narodową, ale czynią to równocześnie z większą liczbą identyfikacji.

Mam tu na myśli choćby Republikę Federalną Niemiec, gdzie występują przynajmniej cztery rodzaje identyfikacji: l o k a l n a , związana z konkretną gminą lub miastem; r e g i o n a l n a , dotycząca kraju związkowego lub regionu; n a r o d o w a wynikająca z przynależności państwowej; e u r o p e j s k a , czyli utożsamianie się z UE. Uważam za sprawę zupełnie normalną, że ktoś posiada kilka

¹⁸⁷ Tamże, s. 78. Tekst polski dostępny jest pod adresem http://oide.sejm.gov.pl/oide/index.php?option=com_content&view=article&id=14804&Itemid=946 (przyp. red.).

identyfikacji, nawet jeżeli ich stopień i intensywność są różne. Zależne to jest od okoliczności i horyzontu obywateli UE. Jednakże żadnej z identyfikacji nie powinno się zaniedbywać bądź marginalizować. To psuje nie tylko klimat polityczny w UE, ale powodowałoby zubożenie kulturowe obywateli, gdyż nie mogliby zrozumieć, co UE im oferuje i z czego mogą korzystać.

Jestem zdania, że tego rodzaju wielorakie „uziemienie”, nawet jeżeli nie jest dokonywane w sposób świadomy, daje jednostce więcej siły i większe oparcie aniżeli tylko pojedyncze, ale przede wszystkim jest w naszych czasach czymś rozsądniejszym. Tego rodzaju zakorzenienie sięga ponad to, co mogą nam zapewnić małżeństwo, rodzina czy przyjaźnie, bo zapobiega osamotnieniu i jego następstwom. Myślę, że taka „sieć” powiązań odpowiada podejściu Herdera, który przecież zawsze akcentował indywidualność kultury, a „rozwój człowieczeństwa” uważał zawsze za sprawę wspólnoty, przy czym grupom etnicznym, to znaczy „narodom jak i grupom narodów”, przypisywał szczególną rolę. Przypomnienie o tym i przedstawienie UE jako „wzorcowego kraju”, w którym urzeczywistniono jego wskazania, bądź też stara się je zrealizować, było tu moją intencją.

XV. Immanuel Kant – Prekursor Unii Europejskiej

Na Immanuela Kanta (1724–1804) i jego rozprawę wydaną w 1795 r. pt. *O wiecznym pokoju* powoływano się dawniej przede wszystkim wtedy, gdy po jakiejś zgrubnej w skutkach wojnie chodziło o podjęcie działań zapobiegających ponownym zdarzeniom tego rodzaju. Miało to miejsce po I wojnie światowej, kiedy w 1920 r. utworzono Ligę Narodów; podobnie było po II wojnie światowej w 1945 r., gdy w miejsce Ligi Narodów powstała Organizacja Narodów Zjednoczonych. Fakt, iż wpływ Kanta na powstanie obydwu organizacji był znaczny, jest sprawą dość znaną. Dlatego w tym miejscu chcemy to tylko odnotować dla porządku. Przy okazji nie omieszkam zwrócić uwagi na to, że sam Kant, na którego chętnie powoływano się przy zakładaniu obu organizacji, nie wykluczał, iż mimo istnienia takich instytucji może dojść między jej członkami do wybuchu, jak się wyraził, „wrogich skłonności” człowieka unikającego prawa¹⁸⁸.

Natomiast prawie nic nie wiemy o tym, co by Kant miał mieć wspólnego z powstaniem w 1952 r. Unii Europejskiej, gdy przyjrzymy się jej genezie. O ile mi wiadomo, dotychczasowa literatura na ten temat milczy. Ja sam dowiedziałem się dopiero 22 kwietnia 2013 r. o tym, iż Kant prawdopodobnie ma coś wspólnego z UE. Przy grobowcu Kanta obok katedry w Królewcu, dzisiejszym Kaliningradzie, profesor Leonid Kalinnikow wypowiedział następujące słowa po rosyjsku, a w dodatku tak cicho, że usłyszeli je tylko ci, którzy stali bardzo blisko: „Nasz Kant jest praprzodkiem Unii Europejskiej”. Byłem tym do tego stopnia zaskoczony, że nie zapytałem go od razu, co miał na myśli, a potem też jakoś nie miałem okazji dowiedzieć się, jakiego rodzaju poszlaki mogą na to wskazywać, iż Kant w swoich przemyśleniach już przewidział to, co miało się wydarzyć ponad sto pięćdziesiąt lat później, 9 maja 1950 r., pięć lat po zakończeniu II wojny światowej. Wtedy bowiem Robert Schuman (1886–1963) zaapelował o utworzenie przez sześć zachodnioeuropejskich państw Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, co dwa lata później, 24 lipca 1952 r., stało się faktem. Ta Wspólnota stała się fundamentem, na którym 7 lutego 1992 r. na podstawie Traktatu z Maastricht została założona Unia Europejska, do której obecnie należy 28 państw.

Od tamtego pamiętnego dnia, kiedy to profesor Kalinnikow obok katedry w Królewcu wypowiedział słowa o związkach Kanta z Unią Europejską, ta idea nieustannie chodziła mi po głowie. Raz po raz wracałem myślami do tamtej chwili. Z nikim o tym nie rozmawiałem, prócz z moim przyjacielem, panem Eugeniuszem Tokarzewskim z mojego rodzinnego miasta Kętrzyna, któremu się w tej sprawie zwierzyłem. Tokarzewski jako znakomity historyk, który swego czasu był dyrektorem dzisiejszego liceum, do którego i ja kiedyś uczęszczałem, kiedy ta szkoła za czasów niemieckich jeszcze nazywała się Herzog-Albrecht-Gymnasium, w sprytny sposób mnie podszedł i spowodował, bym się tym zagadnieniem zajął i wygłosił na ten temat odczyt w Kętrzynie. I tak doszło do tego, że w moim rodzinnym mieście, odległym o sto kilometrów od Kaliningradu, po raz pierwszy ogłosiłem to, co udało mi się odkryć na temat stosunku Kanta do UE.

¹⁸⁸ Immanuel Kant, *O wiecznym pokoju*, Wrocław 1995, s. 48.

Kant i Liga Narodów z roku 1919

Myślę, iż należy najpierw wyjaśnić, w jaki sposób królewiecki filozof wpadł na pomysł Ligi Narodów i co o niej sądził, zanim w sposób bardzo krótki opowiem jej historię, a także następczyni tej instytucji, czyli Organizacji Narodów Zjednoczonych. Na wstępie od razu zaznaczę, że w obydwu przypadkach chodzi o „związeki suwerennych państw”, natomiast UE w moim rozumieniu nie jest żadnym państwem.

Jest faktem, że Kant w swojej małej rozprawie pt. *O wiecznym pokoju* użył określenia Liga Narodów; miał przy tym na myśli „ligę pokojową”, to znaczy *foedus pacificum* – jak to nazwał po łacinie¹⁸⁹. Oczywiście jest kwestią bardzo wątpliwą, by Kant miał wtedy na myśli to, co później stało się faktem w postaci Ligi Narodów. Przeciwno temu określeniu przemawia to, co Kant dopiero dwie strony dalej nazwał „namiastką” bądź drugim w kolejności najlepszym rozwiązaniem. Po „idei światowej republiki” obiecywał sobie, iż tylko ona zapewniłaby „zakończenie wszelkich wojen na zawsze”¹⁹⁰. Ale jeżeli to była jego oryginalna idea, to jest ona antycypacją tego, co prof. Paul Kirchhof zadeklarował później jako „związek powiązanych państw” i co w 1992 r. użyte zostało przez Federalny Trybunał Konstytucyjny jako pojęcie służące określeniu UE¹⁹¹. Ponieważ pojęcie to jest nieprzetłumaczalne, używam z reguły innego: unii państw.

Tym, co skłoniło Kanta do zajęcia się we wspomnianej rozprawie nie „pozytywną ideą światowej republiki”, lecz jej surogatem, czyli „ligą narodów”, było – jak sam powiedział – to, że brak było swego czasu politycznej organizacji, która by była w stanie zapewnić pokój taki, jaki sobie wyobrażał¹⁹². Dopiero obecnie, po założeniu UE, mamy sposobność zająć się jego „pozytywną ideą” i jesteśmy w stanie nadać jej konkretny kształt. Zajmę się tym później. W tej chwili chciałbym wyjaśnić, co Kant rozumiał pod pojęciem „namiastki”, czyli ligi narodów, o której wyraźnie powiedział, że wprawdzie jest w stanie „udaremnić” wojnę i „zatrzymać strumień wrogich skłonności”, ale mimo wszystko trzeba będzie stale liczyć się z „wybuchem” konfliktów zbrojnych.

Kantowska namiastka – Liga Narodów

Tym niebagatelnym zastrzeżeniem Kant faktycznie proponuje uczynić z konieczności cnotę, to znaczy utworzyć związek państw nazwany „ligą narodów”¹⁹³. Przepuszczalnie wiązał z tym nadzieję, że przyczyni się ona do utrzymania pokoju, ale jednocześnie nie wykluczał, iż jej członkowie w dalszym ciągu będą korzystać z „dzikiej wolności”, ponieważ nie będą zmuszani do przestrzegania reguł zabezpieczających i gwarantujących pokój.

¹⁸⁹ Por. tamże, s. 46n.

¹⁹⁰ Por. tamże, s. 47n.

¹⁹¹ Por. BverfGE 89, 155 z dnia 12 października 1993, Az: 2 BvR 2134, 2159/92.

¹⁹² Por. tamże, s. 48.

¹⁹³ Por. tamże.

Argumentacja Kanta jest prosta i moim zdaniem przekonująca. Powiada on, że państwa powołują się obecnie na prawo międzynarodowe, według którego są suwerenne i wcale nie mają zamiaru komukolwiek się podporządkować, w tym także decyzjom Ligi Narodów. Dopóki ta reguła prawa międzynarodowego będzie obowiązywać i będzie przestrzegana, nie można wykluczyć, że państwa mimo to na własną rękę będą wszczynać między sobą wojny. W przeciwieństwie do głośnych wypowiedzi apologetów Ligi Narodów, Kant widocznie zdawał sobie sprawę, że w przypadku tego rodzaju aliansów chodzić może tylko o „zabezpieczenia doraźne”, które bynajmniej nie wykluczają konfliktów zbrojnych. Takim sposobem nie można uniknąć tego, co zresztą miało miejsce, iż należące do tych sojuszy państwa staną się obiektem gry wielkich mocarstw albo będą skazane na bezczynność lub przyglądanie się faktom dokonany. Kant uważał, że w obliczu takich okoliczności takie zbliżanie się do warunków stałego pokoju w każdym razie jest lepsze niż bezczynność. W ten sposób można zbliżyć się przynajmniej troszeczkę do stanu „wiecznego pokoju”.

Powołując się na Kanta, wypada także od razu wyjaśnić jeszcze jedno dość powszechne nieporozumienie, a mianowicie to, co Kant miał na myśli, mówiąc o „państwie światowym”, w którego gestii znalazłaby się wszelka władza. Tu i ówdzie do dzisiaj słyzy się, że takie państwo byłoby w stanie w sposób najprostszy i najbezpieczniejszy udaremnić po wszystkie czasy wszelkiego rodzaju konflikty zbrojne. Przypatrzmy się temu, co Kant powiedział o tym około dwustu lat temu:

Idea prawa narodu zakłada *wyodrębnienie* z siebie wielu niezależnych sąsiadujących ze sobą państw; choć taki stan rzeczy zakłada sam w sobie już stan wojen (jeżeli federacyjne zjednoczenie nie zapobiegnie wybuchowi wzajemnej wrogości), rozum przedkłada tego rodzaju współistnienie państw nad stopień się tychże w przerastające inne, potężne mocarstwo, które stać się może powszechną monarchią; ponieważ ustawy zazwyczaj tracą tyle na skuteczności, ile zyskują rządy na poszerzeniu granic swego kraju, a bezduszny despotyzm po wyniszczeniu zarodków dobrego popada w końcu w anarchię¹⁹⁴.

Spokój i bezpieczeństwo zapewnione przez takie „państwo świata” Kant na kolejnej stronie swoich wywodów porównał do „cmentarza wolności”¹⁹⁵.

Królewiecki myśliciel odrzucił także trzecią opinię, o której często słyzy, iż „tak zwana równowaga sił mocarstw Europy” rzekomo przyczyni się do zabezpieczenia „trwałości powszechnego pokoju”. Uczony odniósł się do tego pomysłu w następującym krótkim komentarzu: taka rozrywka umysłowa jest porównywalna do „domu Swifta, który wniósł budowniczy dokładnie według prawideł równowagi, ale gdy na nim usiadł wróbel, to się zapadł”. Tutaj „chodzi o czyste urojenie”, które nic nie jest warte w praktyce. Pokój – według Kanta – nie jest osiągalny za pomocą innego środka niż przez „prawo międzynarodowe oparte na jawnych ustawach ustanowionych przez władzę, którym każde państwo musiałoby się

¹⁹⁴ Por. tamże, s. 60.

¹⁹⁵ Por. tamże, s. 61.

podporządkować¹⁹⁶. Czy i w jaki sposób mogłoby dojść do realizacji Kantowskiego „wiecznego pokoju”, zdradzę w drugiej części moich rozważań.

Z historii Ligi Narodów i Organizacji Narodów Zjednoczonych

Zaprezentowanie całej historii obu tych organizacji w tym kontekście nie należy do moich zadań. Chciałbym jednak wskazać na jeden z jej aspektów, a mianowicie na to, dlaczego obydwie z uwagi na swą formę organizacyjną nie były i nie są w stanie spełnić wiązań z nimi oczekiwania.

Niemiecki historyk Alfred Pfeil, były profesor na Uniwersytecie w Marburgu, w 1976 r. w niewielkiej publikacji pt. *Liga Narodów* zwrócił uwagę na następujące okoliczności:

Niemiecka nazwa *Völkerbund* jest nieodpowiednia, gdyż w przypadku tej genewskiej organizacji wcale nie chodzi o *Bund* (czyli związek), a już na pewno nie o *Bund der Völker* (czyli związek narodów); chodzi tutaj natomiast o zwykłą międzyrządową instytucję¹⁹⁷.

To spostrzeżenie uważam za ważne, gdyż rozwiewa ono pewien mit o Lidze Narodów, jaki jej został mimo woli przypisany; instytucja ta otrzymuje właściwą jej pierwotną rangę, to znaczy należną jej pozycję prawną w całym szeregu innych międzyrządowych instytucji, których jest ogromnie dużo. Do tej interpretacji na pewno przyłączyły się bez namysłu również Kant.

Poza tym czytamy u Pfeila:

Liga Narodów była w dziejach stosunków międzynarodowych w tym sensie pewnym novum, że stanowiła pierwszą próbą wspierania pokojowej współpracy między narodami o jasno określonych statutowych prawach i obowiązkach oraz podejmowała skuteczne działania na rzecz zapewnienia bezpieczeństwa zbiorowego. Liga mogła powołać się z jednej strony na takich ideowych prekursorów jak Rousseau i Kant, a z drugiej strony rozwinąć działania na rzecz współpracy międzynarodowej, która już w wieku XIX przybrała formę tzw. koncertu europejskiego i wyłoniła szereg «technicznych» związków realizujących określone cele¹⁹⁸.

Należy do tego tylko jeszcze dodać to, co autor stwierdził na temat skuteczności Ligi Narodów. Jako wytrawny historyk doszedł do następującej konkluzji: „Bilans to blaski i cienie, sukcesy i niepowodzenia, dlatego ciężko jest orzec, co w końcu

¹⁹⁶ Por. Immanuel Kant, *Über den Gemeinspruch: Das mag in der Theorie richtig sein, taugt aber nicht für die Praxis*, (w:) tegoż autora, *Theorie-Werkausgabe*, Bd. XI, tamże, s. 171n.

¹⁹⁷ Alfred Pfeil, *Der Völkerbund – Literaturbericht und kritische Darstellung seiner Geschichte*, Darmstadt 1976, s. 1.

¹⁹⁸ Tamże.

ma przewagę”¹⁹⁹. Za to skorzystał z wypowiedzi angielskiego historyka F.P. Waltersa²⁰⁰, który sformułował to, czego sam widocznie nie miał odwagi powiedzieć. Krótko i zwięźle powiedział: „The League of Nations... met with failure and defeat”²⁰¹. Niestety obydwaj historycy nie skorzystali z możliwości wytłumaczenia, dlaczego działalność Ligi Narodów się nie powiodła. Moim zdaniem przyczyn niepowodzenia należy się doszukiwać po prostu w strukturach organizacyjnych Ligi, niezależnie od okoliczności politycznych i różnych wpływowych sił tamtego okresu, które były specyficznym obiektem zainteresowań historyków.

Niepowodzenie Ligi Narodów oraz innych międzyrządowych organizacji wynikało i wynika obecnie, krótko mówiąc, z tego, iż próbowano za ich pośrednictwem doprowadzić suwerenne państwa do jednomyślności. Tego rodzaju przedsięwzięcie funkcjonuje dobrze, dopóki wspólne decyzje leżą w interesie państw członkowskich, a kończy się niepowodzeniem, gdy ten wspólny interes przestaje istnieć, a państwa te dysponują władzą pójścia własną drogą. Dlatego – według Kanta – zamiar utworzenia trwałej politycznej wspólnoty suwerennych państw o strukturach pokojowych jest przedsięwzięciem bez szans na powodzenie; prędzej czy później skończy się porażką!

Zatem wspólnota państw, która byłaby w stanie zapewnić „pokój”, ma tylko wówczas szansę powodzenia, gdy dobrowolnie zrezygnują w całości lub częściowo z własnej suwerenności i podporządkują się wspólnym regulacjom prawnym. Według Kanta wprawdzie obecnie jest to nieosiągalne, ale zadaniem ludzkości będzie oparcie nie tylko jej wspólnot politycznych, ale również stosunków międzypaństwowych na obowiązującym prawie, nie zaś na władzy i przemocy. Kant był przekonany o tym, iż – jak pisał – „natura” doprowadzi kiedyś ludzi *in subsidium* do tego, że założą taką wspólnotę, gdy przyjdzie na to czas: *fata volentem ducunt, nolentem trahunt*²⁰².

Zwróciłem już w innym miejscu uwagę na stanowisko Kanta wobec „państwa światowego”; podobne podejście, ale wyrażone innymi słowami, znajdujemy również w publikacji Hermanna Webera pt. „Od Ligi Narodów do Organizacji Narodów Zjednoczonych”, która się ukazała w 1987 r. jako tekst ONZ. W tej publikacji czytamy:

Nowoczesny charakter podejścia Kanta do projektu Ligi Narodów, w odróżnieniu od innych prekursorów tej myśli, polega na odrzuceniu idei państwa światowego. Wprawdzie Kant w utworzeniu takiego państwa upatruje rozwiązanie problemu wojny, ale jednostka ludzka w takim państwie byłaby narażona na despotyzm, który uważa za nieuchronną cechę takiego państwa. Dlatego Kant preferuje ideę federacji wolnych państw, mającą pierwszeństwo przed hierarchicznym łańcem światowym. Opowiadając się za związkiem państw i przeciwko państwu światowemu, Kant domaga się od członków federacji rezygnacji z zewnętrznej suwerenności”²⁰³.

¹⁹⁹ Tamże, s. 148.

²⁰⁰ Tamże, s. 149

²⁰¹ F.P. Walters, *A History of the League of Nations*, London 1952, 2. Aufl. 1960, s. 1

²⁰² Immanuel Kant, *Über den Gemeinspruch...*, a.a.O., s. 172. Übersetzung des Herausgebers: „Den Willigen führt das Schicksal, den Widerstrebenden schleift es mit”.

²⁰³ Hermann Weber, *Vom Völkerbund zu den Vereinten Nationen*, wyd. przez Deutsche Gesellschaft für die Vereinten Nationen, Bonn 1987, s. 11.

Czytając ten krótki fragment, można dojść do wniosku, że autorowi niestety coś się chyba pomyliło. Od „federacji” przecież nie można oczekiwać, że jej członkowie zrezygnują z „zewnętrznej suwerenności”, gdyż jej cechą wyróżniającą jest właśnie pełna suwerenność wchodzących w jej skład członków. Z tego założenia wychodził również Kant. Natomiast rezygnacja z „zewnętrznej suwerenności”, rzecz jasna, była dla Kanta wyznacznikiem jego „pozytywnej idei państwa światowego”. Do tego tematu, czyli jego właściwego projektu „światowej republiki”, stanowiącego istotę jego rozprawy „O wiecznym pokoju”, odniosę się za chwilę, ale najpierw wyjaśnię pokrótce, dlaczego nie można uważać Kanta za „ojca chrzestnego” UE.

„Zimna wojna” a zabezpieczenie pokoju

Tak się złożyło, że po II wojnie światowej, w przeciwieństwie do sytuacji po I wojnie światowej, wyłonił się z gruntu odmienny układ sił na świecie: powstały dwa bloki, które były mocno zideologizowane oraz silnie uzbrojone. „Zachodni” system sojuszniczy w postaci NATO jak i „wschodni”, zwany Układem Warszawskim, przyczyniły się do tego, iż wspólnota państw w postaci Organizacji Narodów Zjednoczonych przybrała rolę statysty. Była to w światowej polityce sytuacja zupełnie odmienna od tej, która była nam wcześniej znana i o której marzył Kant. Nowa sytuacja kierowała się innymi prawidłami.

Ta nowa sytuacja na świecie charakteryzowała się tym, iż obydwa supermocarstwa za sprawą posiadanej broni atomowej wzajemnie trzymały się w szachu i dbały o zachowanie istniejącego status quo. Najlepiej widać to na przykładzie podziału Niemiec i Berlina. A gdy wybuchały konflikty zbrojne jak w Korei lub Wietnamie, wówczas były to tzw. „wojny zastępcze”, w których główni antagoniści nie natrafiali bezpośrednio na siebie, ale – jak wiemy – pozostawiali sprawę rozmaitych skutków tych konfliktów innym. Ta „równowaga odstraszania” funkcjonowała jakoś w sposób dostateczny, bo nie doszło do wielkiego wybuchu, a zarazem słabo, gdyż status quo konfrontacji paraliżował współpracę w skali światowej jak i rozwój społeczno-polityczny, dopóki obydwa supermocarstwa były w stanie sprostać istniejącym obciążeniom.

Kiedy w końcu jedno z supermocarstw, Związek Radziecki, się rozpadło, po krótkim intermezzo, w którym wyglądało na to, że USA uzyskało dominującą pozycję, doszło do wielobiegunowego układu państw na świecie, którego koordynacją zajęła się i nadal zajmuje w sposób raczej słaby Organizacja Narodów Zjednoczonych. W sytuacjach konfliktowych, w których udział biorą wielkie mocarstwa, ONZ z reguły okazuje się nieskuteczna, ale poza tym jest dość użyteczna.

W cieniu „zimnej wojny” doszło tymczasem do integracji Europy Zachodniej i do utworzenia Unii Europejskiej. Jej konstrukcja zupełnie niespodziewanie i w sposób wręcz elegancki rozwiązała zasadniczy problem, któremu nie podołał Kant dwieście lat temu w swojej rozprawie „O wiecznym pokoju”. Chodziło o kwestię, w jaki sposób można ograniczyć prawo do suwerenności państw, z którego przecież słusznie korzystali. Oto punkt wyjścia Kanta do jego odnośnych rozważań: „Natura człowieka nigdzie nie jawi się jako mniej życzliwa, jak w stosunkach narodów względem siebie. Żadne państwo względem drugiego państwa nie jest ani przez

chwile bezpieczne, co do jego samodzielności i własności. Zawsze istnieje wola do ujarznienia i uszczuplenia bytu drugiego”. Z tego Kant wyciąga następujący wniosek: Nie ma przeciwko temu, „żadnego innego środka, jak międzynarodowe prawo opierające się na publicznie umocowanych ustawach, którym każde państwo powinno się podporządkować”²⁰⁴. To, w jaki sposób ten problem został rozwiązany konstytucyjnie przez Traktat Lizboński w duchu Kanta, chciałbym przedstawić poniżej.

Kant a „Unia Europejska” w roku 1992

Również i w tym rozdziale chciałbym postępować w taki sposób, iż zaprezentuję najpierw moim zdaniem całkiem nieidealistyczne podejście Kanta do kwestii „federalizmu wolnych państw”, patrząc na to zagadnienie z dzisiejszej perspektywy, by następnie podjąć tematykę UE i postarać się odpowiedzieć na pytanie, na ile wyobrażenia Kanta pokrywają się lub są zbliżone do konstrukcji UE. Ta kolejność – jak uważam – leży chyba w interesie czytelnika.

Projekt Kanta: „Federalizm wolnych państw”

Znakomitym punktem wyjścia do wytłumaczenia państwowo-prawnych rozważań Kanta, które rozwinął w „Drugim definitywnym artykule do wiecznego pokoju”, może być jego następująca myśl:

Dla państw... nie może istnieć wedle rozumu inny rodzaj wyjścia z bezprawnego stanu, rodzaj zawierający w sobie same wojny, jak tylko ten, że podobnie jak konkretne jednostki zechcą wyrzec się i one dzięki (bezzarządnej) wolności i pospieszą poddać się publicznym ustawom przymusu, a w ten sposób (zawsze prawdziwie rosnący) utworzą stan narodów (*civitas gentium*), który by w końcu objął wszystkie ludy ziemi²⁰⁵.

Innymi słowy oznacza to: w podobny sposób, jak w przypadku pojedynczych ludzi, którzy w imię bezpieczeństwa i wolności podporządkowują się prawu swego państwa, tak samo państwa powinny w imię swego istnienia i zabezpieczenia pokoju poddawać się międzynarodowym uregulowaniom prawnym. Bez podporządkowania w ten sposób państw nie można oczekiwać, iż ich dążeniem będzie pokój. Chodzi tylko o to, aby znaleźć i wykorzystać odpowiednie środki, które zapewnią trwałą pokój. Ta argumentacja Kanta chyba przemawia do wszystkich.

Pytanie zatem brzmi: w jaki sposób może powstać i powinno być stosowane takie obowiązujące międzynarodowe prawo, które by ograniczało „dziką wolność”? Co się tyczy ustawodawstwa państwa i jego realizacji, to Kant tylko krótko wskazał na „system przedstawicielski”, bez którego, jakkolwiek by on nie był, konstytucja byłaby „despotyczna i oparta na przemoc”²⁰⁶. Tą wzmianką chciał

²⁰⁴ Por. Immanuel Kant, *Über den Gemeinspruch...*, op. cit., s. 171.

²⁰⁵ Immanuel Kant, *O Wiecznym Pokoju*, Wrocław 1995, s.48.

²⁰⁶ Tamże, s. 43.

chyba powiedzieć, iż w dziedzinie stosunków wewnętrznych państwa jest uznanie trójpodziału władzy na egzekutywę, legislatywę oraz władzę sądowniczą, a sprawa rodzaju konstytucji jest raczej drugorzędna, niezależnie od tego, czy ma ona charakter monarchiczny czy republikański. Sam preferował jednak „republikańską formę rządów”²⁰⁷. Niestety Kant nie wypowiedział się na temat tego, jak by miały wyglądać te regulacje prawnomiędzynarodowe, którym państwa powinny się „podporządkować” celem zabezpieczenia pokoju na świecie.

Jedyne, co u Kanta na ten temat znalazłem, to wzmianka o „federacyjnym związku” państw, który by „udaremnił wybuch wrogich działań”, oraz zapowiedź tego, że można ukazać „wykonalność (obiektywną realność) tej idei *federalizmu*, która z wolna ma się rozciągnąć na wszystkie państwa i tak doprowadzić do wiecznego pokoju”²⁰⁸. Kant sam, z powodu braku praktycznych doświadczeń, jednak nie wypowiadał się o tym, jak ta zróżnicowana „federalność” miałaby wyglądać. Powód jest jasny – w ówczesnych czasach nie miał do dyspozycji żadnych przykładów. To jednak nie oznacza, że monopol państwa mimo wszystko nie może zostać złamany i że da się to jednak udowodnić, choć jest to możliwe dopiero od czasów istnienia UE.

Chcąc nadrobić to niedociągnięcie Kanta, podejmę się zinterpretowania i skonkretyzowania jego myśli na temat „federalności”. Uczynię to w ten sposób, że proponowany przezeń „system rządów przedstawicielskich”, to znaczy wewnątrzpaństwowy podział władzy na egzekutywę, legislatywę i sądownictwo, porównam z „systemem subsydiarnym”, który obowiązuje w formie podziału suwerenności państwowej, praktykowanej na szczeblu komunalnym, narodowym i regionalnym aż po kontynentalne unie państw. Ważnym czynnikiem przy tym jest zwłaszcza to, że istniejące państwa przekazują swoje zmonopolizowane wcześniej kompetencje zgodnie z konstytucją w dół i w górę. Kiedy nie tylko polityka zagraniczna i bezpieczeństwa, ale również polityka gospodarcza i walutowa zostają „uwspólnotowione”, zachodzi przesłanka trwałego pokoju między państwami i narodami, nastaje postulowany przez Kanta stan konstytucyjny: państwa członkowskie nie mogą już decydować o wojnie i pokoju same, według własnego uznania. Muszą one, o ile zrezygnowały z monopolu na uprawianie polityki zagranicznej, podporządkować się wspólnym postanowieniom unii państw, których są członkami. A to – zgodnie z myślą Kanta – da się osiągnąć tylko za pomocą postępowania prawnokonstytucyjnego, poprzez podział suwerenności i przez dobrowolną rezygnację z przynależnego prawa wypowiedzenia wojny. Innej drogi nie ma!

Signum UE: „podzielona suwerenność”

Unia Europejska ma być może wiele plusów i minusów. Z jednej strony stanowi jednolitą przestrzeń ekonomiczną oraz – jeżeli ostatecznie do tego dojdzie i się utrzyma – także wspólną dla wszystkich walutę, a ponadto jest w stanie zagwarantować swoim państwom członkowskim status samostanowienia. Z drugiej strony cechuje ją niespójność wynikająca z istniejącej konstytucji oraz ociężałość

²⁰⁷ Tamże.

²⁰⁸ Por. tamże, s. 48 i 43.

w przeprowadzaniu reform, co związane jest z jej strukturą i jest trudne do przewyżnienia. Ale tym, co ją wyróżnia pod względem prawno-państwowym i czyni ją unikatem wśród wszelkich dotychczas wypróbowanych form rządzenia jest to, co jest zapisane w art. 5.1 obecnej konstytucji unijnej, w Traktacie Lizbońskim: „Granice kompetencji Unii wyznacza zasada przyznania. Wykonywanie tych kompetencji podlega zasadom pomocniczości i proporcjonalności”²⁰⁹. Zgodnie z tą klauzulą państwa członkowskie określają podział kompetencji, bo są „panami konstytucji”. Zgodnie z ideą Kanta, iż z myślą o światowym pokoju państwa powinny być ograniczone w swej swobodzie, państwa członkowskie UE zostały zakotwiczone w taki sposób, iż generalnie nie są w stanie prowadzić między sobą konfliktów zbrojnych. Do eskcesów w polityce zewnętrznej będą jednak niezdołne dopiero wtedy, gdy ich polityka zagraniczna i bezpieczeństwa zostaną „uwspólnotowione”. Dopiero wówczas byłby faktycznie spełniony postulat Kanta, aby poszczególne państwa zostały pozbawione swojej „dzikiej wolności” i podporządkowane wspólnemu nadzorowi oraz były kontrolowane przez wspólne ustawodawstwo.

Chcąc sprostać wyobrażeniom Kanta, państwa członkowskie UE powinny zrezygnować z dotychczasowej swojej kompetencji w dziedzinie polityki zagranicznej i bezpieczeństwa, to znaczy z uprawiania jej w pojedynkę, i powinny ją przekazać UE wraz z zobowiązaniem, iż ogłoszenie stanu wojennego może nastąpić tylko za zgodą wszystkich państw członkowskich. To odpowiadałoby – jak sędzę – de facto zabezpieczeniu pokoju na najwyższym poziomie, gdyż taka jednolitość byłaby przecież wymagana tylko w przypadku skrajnego zagrożenia wspólnego istnienia, zaś wypadek wojny może zająć wyłącznie na gruncie regulacji prawno-konstytucyjnej, której muszą przestrzegać państwa członkowskie. Zdaję sobie w pełni sprawę z tego, że według przepisów prawa międzynarodowego nie ma jeszcze takich zapisów w Traktacie Lizbońskim z 2007 r., które by były zgodne z Kantowskim postulatem. Ale w myśl hasła „Więcej Europy!” nie powinno być rzeczą niemożliwą, by taki zapis znalazł się w przyszłym Traktacie Europejskim.

Jednym ze skutków tego, że państwa członkowskie UE mają, jak na razie, głos decydujący w sprawach polityki zagranicznej, jest to, że Unia jako wspólnota na płaszczyźnie międzynarodowej jest prawie niewidoczna. Moim zdaniem nie można tego na dłuższą metę poprawić w ten sposób, że poszczególne państwa członkowskie mające przewagę w Unii przejmą w niej przywództwo, ale w taki sposób, że nastąpi także uwspólnotowienie narodowych polityk zagranicznych i bezpieczeństwa. Taki dalszy krok w kierunku integracji jest konieczny nie tylko po to, by uczynić UE zdolną do działania na arenie międzynarodowej, ale także po to, by zwiększyć jej prestiż w Europie. Bez niego Unia coraz bardziej postrzegana będzie jako kakofonia narodowych egoizmów, straci na atrakcyjności i będzie zachęcać, wręcz wymuszać działania w pojedynkę. To jednak spowoduje upadek Unii.

Tym, co czytelnika w tym kontekście również może zainteresować, jest odpowiedź na pytanie, jaką właściwie rolę odegrał Kant na początku integracji europejskiej, w chwili założenia Unii Europejskiej? Na ten temat znalazłem rzecz następującą: w literaturze takich autorów jak Gerhardt Brunn, Jürgen Mittag czy Guido

²⁰⁹ Por. Rolf Schwartmann (red.), *Der Vertrag von Lissabon*, stan na 7 marca 2008, Heidelberg 2008, s. 6.

Thiemeyer²¹⁰ nie ma odniesień do Kanta. Tak samo w bogatej literaturze pamiętnikarskiej polityków tej epoki, jak Konrad Adenauer, Walter Hallstein, Jean Monnet i Robert Schuman²¹¹, moje poszukiwania jakichkolwiek odniesień do tego filozofa były daremne. Nie znalazłem absolutnie niczego! Widocznie politycy inspirowali się innymi motywami i wizjach, kierowali się innymi racjami, kiedy w 1952 r. poczynili pierwsze kroki ku integracji Europy i utworzeniu Wspólnoty Węgla i Stali. O jakie kroki chodziło?

Wtedy, pięć lat po zakończeniu II wojny światowej, życzeniem sąsiadów Niemiec Zachodnich było przede wszystkim to, by wkomponować ten kraj w struktury zachodnioeuropejskie i atlantyckie w taki sposób, by już nigdy nie stał się dla nich zagrożeniem, a zyskał uznanie i równouprawnienie. Sprawą oczywistą było, by jedną z najważniejszych gałęzi przemysłu, mianowicie węgiel i stal, które uważane były wówczas za produkty niezbędne do prowadzenia wojen, wyjąć spod narodowego zarządzania i podporządkować wspólnej kontroli. W opinii Jeana Monneta „węgiel i stal” – jak pisał:

były zarówno kluczem do potęgi gospodarczej, jak i arsenałem do wytwarzania broni. Ta podwójna moc nadawało tym produktom ogromne symboliczne znaczenie, o czym dziś już zapomnieliśmy²¹².

Takie przekazanie suwerenności uważane było przez niektórych ludzi swego czasu za bezpieczniejszy sposób zapewnienia pokoju niż wszelkie układy, które można wcześniej lub później wymówić albo zerwać. Dlatego postąpiono w ten sposób, by raz na zawsze udaremnić prowadzenie wojen między tymi państwami.

Należy przy tym uwzględnić fakt, że pod koniec wojny powstały plany alianatów, by całe Zagłębie Ruhry, jako centrum niemieckiego przemysłu ciężkiego, podporządkować międzynarodowej kontroli, by odebrać Niemcom możliwości prowadzenia wojny. To, że akurat minister spraw zagranicznych Francji, Robert Schuman (1886–1963), który urodził się na terenie dawnej niemieckiej Alzacji, znalazł przychylnego partnera do realizacji swojego projektu w osobie niemieckiego kanclerza Konrada Adenauera (1876–1967), który pochodził z pobliskiej Nadrenii, jest swoistym kuriozum okresu powojennego i zaowocowało powstaniem Wspólnoty Węgla i Stali, a ona z kolei stała się szybko znakiem rozpoznawczym późniejszej Unii Europejskiej: określone kompetencje narodowe zostały „uwspólnotowione”, tak jak to zapisano w Traktacie z Maastricht z 1992 r. w cytowanym już artykule 5, czyli

²¹⁰ Por. Gerhard Brunn, *Die Europäische Einigung von 1945 bis heute*, 2. wyd. Stuttgart 2009; Jürgen Mittag, *Kleine Geschichte der Europäischen Union – Von der Europaidee bis zur Gegenwart*, Münster 2008; Guido Thiemeyer, *Europäische Integration – Motive, Prozesse, Strukturen*, Köln 2010.

²¹¹ Por. Konrad Adenauer, *Erinnerungen*, 4 tomy, Stuttgart 1965 – 1968; Walter Hallstein, *Europäische Gemeinschaften – Gedanken zur Europäischen Integration, ohne Orts- und Jahresangabe*, przypuszczalnie wyd. w 1962 r.; Jean Monnet, *Erinnerungen eines Europäers*, München/Wien 1976; Robert Schuman, *Für Europa*, Koblenz 2002.

²¹² Jean Monnet, op. cit., s. 374.

są wykonywane wspólnie. To podchwycono i jest do dzisiaj centralnym punktem odniesienia dla UE powstałej na podstawie Traktatów.

To, co skłoniło założycieli Wspólnoty Węgla i Stali do wykorzystania tego „podstępu”, najlepiej scharakteryzował sam jej „inspirator”, Jean Monnet (1888–1979). W jego wspomnieniach znajduje się notatka z wiosny roku 1950, którą sporządził po spacerze w Szwajcarskich Alpach:

Natrafiłem tutaj (w górach, H.W.) ponownie na zjawisko niepokoju, który ciążył na Europie pięć lat po zakończeniu wojny: jeżeli nie zadziałamy, staniemy w obliczu nowej wojny. Niemcy wprawdzie nie byłyby dla niej przyczyną, ale pretekstem. Musiały przestać być pretekstem, musiały stać się wiążącym. W takiej sytuacji tylko Francja mogła podjąć inicjatywę. Bowiem ktoś inny byłby w stanie – zanim by było za późno – powiązać ze sobą Francję i Niemcy, w jaki sposób można było w obydwu krajach zakorzenić wspólne poczucie interesu: oto było pytanie, jakie zadawałem sobie nieustannie podczas tych moich marszów w skupieniu. Kiedy w pierwszych dniach kwietnia wróciłem do Paryża, nie miałem jeszcze gotowej odpowiedzi, ale miałem już gotowe exposé z mnóstwem powodów do działania i wytyczony bardzo precyzyjny kierunek, wobec czego dla mnie okres niepewności już minął. Teraz chodziło tylko o wybór planu i znalezienie odpowiedniej okazji²¹³.

Planem, jaki nosił w sobie Monnet, było właśnie utworzenie Wspólnoty Węgla i Stali. Okazją do jej założenia stało się publiczne oświadczenie Roberta Schumana z 9 maja 1950 r. Decydujące słowo związane z tą propozycją, które do dzisiaj rozumieją tylko nieliczni, wypowiedział Robert Schuman do Monneta: „Musimy wziąć pod uwagę przekazanie suwerenności”²¹⁴. Zrozumiałą sprawą jest, że do uczynienia tego zasadniczego kroku przyszło o wiele łatwiej Konradowi Adenauerowi w jego ówczesnej sytuacji niż Jeanowi Monnetowi i Robertowi Schumanowi, którzy byli przecież bardzo związani z tradycjami francuskimi. Ale krok ten został na szczęście uczyniony i miał dalekosiężne konsekwencje!

Myślę, że takie sentencje pokazują o wiele lepiej, niż są to w stanie wyrazić tysiące słów, jakie motywy, obawy oraz oczekiwania skłaniały organizatorów pierwszego etapu integracji europejskiej do działania i utworzenia Wspólnoty Węgla i Stali. Po doświadczeniach z dwóch wojen światowych chodziło o to, by tymi pierwszymi krokami rozpocząć dzieło jednoczenia Europy. Inicjatorzy nie dysponowali żadnym planem generalnym i nie mieli ochoty na teoretyczne rozważania. Można by wręcz powiedzieć, iż na koncepcję realizacji planu Schumana się nie „natknęli” przypadkiem, ale zostali w tym kierunku „popchnięci” przez ówczesną sytuację, a jednocześnie szli jak „lunatycy” w kierunku „uwspólnotowienia narodowych kompetencji”, odkrywając przy tym niezmierną wartość, swoistą „polityczną żyłę złota”.

Na koniec tych rozważań o początkach UE chciałbym jeszcze raz powrócić do Kanta, do jego pomysłu, co w końcu sądził o tych dwóch koncepcjach, które

²¹³ Por. Jean Monnet, *Erinnerungen eines Europäers*, München /Wien 1976, s. 368.

²¹⁴ Tamże, s. 365.

kojarzą się z jego nazwiskiem, a przynajmniej z nim mogą być kojarzone: zarówno ze związkiem państw zwanym Ligą Narodów, którą sam nazwał „surogatem”, jak i z „federalizmem wolnych państw”, który określiłem tutaj mianem „unii państw”. Według Kanta obydwie możliwości, tak samo zresztą jak wszelkie inne polityczne formy organizacyjne, są dziełem ludzi i muszą być „stworzone”, ale to nigdy nie może się udać w sposób doskonały, gdyż sam człowiek jest niedoskonały. Oto słowa Kanta odnoszące się do zamiaru ustanowienia pokoju między państwami:

Zadanie to jest najtrudniejsze ze wszystkich innych, bowiem rozwiązanie tego zagadnienia jest w sposób doskonały niemożliwe: z krzywego drewna, z którego wyciosany jest człowiek, nie można uczynić drewna prostego. Dlatego tylko zbliżanie się do tej idei jest z natury rzeczy naszym zadaniem²¹⁵.

Dla ludzi osiągalne jest bowiem tylko przybliżanie się do ideału „wiecznego pokoju”. Państwo w swej istniejącej wielorakiej formie, bądź to jako państwo centralne, jako związek państw oraz jako unia państw, to znaczy w każdej istocie, jest zagrożone degradacją, gdyż zawsze jest tworem niedoskonałych ludzi. Oznacza to, iż wszelkiego rodzaju państwo nie będzie w stanie uczynić zadość intencjom obywateli pragnącym prawa i sprawiedliwości. Jeżeli pragnie się utworzyć państwo prawne i je utrzymać, to według Kanta najlepszym rozwiązaniem jest „system reprezentatywny”, czyli podział władzy na egzekutywę, legislatywę i wymiar sprawiedliwości. Aby zapewnić pokój między państwami, najbardziej przydatnym, zgodnym z myślą Kanta środkiem, jest – jak go nazwałem – „system subsydiarny”, który się opiera na podziale suwerenności w sferze kompetencji na płaszczyźnie komunalnej, państwowej oraz unijnej. To jest – krótko mówiąc – „polityczną tabliczką mnożenia” Kanta, jaką tutaj postarałem się przedstawić.

Podsumowanie

Skoro – po pierwsze – o powstałej w 1919 r. Lidze Narodów da się powiedzieć, że jej pomysł pochodził od Kanta i że to on zaproponował jej założenie, to od razu należy dodać, iż sam jego autor, w przeciwieństwie do apologetów tej idei, zdawał sobie sprawę ze słabości tego rodzaju związku państw. Królewiecki filozof od takiej organizacji nie oczekiwał, iż będzie w stanie zapobiec konfliktom zbrojnym między państwami, gdyż przez założenie Ligi Narodów nie zostanie usunięta suwerenność państw członkowskich, a mocarstwa nie zrezygnują z pójścia własnymi drogami i nie podporządkują się decyzjom takiego związku. Wiedział, że wobec panujących w jego czasach stosunków nie będzie można osłabiać suwerenności, dlatego też nie miał innego pomysłu, jak wypowiedzieć się właśnie za utworzeniem takiej Ligi Narodów. Co prawda uważał ją za „surogat” innej, lepszej organizacji, ale zabrakło mu pomysłu na realizację innej formy organizacyjnej. Z tego, a nie z innego powodu był zdania, że Liga Narodów przynajmniej przybliży się do pokojowego układu

²¹⁵ I. Kant, *Idee zu einer allgemeinen Geschichte in weltbürgerlicher Absicht*, (w:) I. Kant, a.a.O., s. 41.

sił między państwami. Historia tej organizacji międzynarodowej i powstałej po niej Organizacji Narodów Zjednoczonych wykazała dobitnie mankamenty ich struktur, z których Kant zdawał sobie sprawę.

Przeglądając literaturę na temat Ligi Narodów, było dla mnie zaskoczeniem, że amerykański prezydent Woodrow Wilson (1856–1924), który uchodzi za inicjatora Ligi Narodów, nie wspominał w tym kontekście ani słowem o Kancie, a w każdym razie nie ma żadnej wzmianki o nim w prześledzonych przeze mnie tekstach²¹⁶. Mogę to sobie wytłumaczyć tylko tym, iż Wilson w ogóle nie znał znakomitej publikacji Kanta pt. „O wiecznym pokoju”, albo też – co jest bardziej prawdopodobne – z uwagi na pozostawanie USA i Niemiec w stanie wojny całkiem świadomie nie chciał się powołać na Kanta.

Po drugie należy stwierdzić, że Kant bezpośrednio po II wojnie światowej jakby znalazł się na marginesie politycznym. Wynikało to z ówczesnych okoliczności. Z biegiem czasu nie chodziło już o organizację państw powstałą w 1945 r., czyli o Organizację Narodów Zjednoczonych. Znalazła się ona nagle w cieniu podzielonego na dwie części świata. W okresie „zimnej wojny”, która wycisnęła swoje piętno na zachodnich „państwach NATO” z USA jako dominującą potęgą, a na Wschodzie na „państwach Układu Warszawskiego”, zdominowanych przez Związek Radziecki, oficjalna organizacja państw była skutecznie blokowane. Fakt, że obydwa bloki ze sobą nie prowadziły wojny, zawdzięczamy wyłącznie temu, że dzięki arsenałowi nuklearnemu trzymały się wzajemnie w szachu, korzystając z „równowagi odstraszania”. W takiej sytuacji oczywiście na Kantowskie pomysły absolutnie nie było miejsca.

W cieniu tego światowego konfliktu natomiast w Europie Zachodniej, poprzez utworzenie UE skutek wynalezienia i stosowania „podzielonej suwerenności”, doszło do tego, że idee Kanta ponownie stały się bardzo aktualne, chociaż dotychczas nie zostały wprowadzone do gry. Wyjątek stanowi dyskusja na temat „demokratycznego pokoju”. Uważam jednak, że w tym kontekście niektóre wypowiedzi Kanta zostały niestety wyrwane z kontekstu i przejęskrawione²¹⁷.

Można – po trzecie – powiedzieć, że do realizacji Kantowskiego ideału zwanego „federalizmem wolnych państw”, będącego jakby produktem ubocznym utworzenia Wspólnoty Węgla i Stali, znaleziony został klucz w postaci „podziału suwerenności”. W ten sposób suwerenność państw wprawdzie nie zostaje zniesiona, ale ograniczona, bo za sprawą podzielonej suwerenności, tak jak to jest w UE, zgodnie z konstytucją obowiązuje samoograniczenie i dlatego prowadzenie wojen jest prawie wykluczone. Mówię „prawie”, gdyż zabezpieczenie pokoju poprzez „podział suwerenności” może ulec tak samo zatraceniu, jak państwo prawne i „podział władz”, gdy nie będą go bronić obywatele. Sprawą decydującą jest, że przez korzystanie z „podziału suwerenności” możliwość wybuchu wojny zostaje zminimalizowana, gdyż taka wojna już nie może być wszczęta przez pojedyncze państwo

²¹⁶ Por. Hamilton Foley, *Woodrow Wilson's Case for the League of Nations*, New York 1969.

²¹⁷ Por. m.in. Quincy Wright, *A Study of War*, 1941; Jack S. Levy, *Domestic Politics and War*, (w:) „Journal of Interdisciplinary History”, 1988, vol. 18, No. 4, s. 673; Ernst – Otto Czempel, *Friedensstrategien*, Paderborn 1986.

członkowskie, ani przez członka, ani przez UE, tylko może być wypowiedziana wyłącznie przez grupę państw członkowskich w sposób jednomyślny. Inaczej akcja wojenna UE, zakładając, że w przyszłości dojdzie do wspólnych działań w ramach polityki zagranicznej, będzie całkowicie niewyobrażalna, a tym bardziej niewykonalna. A to jest najlepszym z możliwych sposobów zabezpieczenia pokoju.

Zasada „podzielonej suwerenności” staje się aktualna i nieunikniona zwłaszcza w sytuacjach, gdy chodzi o polityczne myślenie i planowanie, ale także o działanie i organizowanie się na gruncie kosmopolityzmu, jak to czynił Kant. Z biegiem czasu ludzkość coraz bardziej będzie musiała zmierzać w tym właśnie kierunku. To jest pewne.

A oto, krótko mówiąc, rezultat moich badań dotyczących relacji między Kantem a Unią Europejską: Kant nie wynalazł Unii Europejskiej. Jednakże ona sama znalazła klucz do zrozumienia i realizacji intencji Kanta, by za sprawą praktykowanej po raz pierwszy „podzielonej suwerenności” zapanował na ziemi pokój. To niezbyt proste działanie da się sprowadzić do wspólnego mianownika w następujący sposób: Kant wprowadził jako pierwszy myślał jako prekursor o UE, ale jego projekt „wiecznego pokoju” między państwami na świecie stał się rzeczywistością dopiero wraz z utworzeniem Unii. Oto jak prosta jest ta nadzwyczaj skomplikowana i zawiła historia!

XVI. Moje marzenie – Większa Europa

Czytając dzisiaj aktualne doniesienia z Moskwy, przypominam sobie, co media komunistyczne Związku Radzieckiego i Europy Wschodniej w latach 60. XX w. przekazywały swoim odbiorcom. Czytelnikom i słuchaczom wmawiano codziennie, iż wkrótce nastanie koniec ówczesnej Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Obecnie media Federacji Rosyjskiej prawie jednogłośnie podają, że strefa euro ma trudności z utrzymaniem się przy życiu, a Unia Europejska jest już prawie martwa, w każdym razie jest niezdolna do działania. Powołują się przy tym chętnie na źródła zachodnie, których nie brakuje i z których korzystają w sposób wybiórczy. Jak wiadomo EWG się nie rozpadła, a UE charakteryzuje się nadal znacznym wzrostem. Swego czasu w Związku Radzieckim, a obecnie w Rosji, próbowano i próbuje się nadal sprawiać wrażenie, że powstający rywal w postaci UE walczy o swe istnienie, a własny system polityczny cechuje niezwykłą stabilność. Przyczyny oraz rezultaty tego rodzaju argumentacji są nam wszystkim aż nazbyt dobrze znane.

Piszący te słowa doświadczył podczas II wojny światowej w sierpniu 1941 r. śmierci swojego ojca na Ukrainie, a w 1945 r. utratę swoich stron rodzinnych w Prusach Wschodnich. Następnie odnalazł się po zachodniej stronie podzielonego miasta Berlina, które było idealnym punktem obserwacyjnym stykających się tutaj przeciwstawnych bloków światowych. Autor na początku był wolontariuszem w Wyższej Szkole Nauk Politycznych w Berlinie u profesora Ottona Heinricha von der Gablenz, następnie był doktorantem profesora Theodora Eschenburga na Wydziale Nauk Politycznych Uniwersytetu w Tybindze, a w latach 1961–1963 pracował jako asystent profesora Golo Manna na uniwersytecie w Stuttgarcie. Potem odbył ufundowany przez UNESCO dwuletni pobyt studyjny w Polsce na Uniwersytecie Warszawskim, by w końcu przez 23 lata być profesorem na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie.

Tym, co przedstawił w 2012 r. jako swoje pierwsze „dzieło emeryta”, była interpretacja wyjaśniająca tzw. „kwestię niemiecką”. W kolejnej, drugiej „pracy emeryta” zajmuje stanowisko wobec „kwestii europejskiej” i przedstawia UE jako unikat, któremu wróży długie istnienie. Na zakończenie tego projektu pozwala sobie marzyć o „większej Europie”, która jego zdaniem będzie uwieńczeniem rozszerzenia UE. Przemyślenia na ten temat zostały naszkicowane na kolejnych stronach tej książki. Rozważania dotyczące trzech kwestii, czyli nierozwiązanej przez długi czas „kwestii niemieckiej”, „jedynej w swoim rodzaju konstrukcji UE” i „przyszłości Europy” należy uważać za jego politologiczną spuściznę.

Pisząc najpierw o „kwestii niemieckiej”, która przez wielu współczesnych uważana jest nadal za nieprzeniknioną, podjął się rozpatrzenia tego problemu z przeszłości w sposób nowatorski²¹⁸. Swoim zamiarem udowodnienia niepowtarzalności „Unii Europejskiej” podjął problem aktualny, choć nie mniej sporny. Zaś patrząc perspektywicznie na „większą Europę”, zajął się trzecim problemem, którego rozwiązanie będzie możliwe dopiero w przyszłości.

²¹⁸ Por. Helmut Wagner, *Vom Störenfried zum Bürgertum – Die „deutsche Frage” im europäischen Kontext. Ein politikwissenschaftlicher Essay*, Asendorf 2012.

Integracja Europy

Na wstępie zadajmy sobie pytanie: jakie przyczyny złożyły się na to, że w 1945 r. tradycyjny europejski system państw przeszedł do historii, choć z górą trzysta lat funkcjonował do tego stopnia sprawnie, że udało się zachować równowagę między wielkimi mocarstwami i żadne z nich nie uzyskało pozycji hegemonalnej? Ani Napoleon I. w latach 1805–1815, ani niemiecki cesarz Wilhelm II (podczas I wojny światowej 1914–1918), ani też Adolf Hitler (w latach II wojny światowej 1939–1945) nie zdołali podważyć tego sytemu! Odpowiedź jest prosta. Dwie niszczycielskie wojny światowe spowodowały, że wszystkie europejskie mocarstwa uległy osłabieniu, a ich miejsca zajęły dwa pozaeuropejskie supermocarstwa, Stany Zjednoczone i Związek Radziecki, które teraz miały głos decydujący. W zaistniałej sytuacji wypadało pożegnać się z dawnym systemem potęg europejskich, który najwidoczniej nie był w stanie zapewnić pokoju, i należało stworzyć zupełnie odmienny system państw. Okoliczności po prostu do tego zmuszały. Państwa Europy nie miały żadnego innego wyboru, jeżeli pragnęły nadal istnieć i odgrywać poważną rolę w świecie.

W tej sytuacji niektórym dalekowzrocznym politykom zachodnioeuropejskim udało się w cieniu istniejącej dwubiegunowości w światowej polityce poczynić pierwsze kroki ku nowemu europejskiemu łaadowi. Byli to ówczesny minister spraw zagranicznych Francji Robert Schuman (1886–1963), niemiecki kanclerz Konrad Adenauer (1875–1967) i premier Włoch Alcide De Gasperi (1881–1954), którzy siedem lat po zakończeniu II wojny światowej założyli w 1952 r. Wspólnotę Węgla i Stali, do której należało sześć państw zachodnioeuropejskich, zapoczątkowując tym krokiem integrację europejską. Politycy ci uruchomili proces, który w 1958 r. doprowadził do powstania Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, a w końcu, w 1992 r., do założenia Unii Europejskiej, w skład której aktualnie wchodzi 28 państw.

Można zatem powiedzieć, że to właśnie II wojna światowa i powstała po niej dwubiegunowość świata były tymi czynnikami, które wymusiły i umożliwiły proces integracji europejskiej. Zamiarem jego inicjatorów było to, by raz na zawsze udaremnić prowadzenie wojen między państwami Europy, a za sprawą utworzenia jednolitego wspólnego rynku przyczynić się do dobrobytu europejskich społeczeństw. W ostatnim czasie w kwestii integracji europejskiej kładzie się jeszcze inny akcent. Niedawno niemiecki minister finansów Wolfgang Schäuble uzasadnił potrzebę istnienia UE następująco:

Wiemy, że zjednoczenie Europy – w dziedzinie politycznej i gospodarczej – w przyszłych dziesięcioleciach globalizacji będzie równie konieczne, jak to było w poprzednich dziesięcioleciach, kiedy to wyciągaliśmy wnioski z dwóch wojen światowych, a następnie także w okresie zimnej wojny w celu zabezpieczenia pokoju i wolności. Mając na uwadze nasze powiązania gospodarcze w ramach międzynarodowego podziału pracy i naszą zależność od procesów globalnych w sferze bezpieczeństwa, w sektorze zaopatrzenia w energię i surowce oraz w dziedzinie ochrony środowiska i klimatu, każdy

kraj – także Niemcy liczące przecież niecały jeden procent ludności świata, przy silnej tendencji spadkowej – jest za mały, by sprostać naszym interesom, naszej odpowiedzialności. Zadanie to można wykonać wyłącznie w ramach wspólnoty europejskiej²¹⁹.

Schäuble, jak większość obywateli UE był przeciwny utworzeniu „europejskiego super-państwa”, które dysponowałoby prawem i kompetencjami do rozwiązywania wszelkich problemów we własnym zakresie. Wypowiadał się natomiast zdecydowanie za utrzymaniem „zasady konstrukcji europejskiej”, jak to określił, czyli „za zbalansowaniem kompetencji państwowych i europejskich oraz za demokratyczną legitymizacją wszelkich decyzji dotyczących podziału kompetencji”²²⁰. Wspomniana przez niego zasada konstrukcji UE, którą wyjaśniłem w rozdziałach wstępnych niniejszej pracy, przyniosła państwom członkowskim co najmniej trzy wymierne korzyści, których nie są w stanie im zaoferować inne wielkie państwa: Pierwsza zasada dowartościowuje państwa małe i najmniejsze, a duże i silne prowadzi „na smyczy”, gwarantując wszystkim ochronę i pokojowy rozwój w ramach własnego państwa. Przez to, że członkowie pozostają „panami konstytucji”, istnieje ponadto gwarancja, że na UE są cedowane tylko takie kompetencje, którym nie mogą podołać pojedyncze państwa we własnym zakresie. Wszystkie pozostałe kompetencje pozostają w gestii tych państw.

Jak powiedziałem już wcześniej, w pierwszych trzech rozdziałach tej książki, oryginalność UE polega na tym, że w odróżnieniu od wszystkich innych wspólnot politycznych wielkich wymiarów, zarówno imperialnych jak i federacyjnych, państwa członkowskie są i pozostają suwerenne jako całość, już nie w pojedynkę, i nie rezygnują ze swej suwerenności, by to państwo federalne posiadało odtąd niepodzielną suwerenność. Przez to unika się tego, co zwykle ma miejsce w innych państwach rządzonych centralnie, także w sposób demokratyczny, że prędzej czy później przekształcają się w „państwa monstrualne”. W ten sposób gwarantuje się także to, że państwa członkowskie zachowują swą tożsamość kulturową, samodzielność gospodarczą i niezależność polityczną. To, że UE dla swoich członków jest ostoją bezpieczeństwa a nie więzieniem, ukazuje najlepiej zapis artykułu nr 61 Traktatu Lizbońskiego. Według tego zapisu każdemu z państw członkowskich przysługuje prawo wystąpienia z Unii w przypadku, gdyby członkostwo nie leżało w jego narodowym interesie²²¹. Gdzie na świecie możemy znaleźć podobną klauzulę umożliwiającą opuszczenie danego systemu politycznego?

Chciałbym w tym miejscu jeszcze dodać, dlaczego dla mnie jako Niemca UE jest szczególnie atrakcyjna. Otóż odkąd stało się dla mnie jasne, że dla zjednoczonych Niemiec – z uwagi na położenie kraju oraz dużą liczbę jego mieszkańców i wielkość jego potencjału – brak było miejsca w europejskim systemie równowagi,

²¹⁹ Wolfgang Schäuble, *Zukunft Europa: Wie wir sicherstellen können, dass der Euro stabil bleibt*, (in:) „Der Tagespiegel”, nr 20843 z 20 grudnia 2010, s. 6.

²²⁰ Tamże.

²²¹ Por. Helmut Wagner, *Wer regiert die Europäische Union? – Die Originalität der Europäischen Union*, (w:) Olaf Leiße (red.) *Die Europäische Union nach dem Vertrag von Lissabon*, Wiesbaden 2010, s. 133–143.

doszedłem do wniosku, którego także dziś nie podziela większość moich rodaków: należało albo rozczłonkować Niemcy, ponieważ tylko dla poszczególnych części tego kraju znalazłoby się miejsce w systemie państw europejskich, ale nie dla Niemiec jako całości, albo też należało zastąpić ten system innym łaodem politycznym, w którym zjednoczone Niemcy znalazłyby swoje miejsce, gdyż podobnie jak inne państwa nie byłyby w pełni suwerenne. To było – na co wskazał George F. Kennan – alternatywą, przed którą stanęły Niemcy zjednoczone w 1871 r. po zakończeniu II wojny światowej w roku 1945²²² i czego do dzisiaj – jak mi się wydaje – wraz z wynikającymi z tego wszystkimi konsekwencjami jeszcze nie do końca rozumiano.

Zarówno jedno, czyli „podział”, jak i drugie, czyli „integrację” wypróbowano w Niemczech po roku 1945. Ta ostatnia stała się rzeczywistością w postaci Wspólnoty Węgla i Stali, Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej i wreszcie Unii Europejskiej. Przez Unię cała Europa została zupełnie inaczej zorganizowana niż kiedykolwiek wcześniej. Na tym właśnie – moim zdaniem – polegał problem „kwestii niemieckiej”, że powstała w 1871 r. Rzesza Niemiecka, z uwagi na swą potęgę, była postrzegana przez inne mocarstwa europejskie jako hegemonialne zagrożenie. Niemcy same ten lęk umocniły w XX wieku dwukrotnie, w 1914 r. i w 1939 r., dowodząc, iż rozwiązanie przedtem nierozwiązywalnej „kwestii niemieckiej” w ramach tradycyjnego systemu państw europejskich stało się możliwe na gruncie zintegrowanego związku tychże państw w sposób niezmiernie prosty. Z tego rozwiązania wynika, że problemem Niemców, w przeciwieństwie do wszystkich innych narodów, było akurat ich państwo narodowe, które ze względu na swoje centralne położenie i swą wielkość było nie do pogodzenia z europejskim systemem równowagi²²³. Nie wszyscy Niemcy po dziś dzień chcą się do tego przyznać i to zaakceptować. Oni sami i inni wiążą natomiast graniczące niekiedy z głupotą zachowanie Niemców z innymi, godnymi zastanowienia powodami.

W tym kontekście pragnę przy sposobności zwrócić uwagę na jeszcze jedną sprawę. Po 1945 r. zwycięscy alianci zastosowali do rozwiązania „kwestii niemieckiej” od razu aż trzy „środki lecznicze”: Niemcy zostały terytorialnie okrojone, podzielone i w końcu jeszcze zintegrowane. Najpierw, w 1945 r. alianci nie mieli lepszego pomysłu niż postępować zgodnie z wolą Stalina i odebrać Niemcom jedną czwartą ich terytorium na wschód od linii na Odrze i Nysie, aby zmniejszyć ich kraj i dopasować go do Europy, uczynić go bardziej akceptowalnym oraz wypędzić zamieszkałą tam ludność, będącą niemal w 100% Niemcami. Następnie, w 1949 r., pod auspicjami aliantów powstały dwa państwa niemieckie, a mianowicie Republika Federalna Niemiec po stronie zachodniej oraz Niemiecka Republika

²²² To przekonanie zawdzięczam George’owi F. Kennanowi. Por. George F. Kennan, *Disengagement Revisited*, (w:) „Foreign Affairs”, vol. 37. October 1958, p. 196.

²²³ To moje „pierwsze polityczne przekonanie”, które dotyczy tzw. „kwestii niemieckiej”, uzasadniłem bliżej w: Helmut Wagner, *Adenauers Europa – Politik – Der Bruch mit der traditionellen deutschen Außenpolitik der „Wilhelmstraße”*, (w:) Michael Salewski / Heiner Timmermann (red.), *Geschichte Europas*, Münster 2002, s. 262–288, Por. także Helmut Wagner, *Die „deutsche Frage” ist nicht tot – Jedenfalls nicht in den Köpfen der Engländer*, (w:) „Euro/Journal”, 4/2010, s. 14–15.

Demokratyczna na wschodzie. Wreszcie w 1990 r. alianci wyrazili zgodę na zjednoczenie utworzonych przez siebie dwóch państw niemieckich, jednak pod warunkiem, że te zjednoczone Niemcy pozostaną ściśle zintegrowane z istniejącą jeszcze wówczas Europejską Wspólnotą Gospodarczą, która w 1992 r. przeobraziła się w Unię Europejską, obstając jednak przy tym, by zainicjowane przez Stalina pomniejszenie terytorium Niemcy w granicach z 1937 r. o jedną czwartą nie uległo zmianie. A przecież integracja Niemiec w zupełności raz na zawsze by wystarczyła, aby ze względu na ich wielkość i dynamizm, nie zaś w wyniku niezdolności i manii wielkości ich polityków, odwieść je od ich hegemonialnych dążeń.

Takie traktowanie Niemiec po II wojnie światowej graniczy niemal z cudem, że Francuzi i Niemcy po 1945 r. – w przeciwieństwie choćby do obywateli Wielkiej Brytanii i Rosji – okazali się prekursorami zjednoczonej Europy. Wystarczy w tym kontekście zwrócić uwagę tylko na dwa historyczne epizody, które moim zdaniem były decydujące dla dotychczasowej integracji Europy. Pierwszy epizod jest nierozzerwalnie związany z nazwiskiem Konrada Adenauera. Bez jego niezwłocznej zgody i usilnego poparcia propozycji Roberta Schumana z roku 1950, aby utworzyć Wspólnotę Węgla i Stali, nigdy nie doszłoby do pierwszego kroku w kierunku jedności europejskiej. Drugi epizod, nie mniej ważny, wiąże się bezpośrednio z nazwiskiem Helmuta Kohla (1930–2017). Jemu przede wszystkim zawdzięczamy to, że 1 stycznia 2002 r. wprowadzone zostało euro jako waluta najpierw 12 krajów, a obecnie 18 państw Unii Europejskiej oraz 6 dalszych państw europejskich. To, co na początku można by uważać za „teatr jednego aktora”, czyli niemal w pojedynkę przeforsowane decyzje Konrada Adenauera i Helmuta Kohla, którzy mocno i ze świadomością konsekwencji zaangażowali się w dzieło zjednoczenia Europy, z biegiem czasu zyskało poparcie większości Niemców. Obecnie wszystkie liczące się partie polityczne w Niemczech zdecydowanie popierają integrację Europy, mimo nierzadkich objawów wrogości.

W trwających już 65 lat dziejach integracji europejskiej, które jeszcze nie dobiegły końca, wyróżnić można od 1952 r. różne fazy. Cechują je niekiedy bądź to wielkie postępy, bądź też okresy stagnacji. Zależy to z jednej strony od tego, że każdy kolejny krok na drodze do integracji wymaga każdorazowo zgody wszystkich państw członkowskich. Weto choćby tylko jednego z nich jest w stanie zatrzymać cały proces integracyjny. Uzyskanie takiej zgody było oczywiście sprawą o wiele łatwiejszą, gdy chodziło tylko o sześć państw członkowskich, jak było na początku, a nie jak teraz, gdy do UE należy 28 państw. Ale właśnie na dobrowolnym wyrażaniu zgody państw członkowskich opiera się proces integracji europejskiej. Z drugiej strony potrzebne były – jak pokazuje doświadczenie – dwa dalsze czynniki, by proces integracji postępował naprzód: są nimi nacisk z zewnątrz oraz wspólne zaangażowanie wiodących sił politycznych w UE. Ten pierwszy czynnik oddziaływał w postaci Związku Radzieckiego. W drugim przypadku oddziaływał w przeszłości tzw. tandem „francusko-niemiecki”, bez którego postępy w dziedzinie integracji europejskiej byłyby trudne do osiągnięcia. Natomiast „trójkąt francusko-niemiecko-polski” jak dotychczas nie odegrał jeszcze większej roli.

W sumie jednak – moim zdaniem – obywatele UE mogą być dumni z tego, co osiągnięto wspólnie w ramach integracji, że nie muszą niczego żałować i że

zjednoczenie będzie postępować, ponieważ leży ono w ich wspólnym interesie. Oto, co miało do powiedzenia pięciu ministrów spraw zagranicznych, w tym czterech z Europy Wschodniej, w 10. rocznicę dokonanego 1 maja 2004 r. rozszerzenia Unii Europejskiej:

Wspaniałe powitanie, które zgotowano dziesięciu nowym członkom Unii Europejskiej, przypieczętowało koniec podziału na Wschód i Zachód. Wydarzenia te mogą być dla nas źródłem odwagi, pokazują bowiem, że nawet rozłam spowodowany przez dwie wojny światowe i jedną zimną nie jest na tyle głęboki, by nie można go było przewyciężyć.

Sukces ten zawdzięczamy przede wszystkim ludziom na Wschodzie i Zachodzie, którzy pomimo dziesięcioleci uprawiania polityki bloków opartej na konfrontacji, nie ustawali w dążeniu do wolności i pokoju. Łączyło ich silne przekonanie, że rządy prawa muszą zatryumfować nad prawem silniejszego. Szczególną odwagą wykazali się mieszkańcy krajów przystępujących w owym czasie do UE, którzy zaakceptowali zmianę ustroju, struktur gospodarczych i życia codziennego w oparciu o wartości europejskie po to, aby ideał ten stał się rzeczywistością. Upór i ostateczny sukces, które towarzyszyły ich wysiłkom na rzecz uspokojenia wstrząsów politycznych, przebudowy społeczeństwa i złagodzenia skutków sporadycznych niepowodzeń na tej drodze, stanowią nieocenioną skarbnicę doświadczeń dla całej Europy. Mogą nam posłużyć za wzór i zachętę w staraniach o przygotowanie Unii Europejskiej do wyzwań naszej epoki. Z wielu innych powodów, ale również z tego jednego, przystąpienie dziesięciu nowych członków bardzo wzbogaciło Unię Europejską.

Chociaż podkreślanie naszych osiągnięć trudno odmówić słuszności, nie mamy powodu, aby spocząć na laurach w poczuciu samozadowolenia. Uważaliśmy wprawdzie, że obawy o nasze bezpieczeństwo i pokój należą do odległej przeszłości, ale okazuje się, że w dzisiejszej Europie budzą się one na nowo. Konflikt rosyjsko-ukraiński oraz niedopuszczalna i bezprawna aneksja Krymu pokazują, że pokój oraz politycznej i społecznej stabilności w Europie nie wolno przyjmować za pewnik. Trzeba raczej stale pracować nad ich zapewnieniem. Ogromne znaczenie dla nas ma trwałość naszej europejskiej integracji, naszego wspaniałego bastionu pokoju oraz prowadzenie zdecydowanej i mądrej polityki zagranicznej, która zapobiegnie nowemu podziałowi Europy. Jedną z kluczowych zasad, na których ufundowano Europę, jest solidarność, również z sąsiadami. Nadszedł czas, aby dać jej wyraz”²²⁴.

Do Unii Europejskiej, takiej, jaka ona jest lub się w końcu ukształtuje, nie ma, jak widać, żadnej rozsądnej alternatywy. Dlatego jedyną możliwością pozostaje kontynuacja integracji, o ile okaże się ona możliwa i niezbędna.

²²⁴ Por. Oświadczenie pięciu ministrów spraw zagranicznych: „Nie mamy powodu do samozadowolenia” z 1 maja 2014: Steinmeier, Niemcy, Sikorski, Polska, Zaorálek, Czechy, Martonyi, Węgry oraz Lajčák, Słowacja, (w:) „Rzeczpospolita” z 6 maja 2014.

Rozpad Związku Radzieckiego i izolacja Rosji

W porównaniu z okresem 65-letniej integracji Unii Europejskiej, gdzie mimo trudności nastąpił poważny postęp w dziedzinie jej konsolidacji i rozszerzenia, Rosja w ciągu ostatnich 26 lat po rozpadzie Związku Radzieckiego 21 grudnia 1991 r., mimo pewnej konsolidacji w ostatnim czasie, popadła w zatrważającą izolację. Jakie są charakterystyczne cechy tego procesu radzieckiej dezintegracji i rosyjskiej konsolidacji?

Na wstępie należy skonstatować, że samorozwiązanie Związku Radzieckiego w 1991 r. pociągnęło za sobą utratę niemal wszystkich imperialnych i radzieckich zdobyczy ostatnich stuleci. Obecna Federacja Rosyjska została terytorialnie zredukowana do obszaru, jaki należał do Rosji za czasów panowania cara Piotra Wielkiego (1672–1725), czyli przed niemal 300 laty, abstrahując od specyficznego przypadku „Kaliningradzkiej obłasti”, czyli obwodu kaliningradzkiego, dawniej królewieckiego (nazwa pochodzi od niemieckiego Königsberg, Królewiec). Nagle z terytoriów należących niegdyś do carskiej Rosji, a następnie do Związku Radzieckiego, powstało 14 uznanych przez społeczność międzynarodową niezależnych państw: Estonia, Łotwa, Litwa, Białoruś, Ukraina. Mołdawia, Armenia, Azerbejdżan, Gruzja, Kazachstan, Kirgistan, Uzbekistan, Tadżykistan i Turkmenia. W historii świata jest to przypadek nie tylko zaskakujący, ale i wyjątkowy, być może jedyny w swoim rodzaju.

Rosja została dosłownie ograniczona do swoich pierwotnych obszarów. Większość Rosjan do dzisiaj tego nie przeboleła, a obecny prezydent Rosji, Władimir Putin, jak widać, nie może się pogodzić z tym, co Rosji pozostało i czyni starania w kierunku odzyskania pozycji wielkiego mocarstwa. To będzie, logicznie i realistycznie biorąc, możliwe jednak tylko wtedy, gdy Rosja rozszerzy się terytorialnie i stanie się bardziej ekspansywna.

Los, jaki spotkał wcześniej takie imperia jak: polskie, hiszpańskie, osmańskie, niemieckie, austriackie, japońskie, francuskie i brytyjskie, teraz dotknął także imperium radzieckie, może jako ostatnie, którym było w 1991 r. jego samorozwiązanie. Tym, co tym imperiom pozostało po ich rozpadzie – jeżeli ich obywatelom dopisało szczęście – była w najlepszym razie ich duża baza wyjściowa, z której swoje podboje rozpoczynały. Zadając dzisiaj pytanie, co z nimi się stało, w większości przypadków uzyskamy odpowiedź, iż przeważnie – jeżeli istniała taka możliwość – poszukiwały schronienia i znalazły je pod dachem innych, większych i politycznie silniejszych wspólnot, takich jak UE. Postępowanie takie było logiczne, bowiem odchodzące imperia były za małe i za słabe, by móc istnieć w świecie zdominowanym przez inne światowe supermocarstwa o zasięgu kontynentalnym. A co w tym przypadku uczyniła Federacja Rosyjska?

Reakcje dawnych imperiów na ich rozpad były bardzo różne. Zanim przejdziemy do przypadku Rosji, przypomnijmy sobie, w jaki sposób zareagowały imperia, które swym obszarem obejmowały Europę, i jak poradziły sobie z faktem własnego rozpadu. Z byłego imperium osmańskiego pozostała Turcja. Kraj ten po szeregu turbulencjach został przez Mustafę Kemala Atatürka (1881–1938) siłą zlaicyzowany i unowocześniony, a obecnie dąży do członkostwa w UE. – Z powstałej w 1871 r.

Rzeszy Niemieckiej pozostała w 1918 r. Republika Weimarska, która została następnie zreorganizowana przez Adolfa Hitlera (1889–1945) według jego potrzeb, a utworzona przez niego „Wielka Rzesza Niemiecka” w wyniku II wojny światowej przestała istnieć. Pozostały z tej Rzeszy po wojnie obszar, a mianowicie zjednoczone w 1990 r. Niemcy, czyli Republika Federalna Niemiec, stała się nie tylko integralną częścią UE, ale przeobraziła się wręcz w jeden z jej filarów. – Z dawnego francuskiego imperium pozostała w połowie XX wieku IV Republika, która w 1958 r. przez powrót do władzy generała Charlesa de Gaulle’a (1890–1970) przekształcona została w V Republikę Francuską. Przewidział on dla niej system semiprezydencji, ale nie wycofał się z członkostwa w ówczesnej Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej. Francja może się poszczycić tym, iż nie tylko podchwyciła inicjatywę zjednoczenia Europy Roberta Schumana, ale później zdobyła ogromne zasługi dla UE, stając się jej przysłowiowym adwokatem. – W sposób najbardziej elegancki ze wszystkich byłych europejskich mocarstw rozstała się ze swym niegdyś potężnym imperium Wielka Brytania, która znacząco zmniejszyła swój obszar. Pragmatycznie usposobieni Brytyjczycy zrobili to w sposób w miarę bezbolesny i kulturalny. Ślady brytyjskiego panowania zachowały się do dziś w ich byłych koloniach, co jednak w najmniejszym stopniu im nie przeszkodziło w przystąpieniu w 1973 r. do EWG. Uczynili to jednak bez pełnego przekonania, bo wielu Brytyjczyków do dzisiaj tęskni za dawną imperialną przeszłością, gdyż przez stulecia wyciągali korzyści ze swego imperium.

A w jaki sposób Rosja zareagowała na utratę swojego imperium? To, co pozostało po rozpadzie ZSRR w 1991 r., Federacja Rosyjska, po zmianie władzy w 1999 r. znalazło nowego „silnego przywódcę” w osobie Władimira Putina (ur. w 1952 r.). Najpierw był on przez dwa lata premierem, następnie od 2000 r. do 2008 r. – przez osiem lat prezydentem, potem ponownie wybrano go na cztery lata na premiera, aż w 2012 r. znów został prezydentem i jest nim nadal. Putinowi udało się skonsolidować Rosję, która terytorialnie nadal jest największym państwem na świecie, w ten sposób, że chcąc uzdrowić państwo, wprowadził autorytatywny system rządów oraz administrowaną przez to państwo gospodarkę. Zagranica przez jakiś czas bardzo go za to chwaliła, a w strukturach wewnętrznych umocnił on swą pozycję. Putin nigdy nie ukrywał, że jego ambicje sięgają jednak o wiele dalej. Ale dopiero niedawno stało się widoczne, co się za tym kryje.

Putin najwyraźniej czuje się powołany do tego, by stawiać na pierwszym planie nie unowocześnienie Rosji, zapewniające jego krajowi zajęcie odpowiedniego miejsca wśród narodów świata, ale chce zdecydowanie więcej: Rosja ma ponownie stać się mocarstwem. Jediną drogą do osiągnięcia tego zamiaru jest powiększenie Rosji, gdy tylko nadarzy się ku temu okazja, a to, jak zareagują na to inne państwa na świecie, jest mu obojętne. Putin zdaje się nie przejmować nieuchronnymi skutkami takiej polityki, tym, że Rosja na arenie międzynarodowej będzie izolowana, a jej zacofania gospodarczego nie da się szybko nadrobić. Chcąc podnieść Rosję ponownie do rangi światowego mocarstwa, następstwa takiego postępowania są mu widocznie obojętne. Dla kraju i jego społeczeństwa prędzej czy później może się to jednak okazać obciążeniem ponad miarę. Moim zdaniem wiele przemawia za tym, iż polityka Putina nie leży w interesie Rosji i że przyjdzie mu za to słono zapłacić.

W dziedzinie polityki zagranicznej Putin najwyraźniej jest zdania, że Rosja powinna kroczyć odrębną drogą, by ponownie móc stać się potęgą, niezależnie od tego, co o tym sądzą lub jak się do tego odnoszą sąsiedzi i inne mocarstwa. Taką postawą Putin zyskuje szerokie poparcie swojego społeczeństwa, bo kontynuuje jedynie to, co było praktykowane przez władze radzieckie, a wielu Rosjan czuje się z powodu utraty imperium poniżonymi i oczekuje zadośćuczynienia, wszystko jedno, jakim sposobem. Ta polityka Putina prowadzi do irytacji zwłaszcza wśród nowych sąsiadów Rosji, to znaczy narodów należących dawniej do Związku Radzieckiego, a inne państwa dystansują się od Rosji, mimo że są jej przychylnie. Odnoszą one bowiem wrażenie, że anektując Krym oraz destabilizując Ukrainę, Putin prowadzi bardzo niebezpieczną grę i dlatego pragną temu przeciwdziałać i odwieść go od jego ekspansywnego kursu.

W mojej ocenie nikt w Europie nie sprzeciwiłby się temu, gdyby ludność Krymu lub wschodniej Ukrainy w wolnym głosowaniu opowiedziała się za wyjściem z Ukrainy i przyłączeniem się do Rosji. Tak postąpiono w 1992 r., kiedy nastąpił podział Czechosłowacji na dwa państwa, a także w byłej Jugosławii. Z kolei tego rodzaju plany całkiem oficjalnie rozważane są także w brytyjskiej Szkocji i hiszpańskiej Katalonii. Tego rodzaju dążenia są zgodne z prawem i zyskują powszechne poparcie Europejczyków, jeżeli większość społeczeństwa sobie tego życzy. Jednak to, co się wydarzyło na Ukrainie, jest zupełnie czymś innym. Oderwanie się Krymu było i jest w dalszym ciągu prowadzone przemocą przez siły z zewnątrz. Takie działanie było najwyraźniej zainscenizowane, gdyż z punktu widzenia Putina istniała obawa, iż Ukraina wydobędzie się z jego strefy wielkomocarstwowych wpływów i sama zechce zdecydować o swej politycznej przyszłości. To przecież jest prawdziwym tłem tego wszystkiego, co się aktualnie dzieje na Ukrainie! Ale w ten sposób Rosja staje się niepopularna na arenie międzynarodowej, chociaż przyjaciele i partnerzy są jej jak najbardziej potrzebni.

Tymczasem Putin przez swoją interwencję na Ukrainie narobił sobie wrogów w szeregu zachodnich państw sąsiadujących z Rosją. O tym pisze komentator Hans-Ulrich Jörges w ilustrowanym tygodniku „Stern”. Dziennikarz ten, uważany w Republice Federalnej za jednego z czołowych „rozumiejących Putina”, napisał na łamach tego czasopisma, że Rosja przez interwencję na Ukrainie stworzyła sobie „krwawą granicę zachodnią”, ale że tą „gospodarczą zdobyczą” nadweręży swe siły²²⁵. A to jest dokładnie przeciwieństwem tego, co leży w interesie Rosji. Zamiast uczynić ze swoich byłych „kolonii” pierwszoplanowych partnerów handlowych i sprzymierzeńców, jak to uczyniła Wielka Brytania w momencie rozwiązania swego imperium, i skorzystać z obecności Rosjan, którzy znaleźli się w ten sposób „na obczyźnie”, Putin skazał Rosję na izolację i zyskał nowych wrogów. Nie tylko podsycił on podejrzenia o dążenia ekspansjonistyczne, ale wręcz je potwierdził. Jakież korzyści mogłaby mieć Rosja z gospodarczo prosperującej Ukrainy? Na pewno upłynie jeszcze bardzo wiele czasu i będzie to możliwe tylko bez Putina, aż stosunki między Rosją a Ukrainą oraz z UE ponownie się unormują. Szkody

²²⁵ Por. Hans-Ulrich Jörges, *Das Zeichen von Odessa*, (w:) „Stern” nr 21 z 15.05.2014, s. 26.

wyrządzone przez rosyjskiego przywódcę nie będą zbyt prędko zapomniane, bo zawsze pozostaną związane z jego nazwiskiem.

Tak samo błędną w swych następstwach, o ile się nie mylę, jest polityka gospodarcza Putina. Jest ona silna i skuteczna tam, gdy idzie o zarządzanie gospodarczym status quo, ale jest nieprzydatna w modernizacji gospodarki. A to jest właśnie drugi mankament putinowskiej polityki: udało mu się zmobilizować rezerwy krajowych surowców i wykorzystać je do eksportu, natomiast zupełnie nie dba o rozwój infrastruktury swojego kraju. Prędzej czy później okaże się to niedociągnięciem. Rynek rosyjski opanowany jest przez wielkie quasi-monopolistyczne przedsiębiorstwa, natomiast mniejsze firmy prywatne nie są wspierane przez państwo. Prowadzi to do tego, że atrakcyjne stają się przemysłowe konglomeracje, natomiast regiony wiejskie są zaniedbywane. To, co w krajach UE, ale także w Chinach, doprowadziło do godnych podziwu „cudów gospodarczych” i znacząco poprawiło standard życia szerokich mas ludności, czyli produkcja na użytek prywatnej konsumpcji, w Rosji pozostaje dziedziną nietkniętą i jest ograniczana. Można się obawiać, że putinowska polityka gospodarcza nie będzie w stanie stworzyć warunków do realizacji rosyjskiego „cudu gospodarczego”, gdyż polityka ta jest ukierunkowana jednostronnie na eksport surowców, a modernizacja i restrukturyzacja pozostają na marginesie. To się gorzko zemści.

Jeżeli prawdą jest, że naród rosyjski – podobnie jak naród niemiecki po 1918 r. – przetrwał rozpad swojego imperium w zasadzie nietknięty, to powstaje pytanie, czy w międzyczasie naród rosyjski, tak jak naród niemiecki po 1945 r., wyciągnął najlepsze wnioski z tej nowej sytuacji. Patrząc w tej chwili na Rosję, należy mieć co do tego poważne wątpliwości. Upieram się przy twierdzeniu, że tego nie da się nigdy osiągnąć polityką zagraniczną nastawioną na izolację, ani też w warunkach państwowej gospodarki zarządzanej centralnie. Myślę, że istnieje jednak droga do przezwyciężenia w przyszłości obu tych mankamentów oraz zabezpieczenia dobrobytu i bezpiecznej przyszłości również społeczeństwu Rosji. Chodzi o to, by zapewnić Federacji Rosyjskiej nową, obiecującą perspektywę, w której będzie ona dążyć do zbliżenia, współpracy i wreszcie także do zjednoczenia z UE. Tego doświadczyły już inne wielkie narody europejskie, w tym także były imperia, a to – jak widać – wyszło im generalnie na korzyść.

Zjednoczenie Europy jako konieczność

Nie mam potrzeby ukrywania przekonania, iż w dobrze rozumianym interesie Rosji leży to, co Niemcy oraz inne państwa Europy uczyniły już wcześniej: stać się członkiem Unii Europejskiej. Kiedy to się stanie z Rosją, tego nie mogę oczywiście przewidzieć. Nikt tego nie wie. Jestem jednak przekonany, że może nie za mojego życia, ale prędzej czy później to nastąpi. Moje przekonanie opieram na dobrych powodach. Trzy z nich chciałbym przedstawić czytelnikowi w końcowej części mojej pracy.

Jakie zatem są to powody, które przemawiają za tym, iż rozwój wydarzeń potoczy się w kierunku, o którym myślę, czyli o relacje między UE z Rosją zmierzające do ich połączenia? Przede wszystkim chodzi tutaj o wspólny interes obydwu

międzynarodowych aktorów, logikę historii oraz aspekty kulturowe i religijne projektu europejsko-rosyjskiego jednoczenia się. Chciałbym krok po kroku do tego się ustosunkować. Uwzględnię przy tym okoliczność, iż przyszły rozwój historycznych wydarzeń zależy będzie chociażby od mniej lub bardziej mocnego zaangażowania konkretnych osób i całych narodów. Jedni i drudzy – jak dobrze wiemy – nie zawsze działają w sposób roztropny i sensowny, niekiedy również bezsensowny, czasami nawet w sposób autodestrukcyjny. Z uwagi na to, że i w tym konkretnym przypadku nie jest to wykluczone, wolę mówić o moim marzeniu. To marzenie jednak opiera się na kilku konkretnych faktach, które są szansą na to, by się urzeczywistniło. Nie chodzi bowiem tylko o czyste pragnienia.

Czynniki polityczne i ekonomiczne

Jednym z powodów, które przemawiają za przyszłym zjednoczeniem UE z Rosją, jest polityczne zainteresowanie Unii utworzeniem zjednoczonego i pokojowego kontynentu. To zainteresowanie obecne jest we wszystkich krajach Europy, także w Rosji, pod warunkiem, że pragną w tym procesie uczestniczyć. Unia Europejska dzięki swej oryginalnej, konstytucyjnej konstrukcji daje wszystkim swoim członkom z jednej strony możliwość korzystania z jej ochrony oraz praktykowania i rozwijania narodowej tożsamości, a z drugiej strony w ramach subsydiarności zajmuje się tylko takimi dziedzinami, które jej przekazały państwa członkowskie, gdyż w pojedynkę nie poradziłyby sobie z pewnymi problemami. Krótko mówiąc, w naszym zglobalizowanym świecie nie ma lepszej możliwości, jak tylko przystąpić do UE, aby móc korzystać z plonów, które ten wielki związek państw ma do zaoferowania swoim członkom, aby mogli oni zabezpieczyć swoje istnienie i zadbać o swój dobrobyt.

Kolejnym argumentem przemawiającym za przynależnością Rosji do UE jest według mnie fakt, że Unia oferuje to, co jest niezbędne do istnienia nowoczesnej i wydajnej gospodarki, czyli wspólny rynek. W ten sposób należące do Unii narody mogą korzystać z wysokiego poziomu produkcji i rosnących dochodów, które są możliwe dzięki rozwiniętemu podziałowi pracy i istnieniu uporządkowanej konkurencji. Utworzeniu wspólnego rynku towarzyszy polityka społeczna, za pomocą której rynki są kontrolowane a obywatele mają zabezpieczenie socjalne, zaś w razie potrzeby są także alimentowani. Krótko mówiąc, wspólne standardy w dziedzinie polityki gospodarczej i społecznej zapewnią wszystkim państwom członkowskim UE harmonię między wysoką wydajnością i produktywnością gospodarczą a wysokim poziomem bezpieczeństwa socjalnego jednostki i rodzin zgodnie ze sprawdzonymi standardami europejskimi.

Jest oczywiście prawdą, że Rosja obecnie jest bardzo daleka od możliwości przyswojenia sobie tych politycznych i ekonomicznych osiągnięć. Ale dlaczego miałyby się Rosji o formacie z czasów Piotra Wielkiego nie udać to, co było możliwe do zrealizowania w pomniejszonej Wielkiej Brytanii lub w okrojonych o jedną czwartą swojego terytorium Niemczech, czy też w nowopowstałych krajach jak Estonia, Słowenia albo Słowacja, gdzie zadbano o szybki wzrost stopy życiowej wśród szerokich mas? Warunkiem jest naturalnie przeprowadzenie reformy obecnie

funkcjonującego w Federacji Rosyjskiej systemu sprawowania autorytarnej władzy oraz modernizacja istniejącego obecnie systemu gospodarczego, opartego na państwowym zarządzaniu. Nie ulega wątpliwości, iż takie zmiany potrzebują czasu, nawet bardzo dużo czasu. Któż jednak zechciałby wykluczyć w Rosji możliwość realizacji czegoś, co się innym udało? Trzeba tylko chcieć i mieć do dyspozycji odpowiednio przygotowany rząd. Nie ma powodu, by wątpić w to, że również Rosja może się zmienić i że to nastąpi – zakładając, że pozbędzie się Putina. Im szybciej to nastąpi, tym lepiej.

Przez jakiś czas doprawdy wyglądało na to, jak gdyby Putin potrafił przeskoczyć własny cień. Dowodem na to był jego artykuł w dzienniku „Süddeutsche Zeitung” z 25 listopada 2010 r. Podsumował w nim to, co od pewnego czasu było już przedmiotem dyskusji i za czym wielu ludzi na Zachodzie tęskniło. W swej wypowiedzi przekonywał, iż jest za ścisłą kooperacją między Federacją Rosyjską a UE. Gdyby to od niego zależało, to powinno się w miarę szybko stworzyć „strefę wolnego handlu od Lizbony po Władywostok”, wprowadzić „ruch bezwizowy” i wypróbować „bardziej rozwinięte formy integracji gospodarczej”. Ba, opowiedział się nawet za „zdywersyfikowanym i elastycznym systemem zaopatrzenia w energię” oraz za zawarciem „rosyjsko-europejskiego układu energetycznego”²²⁶. Był to chyba pierwszy przypadek, kiedy to Moskwa pod adresem UE wysunęła tego rodzaju szerokie propozycje. Putin przy okazji niestety przemilczał to, że do takiego kompleksowego porozumienia, o którym marzyło wielu zachodnich Europejczyków, może dojść tylko pod warunkiem, że Zachód da mu wolną rękę na obszarach poradzieckich, pozostających poza granicami UE. Unia wprawdzie tego swego czasu tak wyraźnie nie powiedziała, że nie może wyrazić zgody na taką ofertę. Istniało już jednak podejrzenie, że Putin chciał zapewnić sobie swobodę działania według własnego gustu. To potwierdziło się podczas wojny pięciodniowej w roku 2008 przeciwko Gruzji, a następnie na Ukrainie. W świetle tych wydarzeń trudno jest krytykować fakt nieprzyjęcia oferty Putina z listopada 2010 r.

Podobnie jest też rzeczą zupełnie niepoważną chcieć zarzucać UE oraz jej członkom, iż nie zadbali w sposób należyty o Rosję i nie dotrzymali swoich obietnic. Jeżeli chodzi o rozszerzenie NATO na Wschód, to prawdą jest, że USA jak i rządy państw europejskich w latach przełomu 1989–1991 nie widziały takiej potrzeby. Nieprawdą natomiast jest, że w tej sprawie zawarto pisemny układ, którego postanowień Zachód nie dotrzymał. Fakt, że mimo wszystko nastąpiło rozszerzenie NATO na Wschód, był wyłącznie następstwem usilnych zabiegów państw Europy Wschodniej, które miały uzasadnione powody, by Putinowi nie ufać. Wystarczy przypomnieć tylko starania kolejnych niemieckich kanclerzy, od Kohla, przez Schrödera, po Merkel, którzy pomni doświadczeń klęski Niemiec z roku 1918 robili wszystko, by nie izolować nowej Rosji, natomiast o nią wręcz zabiegać. Niczym to jednak nie zaowocowało. Ani zaproponowane Rosji przez UE „strategiczne partnerstwo”, ani też niemieckie starania o „partnerstwo w dziedzinie modernizacji” nie przyniosły oczekiwanych wyników. Putin doprowadził do izolacji Rosji,

²²⁶ Władimir Putin, Von Lissabon bis Wladiwostok, w: Süddeutsche Zeitung, 25 listopada 2010. Artykuł można także znaleźć pod adresem: <http://www.sueddeutsche.de/wirtschaft/2.220/putin-plaedoyer-fuer-wirtschaftsgemeinschaft-von-lissabon-bis-wladiwostok-1.1027908>.

zamiast znaleźć partnerów i sojuszników. To on odpowiada za to, że kraj ten na arenie międzynarodowej znalazł się na ławie oskarżonych. Doprowadził do tego w istocie bez niczyjej pomocy.

Tak czy owak należy stwierdzić, że dla Federacji Rosyjskiej UE byłaby najlepszym partnerem, niezależnie od długości procesu wzajemnego zbliżania się, ścisłej współpracy, a w końcu i przystąpienia do UE. Tym, co Unia ma Rosji do zaoferowania, jest model reform i modernizacji rosyjskiej gospodarki oraz zainteresowanie i środki służące wsparciu tego procesu we własnym interesie. Tego świadczyć nie są w stanie ani USA, ani Chiny. Patrząc z tej perspektywy, Unia Europejska jest dla Rosji wyjątkowo szczęśliwym przypadkiem, zakładając, że zechce z tej okazji skorzystać i w końcu sprzymierzy się i połączy z Unią.

Logika historii

Moim zdaniem istnieje jeszcze kolejny argument przemawiający za tym, by w dalszej perspektywie nastąpiło połączenie się UE z Rosją. Jednym z aspektów nie do przecenienia, zgodnym z logiką historii, o ile takowa istnieje, jest rosnąca skłonność państw do tworzenia dużych, regionalnych wspólnot. To zmusza mniejsze państwa do łączenia się i tworzenia większych jednostek władzy celem przetrwania oraz odegrania znaczącej roli w sferze politycznej i gospodarczej. UE jest właśnie takim organizmem pretendującym do supermocarstwa w skali globalnej, zakładając, że jej proces integracyjny będzie nadal skuteczny. W każdym razie dysponuje ona niezbędnym potencjałem, jakkolwiek brakuje jej jeszcze skutecznych struktur. W odróżnieniu do innych supermocarstw UE, poza gwarancją bezpieczeństwa, zapewnia swoim członkom dodatkowo posiadanie tożsamości kulturowej oraz samodzielności politycznej, co jest zapisane w konstytucji.

Z uwagi na swoje położenie geograficzne Rosja w kwestii, z jakim mocarstwem się w przyszłości połączy, ma do wyboru prawdopodobnie tylko Chiny i UE. Jeżeli chodzi o moje przekonanie, to nie mam żadnej wątpliwości, że Rosja – gdyby się miała zdecydować – wybierze UE, gdyż to jak najbardziej leży w jej interesie. Naród rosyjski, który kiedyś wprawdzie był podzielony na „czerwonych” i „białych”, a obecnie popiera przeważnie Putina, na pewno wzdragać się będzie przed utworzeniem unii z Chinami, gdyż – jak sądzę – oznaczałoby to jego samobójstwo.

Pozostaje oczywiście pytanie: dlaczego Rosja jako terytorialnie największe państwo na świecie miałyby nie być w stanie własnymi siłami stać się nowym supermocarstwem? Wątpliwości co do tego nachodzą nas dopiero wówczas, gdy zdamy sobie sprawę, że innym byłym mocarstwom jak Wielkiej Brytanii, Francji i Niemcom również nie udało się dołączyć do szeregu nowych mocarstw. Zrezygnowały one ze swych ambicji, wyciągnęły konsekwencje z powstałej sytuacji i wszystkie przystąpiły do Unii Europejskiej. Ale nie Rosja! Czy mimo okrojonego terytorium i pomniejszonego potencjału, w porównaniu ze Związkiem Radzieckim, dysponuje jeszcze możliwością przekształcenia się w supermocarstwo? A może Rosja tylko nie przyjęła jeszcze do wiadomości zmiany, jaka zaszła w globalnej konstelacji?

Chcąc zostać supermocarstwem w XXI wieku, niezbędne jest – moim zdaniem – spełnienie co najmniej czterech kryteriów: posiadanie terytorium o wielkości

kontynentu lub prawie kontynentu, liczba mieszkańców rządu co najmniej kilkuset milionów, potencjał techniczny zapewniający obecność militarną wszędzie na świecie oraz wyróżniająca się potęga gospodarcza, której miarą będzie zdolność do nieustannych innowacji i stale utrzymującej się produktywności oraz wysoki udział w handlu zagranicznym. Obecnie Federacja Rosyjska spełnia zaledwie dwa z owych czterech kryteriów: zajmuje wielką przestrzeń oraz w ograniczonym stopniu dysponuje zdolnością do interwencji militarnych w państwach o niskim poziomie uzbrojenia i niezdolnych do obrony. Co się tyczy pozostałych dwóch kryteriów, to Rosja nie tylko pozostaje daleko w tyle, ale też nie jest w stanie wypełnić ich samodzielnie. Zaś odnośnie do liczby ludności i siły gospodarki, to przytoczone poniżej dane mówią same za siebie.

Jeżeli chodzi o ilość mieszkańców, to Rosja ma ich obecnie 143,5 miliona i znajduje się daleko za Chinami z 1,4 miliarda i za Indiami z 1,3 miliarda ludzi. Ale Rosja w tej dziedzinie pozostaje też w tyle za UE, która liczy 506 milionów mieszkańców, za USA z 316 milionami, nawet za Brazylią, która ma ich więcej niż Rosja, bo liczy 200 milionów ludzi; także Meksyk ma ich niewiele mniej, bo 122 miliony. Nie jest też zbyt daleka od liczby mieszkańców Niemiec, w których mieszka 80 milionów ludzi. Oficjalne prognozy przewidują, że do roku 2050 liczba mieszkańców Rosji spadnie do poziomu 122 milionów.

Jeżeli chodzi o produkt krajowy brutto (PKB), to Federacja Rosyjska w roku 2013 dysponowała kwotą rządu 2,1 biliona dolarów amerykańskich (USD), co jest porównywalne z Włochami, które miały tak samo 2,1 biliona USD. Natomiast PKB Wielkiej Brytanii wynosił już 2,5 biliona USD, Francji – 2,7 biliona USD, a Niemiec – 3,6 biliona USD. Rosja pozostaje wyraźnie w tyle, nie mówiąc już o Chinach z 9,2 bilionami i USA z 16,8 bilionami USD²²⁷. Liczby te pokazują, że Federacja Rosyjska nie należy do najsilniejszych potęg gospodarczych na świecie, ale znajduje się na skali obliczeniowej zaledwie poniżej średniej. Rosja wprawdzie ze względu na dominację eksportu surowców energetycznych rości sobie pretensje, by zaliczać ją do światowych potęg gospodarczych, ale trudno jest jej skompensować swoje zacofanie.

Oczywiście istnieje jeszcze inny sposób pomiaru siły gospodarczej różnych narodów, a jest nią wielkość eksportu. Dane statystyczne, jakie znalazłem dla roku 2013, pokazują, że Niemcy pod tym względem spadły na trzecie miejsce po Chinach i Stanach Zjednoczonych, zaś Rosja uplasowała się na siódmym miejscu między największymi eksporterami na świecie. Mimo to znajduje się daleko za UE, Chinami i USA, z którymi najchętniej sama się porównuje. Swoją wyróżniającą się pozycję Rosja zawdzięcza przede wszystkim eksportowi surowców jak ropa i gaz, ale nie produktów przetworzonych.

²²⁷ Źródło: Statistisches Jahrbuch 2010 Deutschland und Internationales, Wiesbaden 2014, s. 632 i nast.

Ranking czołowych eksporterów (2013)²²⁸

W bilionach USD

1. Chiny	2 049
2. USA	1 546
3. Niemcy	1 416
4. Japonia	799
5. Francja	557
6. Holandia	555
7. Rosja	552
8. Włochy	502
9. Belgia	447
10. Wielka Brytania	434

Powyższe dane statystyczne unaocniają fakt, że Rosja nie należy do czołowych potęg gospodarczych XXI wieku, lecz w najlepszym razie jest porównywalna do pojedynczych państw UE.

Ciekawe są w tym kontekście także obliczenia prof. Hermanna Simona, gdyż zawierają też dane dotyczące UE. Według jego obliczeń PKB Rosji w roku 2013 wynosił 2,12 bln, USA 16,72 bln a UE 16,21 bln USD. W Rosji PKB w przeliczeniu na jednego mieszkańca wynosi 14.763 USD, w UE 32.054 USD a w USA 52.744 USD, co w UE stanowi dwukrotność, zaś w USA trzykrotność dochodu w porównaniu z Rosją. A jak wygląda rosyjska zdolność eksportowa? Według danych H. Simona w dziesięcioleciu od 2003 do 2012 roku na pierwszym miejscu znajdowały się Chiny z eksportem wynoszącym 12,14 bln dolarów, za nimi znalazły się Niemcy z 11,89 bln USD i USA z 11,38 bln USD. Rosja osiągnęła poziom poniżej 30% wielkości wymienionych trzech największych eksporterów. A oto konkluzje autora oparte na jego obliczeniach: „Rosja jest bogata w surowce. Ale na tym już koniec. Bogactwa te potrafi wykorzystać gospodarczo jedynie za sprawą gigantycznych inwestycji zagranicznych. W tej chwili odbywa się coś zupełnie odwrotnego, dochodzi do gigantycznego odpływu kapitału. Aby stać się silnym państwem z silną gospodarką, Rosja powinna w wielu dziedzinach postępować zupełnie odwrotnie niż postępuje obecnie.”²²⁹

Aspekty kulturowe i religijne

W moich rozważaniach służących wsparciu koncepcji przyszłego połączenia Unii Europejskiej z Federacją Rosyjską chciałbym na zakończenie zwrócić uwagę na dwa aspekty, które dla mnie jak i dla innych obserwatorów wydają się nader ważne w kontekście naszej wspólnej historii, która charakteryzowała się zarówno pokojowym współistnieniem jak i konfliktami zbrojnymi: chodzi o wspólnotę

²²⁸ Tamże, s. 656 i nast.

²²⁹ Por. Hermann Simon, *Armes Russland*, (w:) „Frankfurter Allgemeine Zeitung” nr 69, 22 marca 2014, s. 8.

europiejsko-rosyjskiej kultury i religii. Europa zawsze była zainteresowana rosyjską literaturą i muzyką, a Rosja zawsze tęskniła za Konstantynopolem.

Rosyjscy pisarze i kompozytorzy mają swoje zasłużone miejsce w europejskiej kulturze. Do nich zaliczamy: Puszkina, Lermontowa, Gogola, Dostojewskiego, Tołstoja, Czechowa, Gorkiego, także Zamiatina, Achmatową, Pasternaka, Sołżenicyna, jak i kompozytorów: Glinkę, Musorgskiego, Rimskiego-Korsakowa, Czajkowskiego, Taniejewa, Rachmaninowa, Strawińskiego, Prokofiewa i Szostakowicza. W całej Europie byli i są obecni zarówno w szkołach, księgarniach jak i na scenach teatrów i w salach koncertowych. Wymienieni tutaj twórcy jak i wiele innych znakomitości zalicza się jak najbardziej do europejskiej kultury, nie traktuje się ich jak obcych. Można wręcz stwierdzić, że zespolenie rosyjskiej i europejskiej kultury i nauki nastąpiło o wiele wcześniej, zanim rozpoczęto w ogóle debatę o politycznym zjednoczeniu. Rosyjska kultura w ciągu wieków stała się integralną częścią kultury europejskiej.

Z drugiej strony mamy do czynienia z długą rosyjską tradycją podziwiania, by nie powiedzieć adoracji Konstantynopola, skąd rozpoczęła się chrystianizacja Rosji. W XIX wieku widoczne były w tym kraju nawet dążenia do oczyszczenia tego świętego miasta z niewiernych i połączenia go z Rosją. Z tego, jak wiadomo, nic z tego nie wyszło i chyba do tego już nigdy nie dojdzie. Jeżeli jednak tak by się stało, że zarówno Rosja jak i Turcja staną się członkami UE, wówczas również Konstantynopol, niegdysiejsze Bizancjum a dzisiejszy Istambuł, stałby się jedną z kulturowych stolic Europy i znalazłby się pod dachem „Większej Europy”. Wszystkim prawosławnym sprawiłoby to z pewnością dużą satysfakcję. Ale ucieszyłoby to na pewno także wszystkich innych Europejczyków. Może to jednak stać się rzeczywistością tylko pod warunkiem, że zarówno Rosja jak i Turcja staną się członkami UE. Należy to rozważyć. W ramach politycznego jednoczenia się całej Europy może to się stać rzeczywistością.

Niech to będzie cała Europa!

Tak, nie widzę absolutnie powodu, dla którego Moskwa, ale także Istambuł nie miałyby należeć do UE, tak samo jak Rzym, Genewa czy Wittenberga, naturalnie też Lizbona i Madryt, Paryż i Londyn, Oslo i Sztokholm, Ryga, Wilno i Warszawa, Kraków, Praga i Belgrad, Wiedeń i Berlin, by wymienić tylko kilka z czołowych miast. Mogą one należeć do wszystkich Europejczyków pod warunkiem, że będą zgodni i wspólnie tego będą pragnąć. UE, jaką sobie wyobrażam, uczyni to rzeczą możliwą. Jest to cicha nadzieja Niemca pochodzącego z dawnych Prus Wschodnich, który spisał tu to, o czym marzy. Oby przynajmniej niektórzy czytelnicy doświadczyli spełnienia się tego marzenia. To jest najlepsze, czego im po tylu katastrofach mogą życzyć.



Seria „Studia Interkulturowe” powstała z myślą o upowszechnianiu prac naukowych z różnych dziedzin nauk humanistycznych (literaturoznawstwo, kulturologia/kulturoznawstwo, historia, historia sztuki, politologia, stosunki międzynarodowe, lingwistyka, translatoryka, glottodydaktyka itd.) w aspekcie interkulturowym. „Interkulturowość” rozumiana jest przy tym jako szeroko rozumiany dialog – literatur, kultur oraz języków.

Seria jest adresowana do naukowców i ekspertów oraz wszystkich osób zainteresowanych podejmowaną w niej problematyką. Planowane jest wydawanie zarówno pojedynczych prac (monografii), jak i tomów zbiorowych oraz materiałów prezentowanych na konferencjach naukowych lub eksperckich.

Magdalena Latkowska

Wydawnictwo Naukowe Instytutu Komunikacji Specjalistycznej i Interkulturowej
 Uniwersytet Warszawski